

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

# Krasnosielcki Zeszyt Historyczny

Nr 18

ISSN 2080-024X

czerwiec 2014 rok



dodatek specjalny do miesięcznika „Więści znad Orzyca” Nr 6(86)

[www.tpzk.pl](http://www.tpzk.pl)

[www.naszkrasnosielc.tpzk.pl](http://www.naszkrasnosielc.tpzk.pl)

## Wprowadzenie

*Szanowny Czytelniku!*

Człowiek od zawsze zadaje sobie pytanie kim jest, skąd przyszedł i dokąd zmierza. Pyta nieustająco innych i samego siebie, i choć czasem wydaje mu się że odpowiedź znalazł, to niebawem znów pyta - ciągle nie uzyskując pełnej odpowiedzi. Pyta również o sens dnia codziennego, swoich i innych starań o chleb powszedni, o relacje między ludźmi, o to co jest dobrem i czy warto samemu szukać drogi do dobra. Pragnie i prosi o miłość lub miłosierdzie, pytając dlaczego otrzymał tylko tyle.

Pytań nieskończone zastępy, ale pytanie, myślenie i poszukiwanie to cecha człowieka jako istoty – jak powiedział filozof „Myślę, więc jestem”.

Poznanie czyichś historii, jest jak boskie patrzeć z niebios na marne ślady ludzkiego życia. Znając wiele takich ścieżek, każdy z nas może wybrać dla siebie tą lepszą ... jeśli tylko zechce naprawdę ...

Z niegasnącą radością oddaję w Twoje drogi Czytelniku kolejny Krasnosielcki Zeszyt Historyczny. Przypominam, że wszystkie prace wykonane przez autorów zamieszczonych tu tekstów, jak i czynności edytorskie, korekcyjne i techniczne – wykonane zostały nieodpłatnie. Zwyczajowo proszę o pomoc w sfinansowaniu jedynego kosztu, którym jest druk. Wpłaty proszę kierować na konto Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu.

*Z poważaniem*

*Redaktor Wydania Sławomir Rutkowski*

Niniejszy numer Krasnosielckich Zeszytów Historycznych jest współfinansowany ze środków Powiatu Makowskiego w ramach realizacji przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej zadania publicznego pod tytułem „Opracowanie i druk czterech numerów Krasnosielckich Zeszytów Historycznych”.

Poprzednie wydanie Krasnosielckich Zeszytów Historycznych uzyskało wsparcie finansowe Urzędu Gminy Krasnosielc, który w całości opłacił druk.



## Zatrzymać czas

str. 2

**Alina BIAŁCZAK**



## Zbrodnia wojenna w Grabowie - suplement

str. 11

**Tadeusz KRUK**



## Moje wspomnienia z Drażdżewa

str. 17

**Janina WRÓBLEWSKA**



## Rok w ruskim cyrku

cz. II

str. 19

**Epsi PETERSON**



## Wspomnienia Miriam Krajczyk wnuczki rabina z Krasnosielca

str. 42

**Katarzyna OLZACKA**



## Pułkownik Henryk Modzelewski

str. 43

**Tadeusz Kruk**





## Zatrzymać czas ...

**Alina BIAŁCZAK**

*Wsi spokojna, wsi wesola,  
Który głos twej chwale zdola?  
Kto twe wczasy, kto pożytki  
Może wspomnieć za raz wszytki?*

*Wszystkie drogi dziś prowadzą do Bagienic,  
od Drażdżewa, od Krasnosielca i od Pienic...*

północnego-zachodu - Raki. Wieś należy do gminy i parafii Krasnosielc, do którego odległość wynosi ok. 4 km.



Żniwiarze - kośnicy i odbieraczki. Odbieraczkami są najprawdopodobniej dziewczyny z Amelina; kośnicy to: Jan Piotrowski z Bagienic – mój ojciec /z lewej/ oraz Aleksander Gajek z Bagienic – słynny na okolice kośnik. Zdjęcie wykonane pomiędzy rokiem 1955 i 1957.

- pisał mistrz Jan z Czarnolasu. I miał rację, bo rzeczywiście trudno jest w skrócie opisać piękne lata dzieciństwa i młodości spędzone w niemniej urokliwej wsi, wśród osób sercu najbliższych. Jakich zatem dobrać słów, by wiernie oddać tamtą atmosferę i swojski klimat? I wspomnieć mieszkańców, i sąsiadów, i ich ciężką pracę? I odtworzyć własne, beztraskie chwile pod rodzinną strzechą?

Ale trudne, wcale nie znaczy, że niemożliwe, co udowadnia pani Alina Białczak w artykule pt. *Zatrzymać czas ...* Autorka, poprzez pryzmat własnych przeżyć, wróciła pamięcią do rodzinnych Bagienic, w gminie Krasnosielc. Treść wspomnień poparła bogatą dokumentacją fotograficzną. Niektóre ze zdjęć to prawdziwe perełki, na których zatrzymano w kadrze szmat historii, ludzi i wydarzenia. Niby codzienność, a jakże fascynująca, szczególnie teraz, po dziesięcioleciach, jak tamte ręczne żniwa, omłoty czy wykopki...

Dlatego, doceniając zaangażowanie pani Aliny Białczak w utrwalanie i upowszechnianie historii lokalnej, z przyjemnością włączyłem się w prace redakcyjne (zamiana pisma ręcznego na maszynowe, dobór ilustracji, itp.), czego owocem finalnym jest poniższy tekst.

Życzę przyjemnej lektury - *Tadeusz Kruk*

Bagienice to wieś w północno-wschodniej części Mazowsza, po wschodniej stronie rzeki Orzyc. Odległość do tej rzeki, w linii prostej, przez łąki wynosi ok. 1,5 km, zaś okrężnie – 2 km. Mimo tej odległości mieszkańcy Bagienic i okolicznych wsi - dzieci, młodzież i ludzie starsi - często z wody tej rzeki korzystali. Młodzi letnią porą kąpali się w niej, jako jeszcze w bardzo czystej wodzie. Gospodynie płukały w niej upraną bieliznę, samodzielnie tkane w krosnach chodniki, rolnicy moczyli w niej len, rybacy łowili ryby, pastuszkowie poili krowy itp. W okresie żniw i młocki całe rodziny przyjeżdżały tu wozami konnymi (żelaznikami drabiniastymi) w celu wykapania się po całodziennej, ciężkiej pracy. Najczęściej było to o zachodzie słońca, bo wtedy woda była najcieplejsza. Pamiętam to. Ja i moja rodzina również korzystaliśmy z takowych kąpeli.

O znaczeniu i wykorzystaniu rzeki Orzyc pisałam w wierszu (bez tytułu) zamieszczonym przed sześciu laty w „Wieściach...” (nr 6, czerwiec 2008).

Wioskę Bagienice okalają wsie: od wschodu - Nowosiedliny i Amelin, od południa - Biernaty i Chłopia Łąka, od zachodu - Przytuły, od



Alina Białczak z domu Piotrowska córka Jana i Janiny Piotrowskich, ur. 1941 w Bagienicach. Nauczycielka, związana całe życie zawodowe z Drażdżewem. Zdjęcie wykonane w 1960 roku tj. pierwszym roku jej pracy w Drażdżewie.

Bagienice należą do powiatu makowskiego (Maków Maz. w odległości ok. 30 km), niegdys województwo warszawskie, potem - ostrołęckie, obecnie - mazowieckie. Z dawien dawna Bagienice dzieliły się na: Bagienice Szlacheckie, Bagienice Włościańskie i Bagienice-Folwark. Były więc trzy sołectwa i trzech sołtysów. Do dziś trudno zrozumieć, na czym polegał ten podział, kto do jakich był przypisany i na jakiej zasadzie. Prawdopodobnie zależało to od stopnia zamożności (ale od czego jeszcze?). Myślę, że młodych mieszkańców Bagienic już to mało interesuje - kto szlachcic na zagrodzie, kto hrabia na włościach, a kto ziemianin folwarczny.

W 1827 roku Bagienice Tryłoga miała 29 domów i 225 mieszkańców. Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego (1881, t. I, s. 6) podaje: „Bagienice Tryłogi, wieś nad rzeką Orzyc, powiat makowski, gmina i parafia Krasnosielec” (powinno być Krasnosielec).

Uchwycony w Skorowidzu miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej, wydany w Warszawie w 1925 roku, obraz miejscowości rysuje się następująco - opracowanie to na podstawie głównie spisu ludności z dnia 30 września 1921 roku, podaje już 4 miejscowości w gminie Krasnosielec posiadające w swojej nazwie człon - Bagienice, a są nimi:

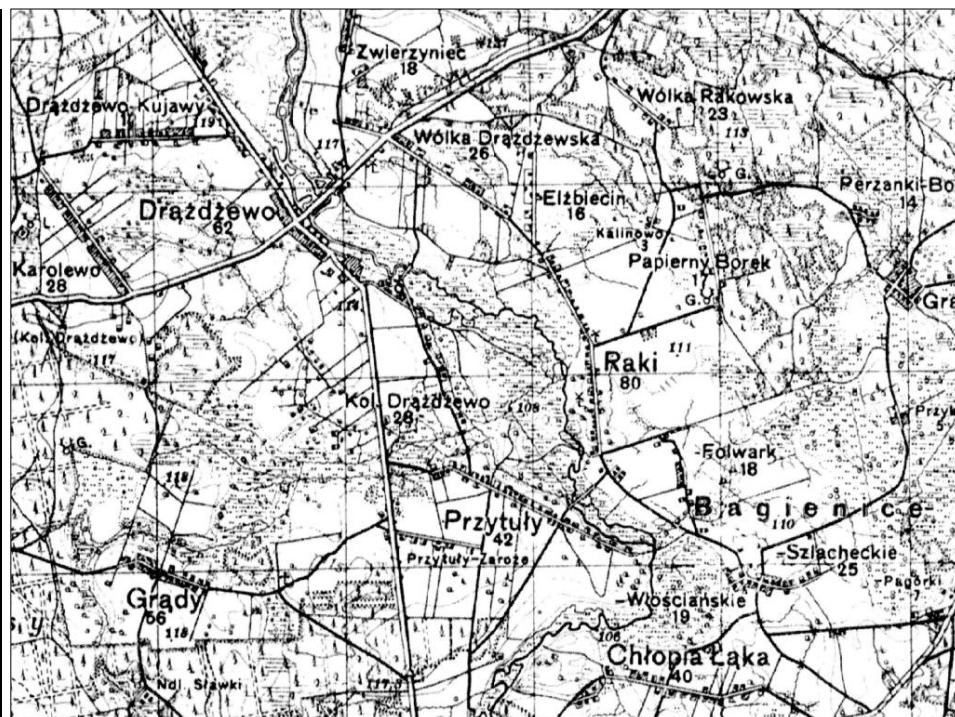
1. Bagienice Folwark /19 domów - 149 osób/,
2. Bagienice-Pagórki /10 domów - 61 osób/,
3. Bagienice Szlacheckie /15 domów - 97 osób oraz
4. Bagienice Włościańskie /14 domów - 131 osób/.

Łącznie zamieszkiwało w 58 domach mieszkalnych 438 osób. Wszyscy zadeklarowali się jako osoby narodowości polskiej, wyznania rzymsko-katolickiego, za wyjątkiem 2 osób z Bagienic Włościańskich, które w pozycji narodowość podało - „inna”, a jako wyznanie podali - „inne chrześcijańskie”. Dodać tu trzeba, że spis ten wyróżniał oprócz narodowości polskiej również niemiecką i żydowską, a z wyznania oprócz rzymsko-katolickiego: ewangelickie i mojżeszowe - zatem te dwie osoby do takich nie należały.

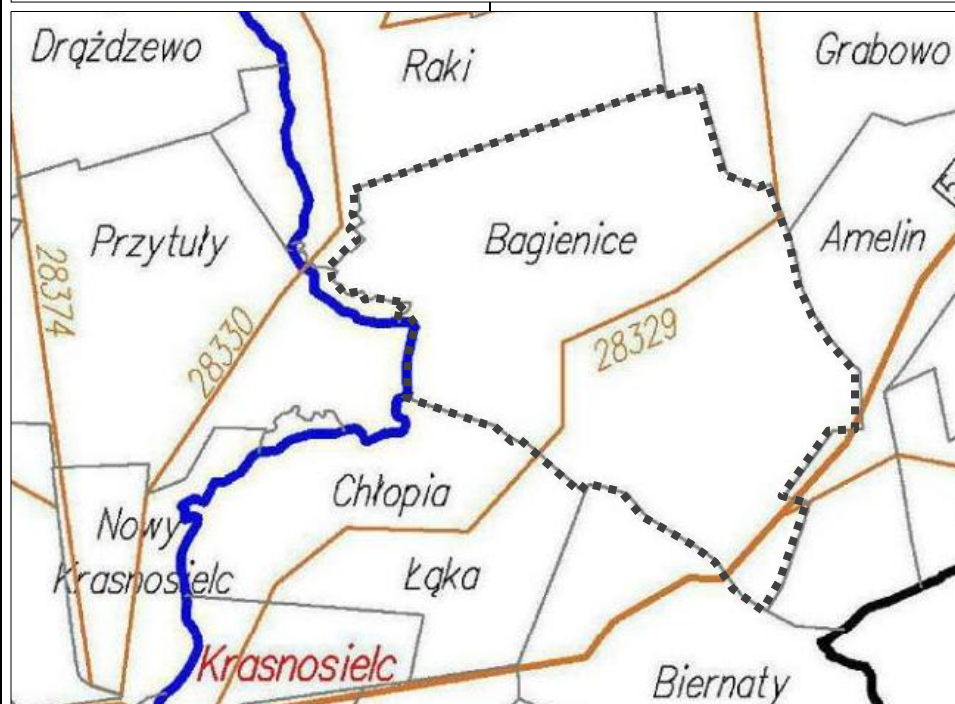
Natomiast w księdze „Spis Miejscowości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” (Wydawnictwa Komunikacji i Łączności, Warszawa 1968) zamieszczony jest alfabetyczny spis miejscowości z podaniem gromady, powiatu, województwa, urzędu pocztowego, stacji lub przystanku kolejowego, oraz urzędu stanu cywilnego - według stanu na dzień 1 czerwca 1966 r. (s. 29):

1. Bagienice, wieś, gromada Amelin, siedziba Pow. Rady Narod. - Maków Maz., woj. warszawskie, poczta Krasnosielec, stacja kolejowa - Jastrząbka, USC - Krasnosielec.
2. Bagienice-Pagórki, wieś, ... reszta jw.
3. Bagienice Szlacheckie, wieś, ... reszta jw.
4. Bagienice Włościańskie, wieś, ... reszta jw.

Ze swojego dzieciństwa pamiętam jeszcze tzw. Górkę, której nazwa utrwaliła się do dnia dzisiejszego. Mieszkali tam państwo Grabowscy, Zuzelscy, Napierkowscy. Dziś posesje te zamieszkują ich dzieci. Natomiast zagroda państwa Dudków (Stanisława i Antoniny), a obecnie państwa Kłósów, utrwalona była „Na polu”, w odróżnieniu od innej rodziny Dudków mieszkającej pośrodku wsi. Jeżeli zaś chodzi o położenie pól, łąk i lasów utrwalone były na-



Mapa fragmentu gminy Krasnosielec, najprawdopodobniej sprzed II wojny światowej.



Fragment mapy podziału administracyjnego i najważniejszych szlaków komunikacyjnych gminy Krasnosielec, skala 1 : 88 000. Obszar określony jako „Bagienice” zawiera dwa sołectwa: Bagienice-Folwark oraz Bagienice Szlacheckie. Źródło: Urząd Gminy Krasnosielec.

zwy: Nakiel, Maciówka, Pańniki, Biel, Wygonka, Morgi, Damaza, Głębówka, Zdrój, Sołtyska, Granica, Włoki, Podborze, Małe Działki, Duże Działki, Kamionki, Zarówniak, itp.

Najnowsze dane statystyczne wg Urzędu Stanu Cywilnego w Krasnosielcu podają dwa sołectwa zawierające w swojej nazwie człon „Bagienice”, są nimi Bagienice-Folwark z 88 mieszkańcami oraz Bagienice Szlacheckie ze 163 zamieszkałymi osobami.

Bez większego ryzyka można podać, że w skład obecnych Bagienic Szlacheckich wchodzi dawne Pagórki - to zabudowania zlokalizowane głównie przy drodze wojewódzkiej 544 Krasnosielec-Ostrołęka, tuż przed Amelinem, Bagienice Włościańskie leżące bliżej

Chłopiej Łąki oraz same Bagienice Szlacheckie.

Jak widać z powyższego nie ma już wzmianki o wsi Tryłogi (spotykałam się też z nazwą Trełoga).

*Panta rhei* - wszystko płynie, wszystko się zmienia - na powyższym przykładzie widać, że i nazwy miejscowości jak, i ich losy również podlegają tej prawdzie.



Emilia Ostaszewska przed swoim domem rodzinnym (drewniany, kryty słomą), 1941 r. Stodoła na posesji rodzinnej autorki niniejszego artykułu.



Dom rodziny Włodarskich, pierwotnie drewniany ze słomianym dachem, a obecnie obłożony sidingiem i pokryty eternitem i dom rodziny Klików.



Studnia na żuraw, obok studnia na kółko.

Bagienice to wieś typowo rolnicza. Gleby są żyzne, ziemia w większości pszenno-buraczana. W czasach odległych (XVIII, XIX w.) były tu drobne gospodarstwa rolne. Uprawiało się grykę, proso, len - wyparte dziś przez inne rośliny, np. kukurydzę.

Zarówno cięższe, jak i lżejsze prace w obejściu i w polu wykonywane były ręcznie. Jedyłą pomocą były: widły, motyka, grabie, kosa, łopata, pług jednoski-bow, za którym rolnik, orzący w jednego konia, mierzył kilometry! Orka i inne prace w polu i w zagrodzie były długie, ciężkie i żmudne. O traktorach, urządzeniach mechanicznych mowy nie było. Tak więc ziemniaki sadzone i kopane były motyką trójzębną.

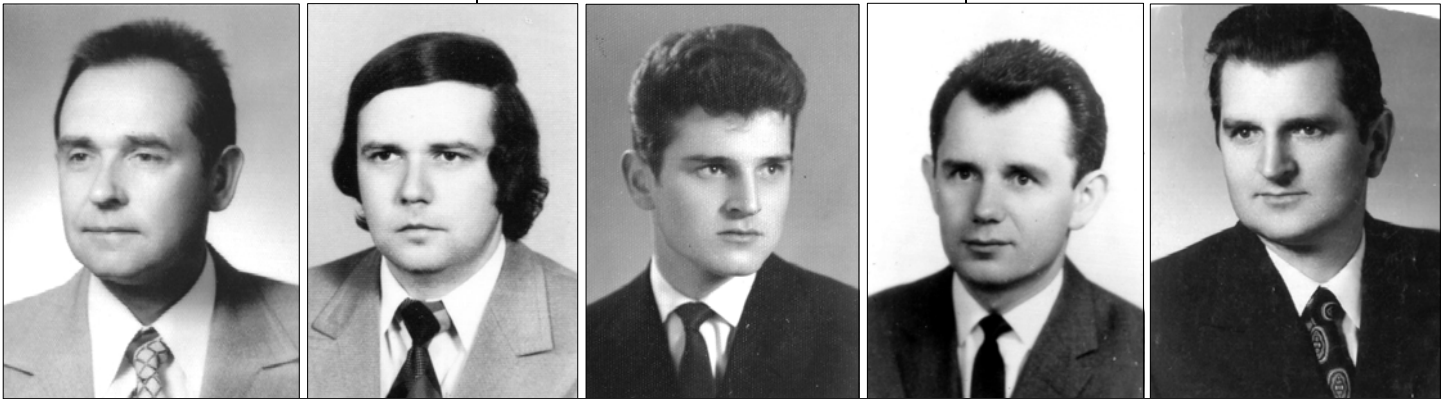
Zboże rolnik wysiewał z płachty noszonej przed sobą, a koszone było początkowo sierpem, a potem kosą.

O trudach tej ciężkiej, codziennej pracy pisałam w wierszu pt. *Moje wspomnienia z Bagienic* na łamach „Wieści...” (nr 9, wrzesień 2012).

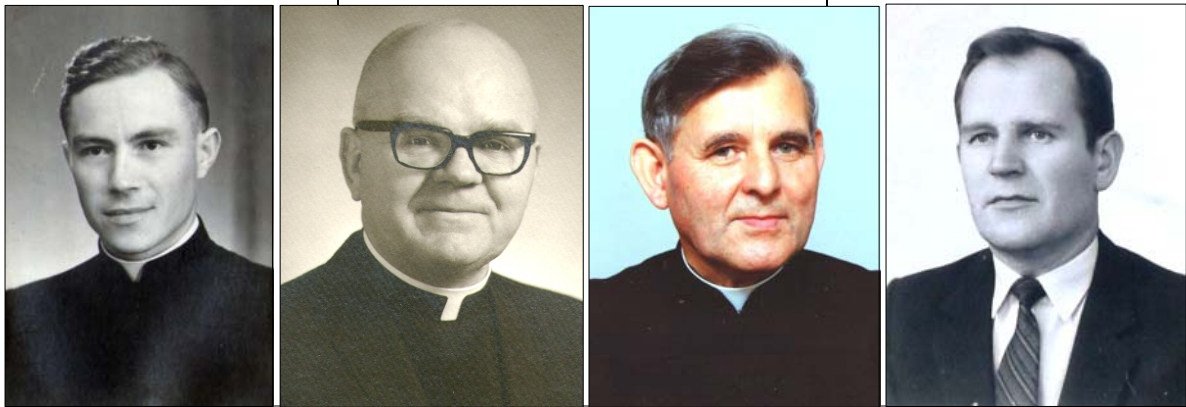
Pisząc tu o Bagienicach, skupiłam się na tej wsi, gdzie stoi mój rodzinny dom, sąsiedzi - na prawo i na lewo - w zwartej zabudowie i jednym sołectwie.



Od lewej: Jadwiga Ferenc, c. Stanisława i Czesławy, ur. 1933, nauczycielka, Lidzbark Warmiński.  
 Danuta Ferenc (1931-2012), c. Aleksandra i Bronisławy, nauczycielka, Olsztyn.  
 Alina Białczak, ur. 1941, z domu Piotrowska córka Jana i Janiny, nauczycielka związana całe życie zawodowe z Działdowem.  
 Marianna Klik, c. Aleksandra i Stanisławy, ur. 1934, nauczycielka, Olsztyn.  
 Krystyna Ferenc, c. Aleksandra i Bronisławy, ur. 1927, nauczycielka, Łódź.



Od lewej: Aleksander Ferenc, s. Stanisława i Czesławy, ur. 1931, technik, Szczecin.  
 Jan Ferenc, c. Stanisława i Czesławy, ur. 1946, nauczyciel, Świątki k. Olsztyna.  
 Karol Ferenc, s. Aleksandra i Bronisławy, ur. 1939, inżynier, Bydgoszcz.  
 Stanisław Ferenc, s. Aleksandra i Bronisławy, ur. 1929, prawnik, Warszawa.  
 Romuald Ferenc, s. Aleksandra i Bronisławy, ur. 1933, inżynier, Prabuty.



ks. Romuald Chodkowski (1933-1997), s. Aleksandra i Marianny, prob. par. Unierzyż.  
 ks Stanisław Grabowski (1911-1993) s. Franciszka i Małgorzaty, prob. par. Seaforth (USA)  
 ks Tadeusz Janowski s. Władysława i Anny, ur. 1932, emeryt. prob. par. Lekowo, pow. ciechanowski.  
 Leon Ferenc (1941-2007), s. Aleksandra i Bronisławy, technik, Olsztyn.

Po roku 1945 droga do nauki była otwarta dla wszystkich chętnych. Po pełnej szkole 7-klasowej czekały szkoły ogólnokształcące, licea pedagogiczne, szkoły zawodowe oraz inne typu maturalnego. Po maturze, ktokolwiek przejawiał chęci i zdolności do nauki, kształcił się dalej. Młodzież z Bagienic nie zaprzepaściła tej szansy. Uczyła się w różnych kierunkach, w zależności od zainteresowań i zamiłowań. Wiele osób w toku nauki uzyskało maturę, a często studia wyższe. Z tego co wiem, najczęściej - zwłaszcza dziewcząt - szło do liceum pedagogicznego, które przygotowywało do

pracy w przedszkolu lub szkole. Lata po 1945 roku to najbardziej korzystny okres do nauki dla dzieci i młodzieży ze środowisk wiejskich i rodzin biednych. Dzieci biedne mogły mieszkać w internacie, otrzymywać zapomogi i stypendia, które były bardzo pomocne. Pozwolił sobie zaprezentować choć kilka osób, które po 1945 r. opuściły swoją rodzinną wieś i przeniosły się do miast. Tam się wykształciły, zdobyły zawody i tam zamieszkały.

Jest jeszcze wiele osób godnych uwagi, wykształconych, pełniących ważne funkcje, którzy ułożyli sobie życie poza Bagienicami zarówno po wojnie jak i znacznie wcześniej. Jed-

nym z nich był ks. Stanisław Grabowski, który wszystkie lata wojny spędził w obozach koncentracyjnych: Stutthof, Sachsenhausen i Dachau, a po wyzwoleniu osiadł w Ameryce.

Byli też różni rzemieślnicy, jak szewcy i krawcy i inni, czy np. słynna na okolicę orkiestra Milkowskich. Nie jestem jednak w posiadaniu zdjęć tych osób, ani dokładnych wiadomości o nich.

Przed drugą wojną światową i po niej, pod ręcznym i najbardziej dostępnym materiałem budowlanym było drewno i słoma. Dlatego wszystkie budynki kryte były słomą. Na dzień dzisiejszy w Bagienicach są tylko 2 takie domy drewniane, najstarsze liczące po ponad 100 lat. Jeden z nich to dom państwa Włodarskich. Ten drewniany domek obłożony jest dziś sidin- giem. Zmienił swój pierwotny wygląd, ale zyskał na ociepleniu i zabezpieczeniu elementów drewnianych. Przez lata tonął w kwiatkach i drzewach owocowych. Można go zaliczyć do zabytków Bagienic.

Do 1955 r. wszystkie domy i budynki gospodarze w Bagienicach były drewniane i wyglądały mniej więcej tak jak na zdjęciu obok.

W takiej oto niewielkiej wsi, o takim położeniu geograficznym, takich warunkach gospodarczych, społecznych i kulturowych dane było mieszkać wielu rodzinom, naszym pradiadkom, dziadkom, rodzicom, oraz nam, jako dzieciom, spędzać przy rodzicach swoje dzieciństwo i młodość. Wtedy nie było nawet światła elektrycznego. Zabłyśnięło ono dopiero w 1957 r. Wnętrze mieszkania oświetlały lampy naftowe, a w obejściu - latarka.



Dom rodzinny Aliny Białczak.



Alina Białczak z Krystyną Gajek c. Aleksandra Gajka, na dachu swojego rodzinnego domu.

Wanna i tara - to atrybuty dawnej praczki. Na obudowie tary było miejsce na kawałek mydła, robionego często we własnym zakresie.

Plukanie odbywało się zazwyczaj przy studni, by nie dźwigać wiader wody. A i studnie były różne: na żuraw, na kluczkę, na wałek itp. Po praniu i suszeniu następowało prasowanie żelazkiem, oczywiście nie elektrycznym. Żelazka były różne: z kominkiem lub bez, większe lub mniejsze, na duszę lub na węgiel drzewny. Ze sprzętów domowych na uwagę zasługują łóżeczko-kołyska dla małych dzieci.



Żniwa były najważniejszym elementem gospodarowania, była to swoista kropka nad „i” całorocznego wysiłku w gospodarstwie. To one mówiły jak całej rodzinie żyło się będzie przez cały następny rok, czy będzie czym nakarmić inwentarz i samemu z czego piec chleb. Ile ziarna zboża zebrano zależało od pogody, ale było to również wyznacznikiem umiejętności konkretnego gospodarza. Gdy kłosa gęste i ciężkie na polu, a ziarno w młockarni dobrze sypało, to serce chłopca rosło, a razem z nim i duma z dobrego gospodarzenia.

W drugiej połowie lipca wychodzono już z kosami by ciąć zboże. Kośnicy, choć nie zawsze - to jednak z reguły, zakładali dla ochrony spodni specjalne fartuchy - widoczne na zdjęciu na stronie pierwszej artykułu. Wyposażeniem kośnika była poza kosą z pałąkiem, który umożliwiał odkładanie koszonego zboża na nieskoszoną jeszcze ścianę żyta lub pszenicy, również oselka - służąca do naostrzenia lekko przytępionej kosa oraz często metalowa babka, młotek i mały pieniek, w który wbijało się babkę, by kosą poklepać. Jeśli pole było równe, a kośnik sprawny to podczas koszenia wystarczała jedynie oselka, a klepanie kosa wykonywano w porze obiadowej, podczas tzw. przypołudnika. Umiejętność przygotowania i ostrzenia kosa musiał posiadać każdy dobry kośnik, gdyż stępią kosą w żaden sposób nie dawało się pracować.

Odbieraczki postępowywały za kośnikami, zbierając ręką lub lepiej sierpem, ścięte na tzw. ścianę zboże, a następnie je wiązały w snopki i odrzucały na ściernisko. Na koniec koszenia, często wieczorem snopki ustawiano w kucki, które zwożono dopiero do stodoły lub na stertę po kilkunastu dniach, gdy odpowiednio wyschły.

Gdy miałam z 10 lat mama wysłała mnie rano do Krasnosielca po chleb. Poszła też ze mną znacznie młodsza koleżanka - Karolina Dudek. Kolejka w piekarni państwa Ogrodowicz była tak duża, a ścisk w niej taki, że chleba nie udało się nam kupić. Zrozpaczone stałyśmy tam załamane, co zobaczył pan Ogrodowicz i mówi byśmy zaczekały parę godzin, bo po południu znów upieczą chleb i wtedy dla nas na pewno starczy. I tak się stało.

Wracamy po południu z tym chlebem do domu, a tu nagle burza. Schowałyśmy się pod kucki zboża, ale każda pod swoją. Burza szaleje, pada rześisty deszcz i grzmoty strasznie, a nasze lichutkie schronienia rozpaść się chcą na tej wichurze. Karolinka krzyczy do mnie, że się boi strasznie i że bym do niej przyszła, a ja - że i ja też strasznie się boję, i by ona do mnie przybiegła. W końcu to ja do niej biegnę, by być razem, a tu nagle jak nie trzaśnie za mną, oglądam się, a to moja kucka płonie od pioruna... Wtedy to dostałam drugie życie od Boga.



... a zdjęcia zachowały się do dziś jako pamiątka i jednocześnie historia ...

Artykuł ilustruje cykl fotografii wykonanych przez brata autorki Stanisława Piotrowskiego, mieszkającego w Warszawie, podczas jednego z pobytów w rodzinnej wsi w lipcu 1966 roku.

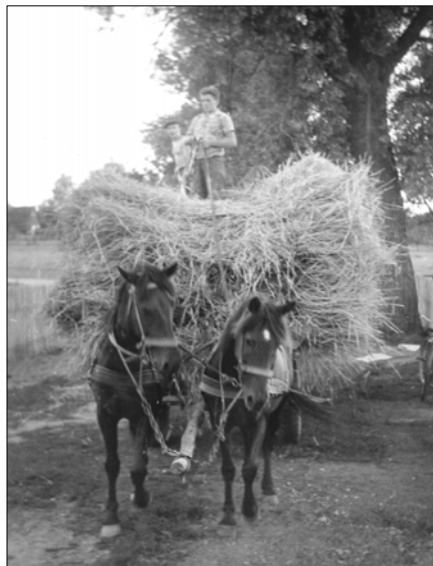
Od lewej: 1. Fura wjeżdża z pola na podwórko. 2. i 3. Mój tata - Jan Piotrowski miał zawsze dużo radości z przyjazdu gości. Dla gości z Warszawy zobaczyć taką młockę to była frajda nie lada. Wejście na stertę po drabinie to wyzwanie, ale zejście z niej to czasem trudność mocno stresująca. 4. Jan Piotrowski i jego zięć - Marian Białczak, wiążą pęki słomy. 5. Fura ze zbożem podjeżdża do młockarni. Na wozie Józef Milkowski i Stanisław Piotrowski. 6. Radość gospodarza z worów pełnych ziarna - Jan Piotrowski.

Młocka zboża – lipiec 1966 roku, to dziś zapomniane wydarzenie, choć w tamtych latach żmudna, czasochłonna i bardzo ciężka praca. Często łączono siły sąsiedzkie lub rodzinne, by sprawnie i w odpowiednim czasie przeprowadzić to niezwykle ważne na wsi wydarzenie gospodarczo-społeczne.

Skoszone ręczną kosą – później coraz częściej, maszyną ciągniętą przez konie lub traktor, zwaną kosiarką lub żniwiarką, zborze, zestawiano w kucki /stygi, dziesiątki/ po kilkanaście snopów. Po kilku lub kilkunastu dniach – w zależności od warunków pogodowych, snopy ładowano ręcznie widłami na wozy i zwożono do stodoły, na stertę /certę, scertę, szczyrtę, stóg/ lub bezpośrednio do młockarni. Samą młockarnię obsługiwał jeden doświadczony mężczyzna, który otrzymując snopki rozcinał

charakterystycznym zakrzywionym nożem wiążące je powróśla, by następnie stopniowo zawarte w nich zborze wpuszczać do otworu młockarni. Wirujący bęben młockarni powodował wypadanie ziaren zboża ze snopów, a pozbawiona ich słoma spadała na rawki, by zostać odebraną przez silnych chłopów wiążących ją w duże snopy zwane pękami. Mężczyźni ci wiązali pęki, w których skład wchodziła słoma z ok. 4 do 8 snopków przywiezionych z pola. Używali do tego powróseł samodzielnie wykonanych ze słomy. Wymagało to siły i umiejętności zarazem. Słoma niezwiązana powróslami zwana była właśnie targanką. Po takiej pracy z reguły wszyscy zapraszani byli na obiad, by odbudować siły. Były rozmowy, żarty i ... poczucie wspólnoty. Po poczęstunku, który czasem zawierał i kielich

wódki, słomę wnoszono do stodoły lub układano w certę na zewnątrz. Z reguły pierwsze omloty urządzano bezpośrednio po żniwach, by zyskać ziarno na siew, a główne jesienią lub zimą. Młockarnie były dwojakiego rodzaju, tzw. na brudno i czysto. Ziarno z tych pierwszych po młocke wymagało oczyszczenia w wialni lub młynku. Z tych drugich, z reguły napędzanych silnikami dieslowskimi tzw. esami - ziarno było czyste – sypane prosto do worków. Omloty zboża w tamtych czasach były pracą wybitnie społeczną i wspierającą wspólnotę wiejską, choć i tak rewolucyjnie ułatwiająca pracę rolnika, gdyż wcześniej młócono cepami, które do zobaczenia już tylko w skansenach.





Jest też sprawą oczywistą, że nie wszyscy z rodziny mogli się kształcić i przenieść do miasta, by tam ułożyć sobie lepsze życie. Wiele osób, szczególnie chłopców, przejawiało zainteresowanie do pracy w gospodarstwie rolnym lub wynikało to z konieczności, by ktoś pozostał w domu i przedłużał ślady pracy swoich rodziców. Ci przyszli rolnicy (następcy rodziców) kończyli różne szkoły typu rolniczego, różne kursy i stali się dobrymi i bardzo dobrymi rolnikami, fachowcami w swojej dziedzinie. W miarę możliwości powiększali swój areal, dorabiali się maszyn rolniczych, by usprawnić i ulżyć sobie w ciężkiej pracy. Zadbali też o godziwe warunki mieszkaniowe. Postawili nowe domy z wygodami, budynki gospodarcze, ukierunkowali swoją działalność.

Dzięki tym osobom, które pozostały na roli - życie i produkcja rolna na wsi toczy się dalej. Ziemia nie leży ugięta, wieś się nie starzeje i nie pustoszeje. Nie jeden raz słyszałam powiedzenie: rolnik to producent, żywiciel, a reszta karmi się jego produktami, to wyjada. Jednocześnie nie jest słusznym powiedzeniem, że rolni śpi - a w polu mu samo rośnie. Każda praca w gospodarstwie, na polu to wielki wysiłek i fizyczny i umysłowy. Przypomniałam już wcześniej jak wyglądała chociażby młocka, kiedy jeszcze nie było kombajnów. Przynajmniej 9 osób ciężko pracowało, w kurzu i hałasie.

Niektórzy twierdzą, że ziemniaki pozwoliły Europie na niespotykany wzrost liczby ludności w drugiej połowie XVIII wieku, i pewnie dużo w tym prawdy, ale ile przy ich uprawie było pracy! Na zdjęciach od góry: przygotowanie na wiosnę ziemniaków do sadzenia z tzw. rejki. Rejka to nic innego jak wykopany prostokątny dół na głębokość kilkudziesięciu centymetrów, w który wsypywano zebrane ziemniaki, tworząc charakterystyczny kopczyk z nich, następnie okrywano go prostą słomą i przykrywano ziemią o grubości kilku do kilkunastu centymetrów. Wykonywano też u góry takiej rejki otwór wentylacyjny, by nagrzane powietrze mogło się ulatniać.

Rozwinięciem technologicznym rejki był parsk. Budowano go podobnie, z tym że dół kopano głębszy i przed przykryciem słomą ustawiano tzw. koźlinę, czyli konstrukcję wykonaną z tyczek, żerdzi i grubszych patyków. Następnie dopiero kładziono słomę i ziemię - dziś powiemy, że była to taka prymitywna piwniczka. Do parsku prowadziło wejście z prymitywną furtką lub otwór zastawiany snopem słomy. Parsk mógł być wieloletni, a przechowywano w nim oprócz ziemniaków również inne płody rolne: buraki, kapustę, brukiew itp. Zarówno rejka jak i parsk umożliwiały przechowanie przez zimę płodów rolnych, a ten drugi w czasach wojny często służył jako tymczasowe domostwo!

Ziemniaki kopano motykami lub trójzębnymi kopaczkami, później kopaczkami tzw. wiatrakowymi ciągniętymi przez konie. Wraz z upowszechnieniem ciągników wprowadzono tzw. kopaczki łańcuchowe dwurzędowe. Szczególnie gdy w powszechne użycie weszły kopaczki mechaniczne w kopaniu uczestniczyło po kilkanaście osób. W czasie przerw tzw. podobiadków i podwieczorków gospodarz serwował jakies jedzenie. Z reguły były to kanapki, placki drożdżowy i obowiązkowa kawa z mle-



kiem lub herbata. Kto tak jadał wie jak dobrze smakowało.

Bardziej zamożni gospodarze we wsi organizowali dokopki „na ochotnika”. Zapraszali do zbierania ziemniaków wszystkich chętnych.

Uzbierało się sporo ludzi, i starsi, i młodzież i dzieci. Każdy miał swój kosz, wyznaczoną działkę do wyzbywania. Z naborem chętnych do zbierania kłopotu nie było. Ja również brałam udział w takich dokopkach. Wieczorem



... wtedy nie było nawet światła elektrycznego, zabłysnęło ono dopiero w 1957 r. Wnętrze mieszkania oświetlały lampy naftowe, a w obejściu – latarka ... naftowa, a prąd kupowało się w wiaderkach : ) , prąd tzn. naftę do lamp.

była wspólna wystawna kolacja, a nawet muzyka i tańce. Taki zwyczaj w latach 50-tych był powszechny.

Starsze dzieci i młodzież na wsi swój wolny czas - choć zawsze było go zbyt mało, przeznaczały na różne gry i zabawy, charakterystyczne dla danego okresu czasu. Były to: palant, w chowanek, dziuki, klasy, państwa, berek, dwa ognie tzw. narodówka, cintak, gąski do domu, różne gry w karty, zabawa z drutem i fajerką, czyżyk.

Wspomnienia o rodzinnych Bagienicach zakończę najnowszym swoim wierszem, który napisałam 5 czerwca 2014 r.

## Pamiętam...

Pamiętam dom, od wszystkich - inny,  
Lecz najukochańszy, bo rodzinny.

Domek drewniany, w dodatku mały,  
A w czasie wichury ściany jego drżały.

Ilekcóż noce były nieprzespane,  
By wstać szczęśliwie, gdy będzie ranek.

Pamiętam troskę rodziców moich  
O noc spokojną dla dzieci swoich.

Pamiętam wierzbę, jak parasol była,  
I naszą chatkę przed wiatrem chroniła.

Pamiętam Kruczka i figle kocie,  
Kartofle w parsku i statki na płocie.

Pamiętam krówki, czerwone, łaciate,  
Nasze żywicielki - i zimą, i latem.

Pamiętam krawca i panią krawcową,  
Co w mig uszyła sukieneczkę nową.

Pamiętam szewca, co szył nam buty,  
By nogi nie zmarzły, gdy przyjdzie luty.

Pamiętam drogi - wiejskie, błotniste,  
Pobliskie łąki - chociaż kwieciste, ale bagniste!

I stróżów pamiętam, co wartowali,  
Nocnego porządku we wsi pilnowali.

Pamiętam troskę o chleb na stole,  
O ziarno zboża, zaoraną rolę.

Pamiętam trudy życia codziennego,  
Niepowtarzalny smak chleba Matczynego.

Pamiętam troskę Ojca kochanego,  
By dzień zakończyć: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Pamiętam i wracam ciągle myślami,  
Ci, co odeszli niech będą z nami.

Pamiętam dużo z dziecinnych lat,  
A dziś obserwuję jak zmienia się świat.

Nawet gdy serca przestaną bić -  
Wspomnienia będą dalej żyć!

*Alina Białczak z d. Piotrowska  
współpraca techniczna i edytorska:  
Tadeusz Kruk i Sławomir Rutkowski*

Większość zdjęć pochodzi z archiwum rodzinnego. Fotografie dokumentujące młockę zostały wykonane w gospodarstwie moich rodziców w lipcu 1966 r., natomiast te z prac polowych udostępniła pani Hanna Olkowska, a zdjęcie ks. R. Chodkowskiego przekazała pani Krystyna Chodkowska.

Mapę gminy oraz najnowsze dane statystyczne udostępniła Sekretarz Gminy Krasnosielc – pani Grażyna Rogala.



## Zbrodnia wojenna w Grabowie - suplement

*Tadeusz KRUK*

W październiku 2013 r. na łamach Krasnosielckich Zeszytów Historycznych (nr 15-16) zamieściłem artykuł pt. Zbrodnia wojenna w Grabowie. Treść dotyczyła tragicznych wydarzeń z 8-9 stycznia 1943 r., które rozegrały się w tej miejscowości i represji, jakie spadły na mieszkańców w najbliższym czasie.

Na podstawie licznych rozmów z byłymi i obecnymi mieszkańcami Grabowa oraz kwerend i innych źródeł starałem się odtworzyć i przypomnieć tragedię sprzed 70 lat. Zdawałem sobie sprawę, że to nie jest i nie będzie, z różnych względów, obraz pełny. Świadom tych niedociągnięć zaznaczyłem w zakończeniu artykułu, że: „W opinii społecznej istnieją dwie wersje wydarzeń. Pierwsza - uciekający szmugler zabił żandarma, druga - żandarm zginął z ręki kolegi”. Chociażby już z tego względu można mieć wątpliwości, co do przebiegu zdarzenia. Mimo to uważałem, że należy od czegoś zacząć, czyli oprzeć się na zgromadzonym materiale. Zawsze w takich przypadkach odwołuję się do, jakże trafnego, powiedzenia Joachima Lelewela: „Pisać co można, a nie frasować się, że tu i ówdzie czegoś brak. Przyjdzie drugi i trzeci - i dopełnią. Tak się tworzyły - i dziś jeszcze tworzą wszystkie historie”. Nic dodać, nic ująć, tylko pisać.

Po publikacji artykułu nastąpił sympatyczny odzew - bezpośredni, mailowy i telefoniczny. Ktoś coś potwierdzał, sugerował, podpowiadał... Odnalazła się nawet pełna treść piosenki\* ułożonej na okoliczność tej potwornej zbrodni. Były też podziękowania i zachęta do podobnych relacji („bo to przecież ciekawe”). Nadszedł także, na ręce prezesa Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej (TPZK) Sławomira Rutkowskiego, mail z Instytutu Pamięci Narodowej (IPN), w którym prokurator Mariusz Rębacz napisał m.in.: „Szanowny Panie Prezesie, jestem prokuratorem IPN w Warszawie. Poszukując, w ramach prowadzonego śledztwa, w sprawie rozstrzelania przez Gestapo z Ciechanowa w dniu 9 stycznia 1943 r. w Grabowie 7 mieszkańców Grabowa<sup>1</sup> oraz pozbawienia wolności 24 zakładników i umieszczenia ich w obozach koncentracyjnych, informacji pomocnych w ustaleniu aktualnie żyjących osób najbliższych rozstrzelanych i wywiezionych do obozów koncentracyjnych (...) trafiłem na stronę internetową Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej oraz zapoznałem się z publikacją zamieszczoną w Krasnosielckich Zeszytach Historycznych nr 15-16 autorstwa Tadeusza Kruka - „Zbrodnia wojenna w Grabowie”. Cieszę się, że temat ten został przypomniany mieszkańcom Grabowa. Jednocześnie chciałbym nadmienić, iż w prowadzonym śledztwie, które jest kontynuacją śledztwa wszczętego w dniu 29 czerwca 1968



Prokurator IPN Mariusz Rębacz na spotkaniu z mieszkańcami Grabowa 21 stycznia 2014 roku.

r. i nie zakończonego decyzją merytoryczną przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Warszawie, została zebrana pokaźna ilość relacji rodzin nieżyjących pokrzywdzonych oraz tych pokrzywdzonych, którzy przeżyli obozy koncentracyjne oraz unikatowe, liczące około 150 stron materiały wytworzone przez Gestapo dotyczące objętego śledztwem zdarzenia.



Mariusz Rębacz - prokurator Instytutu Pamięci Narodowej na spotkaniu w Grabowie 21 stycznia 2014 roku

Celem prowadzonego postępowania jest ustalenie okoliczności wspomnianego zdarzenia oraz ustalenie osób pokrzywdzonych i osób najbliższych dla pokrzywdzonych, którym po śmierci pokrzywdzonych, również przysługują uprawnienia procesowe pokrzywdzonych.

Kwestią, która w mojej ocenie, wymaga również pogłębienia są wszelkie informacje dotyczące osób, które miały wziąć udział w zamachu na żandarma - tj. Edwarda Szumowskiego, robotnika z Grabowa i Stefana Kubata pochodzącego prawdopodobnie z Ostrołki oraz informacje dotyczące żyjących członków ich rodzin oraz podanie ich adresów lub innych danych umożliwiających kontakt z nimi.

Wobec powyższego chciałbym zapytać tą drogą, czy możliwe byłoby nawiązanie współpracy z Towarzystwem Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej w realizacji wykonywanych przeze mnie zadań i na jakich warunkach.

Będę wdzięczny za przekazanie informacji w tej sprawie (...).

Wobec takiego obrotu sprawy odpowiedź TPZK mogła być tylko następująca:

„Szanowny Panie, TPZK z przyjemnością, w ramach swoich możliwości, podejmie współpracę w przedmiotowym zakresie. Osobą najwłaściwszą w tym temacie jest sam autor wspomnianego tekstu - Tadeusz Kruk. (...) Pozdrawiam, Sławomir Rutkowski”.

Powyższą deklarację współpracy poparłem treścią maila: „Szanowny Panie Prokuratorze,

w odpowiedzi na Pański list (mail) z 20 listopada br. skierowany na adres Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej (TPZK), a dotyczący wydarzeń z okresu II wojny opisanych w moim artykule pt. „Zbrodnia wojenna w Grabowie” (KZH 15-16/2013) wyjaśniam:

- z zebraniem jakichkolwiek wartościowych informacji o tej zbrodni są problemy, głównie z racji znacznego upływu czasu, zaś nieliczni żyjący świadkowie, wówczas dzieci, obecnie osoby wiekowe, nie są w stanie odtworzyć wiarygodnie tamtych wydarzeń, ponadto wracają do nich niechętnie, zaś młodszy znają je jedynie powierzchownie, fragmentarycznie i wybiórczo.

- w swoim opracowaniu zamieściłem wszystkie uzyskane i zweryfikowane (na miarę swoich możliwości) informacje od naocznych świadków i osób postronnych,

- nikt z moich rozmówców nie wspominał osób wymienionych przez Pana, tj. Edwarda Szumowskiego i Stefana Kubatę jako domniemych sprawców zabójstwa żandarma. Jedynie raz padło podobnie brzmiące nazwisko przemytnika - Kubacz, osoba bliżej niezidentyfikowana”.

Niebawem, przy zachowaniu wymaganych prawem procedur, otrzymaliśmy z IPN-u zestaw kserokopii dokumentów niemieckich, sygnowanych przez Prokuraturę przy Sądzie Krajowym w Gießen z 5 stycznia 1984 r., dotyczących zbrodni popełnionych na obywatelach polskich przez funkcjonariuszy Rejencji Ciechanów.

Okręg Rządowy (Rejencja) Ciechanów należał do Prowincji Prusy Wschodnie. Zamieszkiwało go ok. 880 tys. osób (dane 1939). W Ciechanowie miał siedzibę prezydent rejencji i sąd krajowy. W skład rejencji wchodziły następujące powiaty: Mackheim (Maków Maz.), Mielau (Mława), Ostenburg (Pułtusk), Plöhnen (Płońsk), Praschnitz (Przasnysz), Scharfenwiese (Ostrołęka), Schröttersburg (Płock), Sichelberg (Sierpc), Zichenau (Ciechanów). Na czele powiatu stał starosta.

W latach 1939-1941 Posterunek Policji Państwowej mieścił się w Ciechanowie, a następnie w Płocku. W 1944 r. został przekształcony w Posterunek Policji Państwowej Ciechanów-Płock. Podlegały mu oddziały posterunków policji w Mławie, Pułtusku, Płocku i Przasnyszu. Pod Przasnysz podlegał posterunek żandarmerii w Drażdżewie o trzyosobowej obsadzie: Kosko, Kinold i Resmer<sup>2</sup>. To ci żandarmi, 8 stycznia 1943 r., podjęli w Grabowie próbę zatrzymania przemytnika.

Według sporządzonej na tę okoliczność dokumentacji niemieckiej (styczeń 1943) przebieg interwencji był następujący:

„Dnia 8.1.43 r. w późnych godzinach wieczornych funkcjonariusze żandarmerii Kinold, Resmer i Koske w Grabowie, pow. Maków, mieli przeprowadzić czynności przeciwko przemytnikom. Około godziny 22 udali się do gospodarstwa polskiego rolnika Czaplickiego, który był znany żandarmom jako pomocnik przemytników. W oświetlonym pokoju funkcjonariusze z dworu zobaczyli 5 kobiet. 2 żandarmów weszło następnie do pokoju, trzeci został na zewnątrz. W pokoju funkcjonariusze zostali oprócz kobiet także 2 Polaków, którzy w ubraniach leżeli na łóżkach. Kobiety wykonały wezwanie żandarmów do wylegitymowa-



Uczestnicy spotkania w Grabowie z prokuratorem IPN Mariuszem Rębaczem 21 stycznia 2014 r.

nia się, mężczyźni pozostali jednak dalej na łóżkach.

Żandarm Resmer, który jako pierwszy wszedł do mieszkania, trzymając w dłoni broń wezwał obu Polaków, żeby wstali i podnieśli do góry ręce. Obaj wykonali polecenie, zostali następnie przeszukani przez żandarma Resmera, podczas, gdy drugi funkcjonariusz, Koske, pilnował wszystkich przy drzwiach wejściowych.

straży na zewnątrz domu żandarm oddał do uciekających kilka strażaków ze swojej broni, jednak z powodu ciemności nie trafił i sprawcy zbiegli.

W czasie tego zdarzenia przebywające w mieszkaniu kobiety zgasiły światło i także uciekły. Spośród nich udało się dotychczas zatrzymać tylko żonę właściciela mieszkania. Oddośne czynności trwają”.

Tyle mówi raport na temat piątkowego wie-



Mapa Rejencji Ciechanowskiej utworzonej przez Rzeszę Niemiecką po zajęciu Polski w 1939 r. Źródło – wikipedia.

Nagle podczas przeszukania jeden z Polaków opuścił ręce, wyciągnął z kieszeni pistolet i strzelił z niego do stojącego przy drzwiach Koske, trafiając go śmiertelnie. Resmer, który próbował wyrwać broń Polakowi, został przewrócony przez obu Polaków na podłogę. Sprawcy, wśród których był właściciel mieszkania Czaplicki, uciekli przez okno. Stojący na

czoru 8 stycznia 1943 r. w Grabowie. Natomiast o wydarzeniach z 9 stycznia 1943 r., w tym samym raporcie czytamy:

„We wczesnych godzinach rannych następnego dnia wzmocnione siły żandarmerii przeprowadziły szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą. Przy tej okazji wielu Polaków próbowało wydostać się z oblawy i uciec. Ponieważ

nie zastosowali się do wezwania do zatrzymania, funkcjonariusze użyli broni palnej, w wyniku czego 7 Polaków zostało zastrzelonych. Podczas tej akcji poszukiwawczej żandarmi zatrzymali jako zakładników 12 Polaków płci męskiej. Tymczasem polecił zatrzymać kolejnych 8 Polaków jako leniwych i aspołecznych.

Zatrzymane zostały następujące osoby:

- 1) Władysław Ciak, urodzony 13.2.1883 r. w Wyszu, gm. Sypniewo, tamże zamieszkały,
- 2) Adam Ciak, urodzony 8.5.1900 r. w Wyszu, gm. Sypniewo, tamże zamieszkały,
- 3) Aleksander Cieżar [Ciężar - TK], urodzony 10.6.1891 r., w Wyszu, gm. Sypniewo, tamże zamieszkały,
- 4) Władysław Kornacki, ok. 72 lata, w Wyszu, gm. Sypniewo, tamże zamieszkały,
- 5) Aleksander Niewiarowski, urodzony 10.3.1903 r., w Rawach, gm. Sypniewo, tamże zamieszkały,
- 6) Czesław Chrzanowski, urodzony 19.1.1893 r., w Czerwoncu, zamieszkały w Grabowie,
- 7) Czesław Biedrzycki, urodzony 19.8.1919 r., w Byzici [? - TK], zamieszkały w Grabowie,
- 8) Jan Dombrowski, urodzony 4.3.1902 r., w Wólce Drażdzewskiej [Dąbrowski, ur. W Wólce Drażdzewskiej - TK], zamieszkały w Grabowie,
- 9) Stanisław Chodkowski, urodzony 28.1.1909 r., w Dobrolence [Dobrołęce - TK], zamieszkały w Grabowie,
- 10) Stanisław Pikut, urodzony 17.3.1910 w Nowym Drażewie, zam. w Drażewie, [Stanisław Piekut, ur. 17.3.1910 w Międzyzlesiu, zam. w Drażdzewie Nowym - TK],
- 11) Stefan Pikut [Piekut - TK], urodzony 14.12.1908 r., w Pawłowie, zamieszkały w Drażewie [Drażdzewie Nowym - TK],
- 12) Marcelin Gers, urodzony 15.9.1899 r., w Rzańcu, zamieszkały w Berschanski-Borreck [Perzanki-Borek - TK],
- 13) Władysław Mikulak, urodzony 8.9.1906 r., w Rakach, zamieszkały tamże,
- 14) Antoni Dzik, urodzony 16.8.1896 r., w Suche, zamieszkały w Rakach,
- 15) Stanisław Dzik, urodzony 23.2.1922 r., w Biernaty zamieszkały w Rakach,
- 16) Waclaw Grabowski, urodzony 11.12.1907 r. w Bagienicach, zamieszkały w Rakach,
- 17) Bolesław Nałęcz, urodzony 10.9.1892 r. w Bagienicach, zamieszkały tamże,
- 18) Marian Załęski, urodzony 13.7.1902 r., w Ponikiewce, zamieszkały tamże,
- 19) Władysław Łasiewiecki, urodzony 15.3.1902 r., w Ponikiewce, zamieszkały tamże, rodzony 18.5.1909 r., w Grabowie, zamieszkały tamże.

Z uwagi na fakt, że w tutejszym okręgu wielokrotnie powtarzały się tego rodzaju napady ze strony Polaków jak też na to, że tego rodzaju sprawy nadają się do dania nauczki Polakom, powołując się na okólnik szefa policji bezpieczeństwa i SD<sup>3</sup> z 20.1.1940 r. - IV D 2 b proszę o wyrażenie zgody na przeprowadzenie w miejscu zdarzenia we wsi Grabowo - przy obecności okolicznej ludności - publicznej egzekucji wyżej wymienionych 20 Polaków jako represji za zamordowanie funkcjonariusza żandarmerii Koske.

Z uwagi na to, że skuteczne odstraszenie może nastąpić bezpośrednio po czynie, byłbym



Spotkanie w Grabowie 21 stycznia 2014 roku.

wdzięczny za możliwie najszybsze przedłożenie wniosku reichsführerowi SS<sup>4</sup>. (...) W zastępstwie /-/ Hinze<sup>5</sup>, SS-sturmabführer<sup>6</sup>”.

I straszna machina okrucieństwa ruszyła, o czym świadczą poniższe notatki:

W raporcie z 19 lutego 1943 r. napisano:

„W trakcie dalszych działań udało się ustalić (...) z nazwiska [zabójców] żandarma Koske. Chodzi tu o Polaków:

- 1) Stefana Kubata urodzonego 10.8.1920 r. w Scharfenwiese (Ostrołęka), ostatnio zamieszkałego tamże, oraz
- 2) Edwarda Szumowskiego urodzonego 18.10.1924 r. w Grabowie - robotnik, stanu wolnego, wyznanie rzymskokatolickie - zamieszkałego w Grabowie powiat Maków.

Szumowski został już zatrzymany. Na podstawie § 1 ust. 2 rozporządzenia o tworzeniu sądów doraźnych na terenach wcielonych do Rzeszy z 15.8.42 r. złożyłem wniosek do pana nadprezydenta Prowincji Prusy Wschodnie o skazanie zatrzymanego przez sąd doraźny. Rozporządzeniem z 16.2.43 r. wniosek ten został zatwierdzony. Byłbym wdzięczny za spowodowanie wydania decyzji również odnośnie 20 zatrzymanych zakładników. (...) W zastępstwie /-/ Hinze, SS-sturmabführer i radca rządowy”.

Z powyższym koresponduje „wniosek o przeprowadzenie postępowania przed sądem doraźnym o zamordowanie funkcjonariusza żandarmerii Koske” Inspektora Policji Bezpieczeństwa i SD w Królewcu skierowany do Tajnej Policji Państwowej w Płocku z 16 lutego 1943 r.:

„Nadprezydent prowincji Prusy Wschodnie wyjątkowo wyraził zgodę na osądzenie przez sąd doraźny osób, które brały udział w zamordowaniu funkcjonariusza żandarmerii Koske.

W przyszłości gauleiter i nadprezydent będzie udzielał zgody na przeprowadzenie postępowania przed sądem doraźnym tylko w przypadku szczególnych przestępstw ze strony polskiego ruchu oporu. W niniejszym przypadku z uwagi na upływ czasu jak też charakter czynu

wyraził zgodę na osądzenie przez sąd doraźny. (...)

Proszę o przesłanie dwóch odpisów sądu doraźnego. (...)

SS-standartenführer /-/ podpis nieczytelny”.

Sądy doraźne istniały w Okręgu Rządowym /Rejencji/ Ciechanów od 22.09.1942 r. Orzekali w składzie trzyosobowym. Przewodniczył z urzędu naczelnik (lub jego zastępca) Postępowania Policji Państwowej w Płocku, który również wyznaczał sędziów. Taki to właśnie sąd doraźny wydał wyrok skazujący Edwarda Szumowskiego i Władysława Chełchowskiego:

„Płock, 21 lutego 1943 r.

Sąd doraźny dla rejencji Ciechanów oraz powiatu Sudauen (Suwałki)

na posiedzeniu w dniu 21 lutego 1943 roku, w którym uczestniczyli:

SS-sturmabführer i radca rządowy/rejencyjny Schulz<sup>6</sup> - jako przewodniczący, SS-sturmabführer i radca rządowy/rejencyjny Hinze, SS-hauptsturmführer i radca kryminalny Apitz<sup>7</sup> - jako sędziowie, urzędnik kryminalny Biegelmann - jako tłumacz przeciwko:

1) członkowi ludności polskiej Edwardowi S z u m o w s k i e m u, robotnikowi, urodzonemu 18.10.1924 r. w Grabowie, powiat Maków, zamieszkałemu tamże,

2) członkowi ludności polskiej Władysławowi C h e ł c h o w s k i e m u, rolnikowi, urodzonemu 1.4.1900 r. w Chojnowku, powiat Maków, zamieszkałemu w Żabinie, powiat Ostrołęka,

wydał następujący wyrok:

S z u m o w s k i zostaje skazany za napad na niemieckiego funkcjonariusza żandarmerii na karę śmierci przez powieszenie,

C h e ł c h o w s k i zostaje skazany za pomaganie mordercy funkcjonariusza żandarmerii Koske na karę śmierci przez powieszenie.

Uzasadnienie:

Dnia 8 stycznia 1943 roku żandarmeria prowadziła akcję przeciwko przemytnikom w Grabowie powiat Maków. Brali w niej udział także żandarmi Koske i Resmer z posterunku żandarmerii w Drażdżewie powiat Maków. Około godziny 22 przyszli do gospodarstwa polskiego rolnika Czaplickiego. W mieszkaniu zastali oskarżonego z pkt.1.) oraz Polaka Kubata. Podczas ustalania tożsamości Kubat wyciągnął nagle pistolet i strzelił do funkcjonariusza żandarmerii Koske. Żandarm Resmer próbował obezwładnić Kubata. Szumowski przyszedł Kubatowi z pomocą i kilka razy od tyłu uderzył Resmera w głowę, potem uciekł. Ten stan faktyczny został ustalony na podstawie zeznania funkcjonariusza żandarmerii Resmera oraz innych działań. Kubat również zbiegł i dotychczas nie udało się go odnaleźć.

Polak Chelchowski, według jego wyjaśnień, rankiem 9. stycznia 1943 roku, kilka godzin po zamordowaniu funkcjonariusza żandarmerii Koske, udzielił w swoim mieszkaniu schronienia Stefanowi Kubatowi i ukrywał go do wieczora 9. stycznia 1943 roku, pomimo tego, że Kubat opowiedział mu, że kilka godzin wcześniej zastrzelił niemieckiego żandarma. Po 8 dniach Kubat ponownie zjawił się w mieszkaniu Chelchowskiego. Również tego dnia udzielił on schronienia Kubatowi.

Swoim zachowaniem, w najcięższy sposób zagrażającym narodowi niemieckiemu, obaj Polacy zasłużyli sobie na śmierć przez powieszenie.

Przewodniczący:

*/-/ nieczytelny podpis*

SS-sturmbannführer i radca rządowy / rejen-cyjny

sędzia:

*/-/ nieczytelny podpis*

SS-sturmbannführer i radca rządowy / rejen-cyjny

sędzia:

*/-/ nieczytelny podpis*

SS-hauptsturmführer i radca kryminalny”.

Po trzech tygodniach wykonano egzekucję w obozie koncentracyjnym Stutthof, co potwierdza treść dalekopisu komendatury obozu do Tajnej Policji Państwowej - Jednostka Policji Państwowej Ciechanów / Płock z 16 marca 1943 r.:

„Dotyczy: egzekucja Polaków: Edwarda Szumowskiego, urodzonego 18.10.1924 r. w Grabowie, oraz Władysława Chelchowskiego, urodzonego 1.4.1900 r. w Chojnowku.

W związku z: Wasze skierowanie z 12.3.43 r. oraz pismo z 9.3.43 r. l.dz. 2 D 356/43 g. ==

Komendantura KL Stutthof w odpowiedzi na powyższe pismo informuje, że egzekucja wyżej wymienionych została wykonana przez powieszenie w dniu 15.3.1943 r. o godzinie 12.15 oraz 12.30.

Inspektor policji bezpieczeństwa i SD w Królewcu otrzymał meldunek i wykonaniu egzekucji.



Czesław Czarkowski - świadek zbrodni wojennej w Grabowie (9-01-1943), uczestnik spotkania z Prokuratorem IPN w dniu 21 stycznia 2014 r.

== komendant obozu w zastępstwie /-/ Meyer, SS-hauptsturmführer”.

O dalszym losie 20 zatrzymanych mówi notatka z 12 marca 1943 r.:

„W stosunku do 20 Polaków, wymienionych w raporcie z 21.1.43 r. (k. 10 akt) zgodnie z zarządzeniem RSHA<sup>8</sup> - IV C 2 - (k. 78 akt) należy polecić skierowanie ich do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Sprawa ta toczy się pod numerem II D - 1289-43 - przeciwko Władysławowi C i a k, urodzonemu 13.2.1893 r., oraz 19 innym (...).” Ponadto należy dodać, że aresztowani podlegali rygorowi określanemu mianem „specjalne traktowanie”, co przy zastrzyżonym przesłuchaniu zmierzało do fizycznej likwidacji.

Dziewięciu z tej 20-osobowej grupy zginęło w Auschwitz-Birkenau (Oświęcim-Brzezinka). Są to: Stanisław Piekut, Stefan Piekut, Marceli Gers, Władysław Mikulak, Antoni Dzik, Bolesław Nałęcz, Marian Załęski, Stanisław Kornacki i Aleksander Niewiarowski.

Trzej - Czesław Biedrzycki, Stanisław Chodkowski i Władysław Łasiewicki - powrócili. O losie pozostałych dokumenty niemieckie nie wspominają. Powróciły również do domów, aresztowane w tej samej sprawie, inne osoby: Zofia Czaplicka, Hilary Czaplicki, Halina Perzanowska, Antoni Czarkowski, Wiesława Grabowska i Tabaka (z Krasnosielca).

Wśród dziewięciu ofiar Auschwitz są dwaj bracia Piekutowie z Drażdżewa Nowego. Dotarłem do ich rodziny i sąsiadów.

„Rodzina Piekutów mieszkała tu na Nabywach [lokalna nazwa części Drażdżewa Nowego - TK], w pobliżu nas, przy samej szosie - mówi Julianna Chrzęszcz z d. Andrzejczyk. - Teraz to jest ten pierwszy laszek w dole, jadąc od Jednorozca. Znam granice ich posesji. Było ich trzech braci: Jan, Stanisław i Stefan. Dwaj ostatni zostali podczas wojny aresztowani i nigdy nie powrócili. Szczegółów nie znam”.

Stefan był żonaty z Marianną Wieczorek. Mieli syna Edwarda (ur. 1932), którym po śmierci ojca opiekowali się Ewa i Antoni Rogala. Fakt ten potwierdza Elżbieta Budna, córka Edwarda: „Przybrany dziadek Antoni był u nas do końca życia (zm. 1971). Przeżył mojego tatę o dwa lata. Trzeci z braci Piekutów, Jan, adolował się po wojnie przez Polski Czer-

wony Krzyż. Mieszkał w Warszawie. Tam założył rodzinę. Jedyne pamiątkami jakie się zachowały po trzech braciach jest ich wspólna fotografia (w posiadaniu rodziny Jana) i dowód osobisty Stanisława Piekuta wystawiony przez wójta nieistniejącej już gminy Międzyzyleś w dawnym woj. warszawskim (obecnie wieś w powiecie wołomińskim)”.

Dokumenty niemieckie odnotowują, oprócz zbrodni w Grabowie i jej bezpośrednich następstw, również wybiórczo inne tragiczne wydarzenia w (ówczesnym) pow. makowskim:

- wrzesień 1939 - rozstrzelanie 23 Polaków koło Batogowa;

- wrzesień 1939 - rozstrzelanie 13 Polaków w Pienicach;

- luty 1940 - rozstrzelanie ok. 500 kalekich i chorych w lesie koło Sewerynowa [Jedną z ofiar masowej zbrodni w Sewerynowie jest Antonina Kruk z d. Ptaszyńska, c. Jana i Marianny z d. Kuśmierczyk, ur. w 1893 r. w Grądach, gm. Krasnosielc i tamże zamieszkała - TK].

- 30 sierpnia 1940 - rozstrzelanie 20 Polaków w Makowie (Bronisław Nowicki +19 pozostałych);

- 9 lipca 1942 - powieszenie 20 Żydów w getcie w Makowie (Itzek Taft +19 pozostałych);

- 14 lipca 1942 - powieszenie żydowskiego lekarza Abe Kejtsohna w getcie w Makowie;

- rok 1942 - rozstrzelanie 12 Polaków w (na) Grzance w Makowie;

- 9 stycznia 1943 - rozstrzelanie 7 Polaków w Grabowie;

- wrzesień 1944 - rozstrzelanie 6 Polaków w Makowie (Stepkowski +5 pozostałych); („Podejrzani: Schulz, Apitz, dr Bartels<sup>9</sup>”).

Powyższe dokumenty zawierają także informacje o zbrodniach dokonanych w (ówczesnym) pow. przasnyskim na mieszkańcach gminy Jednorozec i Krasnosielc:

- 18 kwietnia 1943 - trzech rozstrzelani koło Bud Prywatnych: Aleksander Kacprzyński<sup>10</sup>, Wincenty Kowalski i Czesław Ostrowski; („Podejrzani: nieustaleni członkowie posterunku żandarmerii w Jednorozcu i Drażdżewie oraz nieznanymi członkowie Gestapo”),

- kwiecień 1943 - sześciu rozstrzelanych (w Parciakach, Budach Rządowych i koło Drażdżewa): Waclaw Kacprzyński<sup>11</sup>, Władysław Banul, Jan Grzyb i trzech N.N.; („Podejrzani: nieznanymi członkowie Gestapo”),

- rok 1943 - dwóch rozstrzelanych; Henryk Bąbała<sup>12</sup> (w Drażdżewie) i Stanisław Dębek (koło Papiernego Borku); („Podejrzani: Resmer oraz nieustaleni członkowie posterunku żandarmerii w Drażdżewie”).

We wspomnianych dokumentach nie ma notatek ani jakichkolwiek wzmianek odnośnie przebiegu zatrzymań, przesłuchań, traktowania itd. osób aresztowanych w związku z tragedią w Grabowie. Znajdują się natomiast notatki z przesłuchań przez prokuraturę niemiecką (późne lata powojenne) byłych funkcjonariuszy niemieckich z Okręgu Rządowego (Rejencji) Ciechanów. Ponieważ wszyscy funkcjonariusze działali na podstawie tych samych przepisów, należy przypuszczać, że działania podejmowane w Drażdżewie i Krasnosielcu nie różniły się od tych z terenu Sierpca, Makowa, Przasnysza czy Płocka. Jakże pokretnie, wyrafinowane i cyniczne są treści owych zeznań. Oto przykłady:

Ast<sup>13</sup>: „Zgodnie z zestawieniem obowiązków tłumacza był obecny przy przesłuchaniach więźniów, którzy byli członkami polskiego ruchu oporu. Nie potrafi powiedzieć, co się działo z więźniami po przesłuchaniu, ponieważ nie miał możliwości wglądu w akta. W czasie jego służby w Płocku ani nie uczestniczył w zabójstwach ani o tym nie słyszał. Jako tłumacz nie miał żadnych uprawnień wykonawczych”.

Bauer<sup>14</sup>, komisarz policji kryminalnej: „W jednostce głównej do stycznia 1945 roku pracował jako naczelnik referatu (...) oraz jako zastępca naczelnika wydziału II. Pojęcie „specjalnego traktowania” było mu znane, już wówczas, rozumiał pod nim zastrzeżone przesłuchanie, ale nie zabójstwo. Nie pamięta nazwisk byłych więźniów. Wie, że na specjalne polecenie RSHA policja państwowa zarządziła wobec więźniów skierowanie do obozu koncentracyjnego. Nic nie wie o istnieniu sądu dożąnego przy jednostce policji państwowej w Ciechanowie, także nieoficjalnie nic o tym nie słyszał ani od przełożonych ani od kolegów”.

Borenstein: „Kiedy rozpoczął służbę, w Płońsku nie było jeszcze zorganizowane żydowskie getto. Nie pamięta już, kiedy dokładnie zostało ono założone. Getto, podległo burmistrzowi, było pilnowane przez żydowską służbę porządkową i rozciągało się na wiele ulic na terenie miasta. Właściwość policji kryminalnej ograniczała się do przestępstw. Nie potrafi powiedzieć, czy miejscowa policja (ochronna) wypełniała jakieś zadania w getcie. Tajna policja państwowa wchodziła tam i wychodziła. Robienie zestawień żydowskiego majątku nie należało do jej zadań”.

Krupp<sup>15</sup>: „Skład komando egzekucyjnego został ogłoszony na dzień wcześniej przez wywieszenie listy na „czarnej tablicy”. Komando, do którego on został wyznaczony, musiało wystąpić następnego dnia rano z karabinami i następnie zostało zawieszane ciężarówką na miejsce egzekucji. Dokładnie pamięta, że przed egzekucją został odczytany wyrok sądu. Byli przy nim obecni skazańcy i komando. Potem Żydów prowadzono po 5 osób za jeden z pagórków i tam rozstrzeliwano. Do każdej grupy oddawano tylko jedną salwę, przy czym dwóch funkcjonariuszy strzelało do jednego skazańca. Dopiero po odczytaniu wyroku poznali powód egzekucji. Rozkazy otwarcia ognia wydawał porucznik Meyer (+)”.

Lange<sup>16</sup>: „Podejrzany zaprzecza, iż wiedział o tym, że pojęcie „specjalne traktowanie” oznaczało administracyjne zabójstwo...”.

Lindner<sup>17</sup>: „Rozpoznaje, że napisane maszynowo (...) nazwisko [więźnia] zostało napisane przez niego. Był on zajmującym się tą sprawą referentem, nie polecił jednak z własnej inicjatywy aresztowania i skierowania Polaka (...) do obozu koncentracyjnego. Decyzja ta zapadła na polecenie naczelnika wydziału KR Apitza (+). Uważa, że nie dyskutował z Apitzem kwestii zarządzenia takiego środka. KK Bauer podpisał sporządzony przez niego projekt, na pewno jednak na polecenie Apitza, ponieważ Bauer, który był łagodnym człowiekiem, nie godził się z takim zarządzeniem, tak samo, jak on. Nie opracowywał innych tego rodzaju przypadków. Nigdy nie chciał śmierci tych Polaków i wykonywał formalne czynności tylko na polecenie”. (s. 101).

Paliga<sup>18</sup>: „Nie pamięta poszczególnych wymienionych spraw. (...) Wymienione sprawy zostały mu przydzielone. Poza tym, nawet, jeżeli to nie wynika z akt, on każdorazowo dostawał od KI Kunzego lub KK Baumanna polecenia składania wniosku o „specjalne traktowanie” lub o areszt ochronny. W sprawach aresztu nie mógł wiedzieć ani przypuszczać, że

z więźniów urwał się sznur, Ast wskoczył na platformę i ponownie założył sznur na szyję”. Wspomniane powyżej „kilka słów” to zapewne treść wyroku. Przykładową treść przytacza jeden z przesłuchiowanych żandarmów nazwiskiem Kissler: „W imieniu narodu i führera za komunistyczną działalność partyzancką wydano wyrok śmierci przez powieszenie”.

Dowód osobisty Stanisława Piekuta - jedyna pamiątka po ofercie represji w związku z zabójstwem żandarma Koske w Grabowie.

więźniowie byli zabijani w obozach. On działał w dobrej wierze i uważał, że przekazani więźniowie faktycznie byli tylko w areszcie”.

Paliga (ten sam): „Więźniów pojedynczo prowadzono w stronę dołu i rozstrzeliwano ich tam z karabinów. On do tego momentu powstrzymywał się, ponieważ nigdy jeszcze nie zabił własnoręcznie człowieka. Kiedy jednak słyszał krzyki postrzelonych, którzy już byli w dole, nie mógł więcej tego znieść i powiedział sobie, że lepiej będzie oddawać celne strzały do cierpiących, żeby szybko umarli. Poszedł więc do dołu i też strzelał. Chce wyraźnie podkreślić, że to działanie rzuciło cień na całe jego życie. Ale musiał to zrobić, ponieważ po ludzku nie mógł znieść, żeby ofiary dłużej cierpiały”.

Roßmann<sup>19</sup>: „Wprawdzie pamięta pojęcie „specjalne traktowanie”, jednak dzisiaj nie potrafi już powiedzieć, co w tamtym czasie oznaczało. Może tylko przypuszczać, że to pojęcie oznaczało zabijanie. (...) Generalnie chce zwrócić uwagę na to, że nie brał udziału w zabójstwach, nie zabił żadnego człowieka, ani na rozkaz ani z własnej inicjatywy”.

Osąd powyższych zeznań pozostawiam Czytelnikom. Podam jedynie przykład, w którym naoczny świadek wydarzeń w Płocku z dnia 18 września 1942 r. Polak Tomaszewski, zadając kłam wywodom tłumacza Asta, oświadcza:

„Z ciężarówki wyprowadzono 13 więźniów, którzy mieli ręce związane z tyłu. Następnie kazano im ustawić się na platformach pod szubienicami. Po założeniu sznurów nieznanemu gestapowicowi wypowiedział kilka słów do obecnych. Potem jednocześnie, najwycyżniej na rozkaz odsunięto platformy. Kiedy pod jednym

zaden z wymienionych tutaj oprawców nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej, co potwierdza prokuratorski zapis: „Ponieważ w przypadku podejrzanych Bauer (...), Lindner, (...) Paliga (...) i Krupp nie udało się udowodnić działania ze szczególnie niskich pobudek, a więc okoliczności, która uzasadnia ukaranie sprawcy za morderstwo, (...) kara musiała zostać zmniejszona do tej, przewidzianej za usiłowanie, to znaczy należałoby wymierzyć karę, której górna granica (...) wynosi piętnaście lat pozbawienia wolności. W tym przypadku (...) karalność czynu przedawnia się po piętnastu latach”, tj. z dniem 08.05.1960 r.

Kolejnym etapem współpracy na linii IPN - TPZK było przygotowanie spotkania mieszkańców Grabowa z prokuratorem z IPN-u, o czym *Więści z nad Orzyca* informowały dwukrotnie:

1) „Opracowania historyczne dotyczące martyrologii mieszkańców gminy Krasnosielc podczas II wojny światowej, zawarte w KZH 15-16, znalazły pozytywny oddźwięk w Instytucie Pamięci Narodowej, co zaowocuje wypełnieniem białych plam w tej tematyce.” (W 79)

2) „W nawiązaniu do notatki zamieszczonej w listopadowych *Więściach* (...) pragnę poinformować Czytelników, że we wtorek 21 stycznia 2014 r. o godz. 9.00 odbędzie się w Grabowie spotkanie pana Mariusza Rębacza, prokuratora z IPN-u, z osobami zainteresowanymi tematem zbrodni wojennej dokonanej na mieszkańcach Grabowa 9 stycznia 1943 r.” (W 80)

Przebieg spotkania zrelacjonowałem także na łamach Wieści, pisząc m.in.: „IPN prowadzi z urzędu sprawę rozstrzelania 9 stycznia 1943 r. w Grabowie 7 mężczyzn przez żandarmerię niemiecką. W związku z tym, we wtorek 21 stycznia 2014 r., odbyło się w Grabowie spotkanie mieszkańców wsi i przedstawicieli TPZK z prokuratorem IPN-u panem Mariuszem Rębaczem. Przybyło 19 osób zainteresowanych tematem. Bardzo zainteresowanych, bo trzeba było pokonać brzemień wieku i mroźną pogodę, a w przypadku pana Czesława Czarokowskiego również sporą odległość.

Wystąpienie prokuratora, oparte na źródłach niemieckich z czasów wojny, rzuciło nowe światło na pewne aspekty sprawy. Część z obecnych na sali, jako bezpośredni świadkowie tragedii lub członkowie rodzin zamordowanych i aresztowanych, została przesłuchana na tę okoliczność. Tym samym wzbogacony został dotychczasowy materiał dowodowy. Prawdopodobnie przesłuchane w tej sprawie zostaną kolejne osoby. O dalszych działaniach IPN-u w tej kwestii będziemy informować w miarę postępów w śledztwie.

PS - Termin zebrania przypadł niemal dokładnie w 71. rocznicę tamtych wydarzeń. I wówczas, i teraz była pełnia zimy. Tylko zupełnie inna atmosfera i okoliczności. Oni wówczas stali na mrozie, myśmy teraz Ich wspominali w przytulnym, ciepłym pomieszczeniu. Za organizację i sprawny przebieg spotkania dziękuję państwu Marii i Zbigniewowi Antosiakom” (W 81).

O celowości i skuteczności spotkania świadczą pozytywne opinie zebranych i późniejszy, poniższy mail: „Dziękuję za zorganizowanie spotkania z mieszkańcami Grabowa i możliwość ustalenia nowych i ciekawych informacji oraz danych kolejnych świadków. Wdzięczność ma jest ogromna, gdyż mam świadomość, iż bez (...) pomocy, dotarcie do tych osób przeze mnie byłoby utrudnione a może niemożliwe. (...) nie wykluczone, iż może zorganizuję jeszcze jakiś wyjazd w okolice Krasnosielca (...). Mariusz Rębacz”.

*Tadeusz Kruk.*

<sup>1</sup> - 9 stycznia 1943 r. w Grabowie z rąk żandarmów zginęli: Bogusław Głazewski, lat 17, Hipolit Grabowski, lat 47, Czesław Mączyń-

ski, lat 40, Władysław Nakielski, lat 27, Wiktor Perzanowski, lat 50, Adolf Dąbkowski, lat 39, Waclaw Olender, lat 30.

<sup>2</sup> - Johann Resmer (1905-1954), funkcjonariusz żandarmerii na posterunku w Drążdzewie

<sup>3</sup> - SD (*Sicherheitsdienst*) - Służba Bezpieczeństwa

<sup>4</sup> - SS - Schutzstaffel der NSDAP, czyli eskadra ochronna NSDAP, tj. Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników

<sup>5</sup> - Willi Hinze (1907-1975), SS-Sturmbannführer, prosił swoich przełożonych o przeprowadzenie egzekucji na 20 aresztantach zatrzymanych w sprawie zajść w Grabowie (w Krasnosielcu, na tzw. Kaczym Dołku, wystawiono już szubienicę)

<sup>6</sup> - Friedrich Schulz, wyższy radca rządowy, w latach 1943-1945 naczelnik; zm. 15 lipca 1981

<sup>7</sup> - Wilhelm Apitz, radca kryminalny, w latach 1940-1945 naczelnik Wydziału II (sprawy polityczne wewnętrzne); zm. 7 marca 1965

<sup>8</sup> - RSHA (Reichssicherheitshauptamt) - Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

<sup>9</sup> - dr Erich Bartels, komisarz kryminalny, Wydział II (sprawy polityczne wewnętrzne); w okresie IV - VII 1942 naczelnik wydziału zamiejscowego w Ciechanowie

<sup>10</sup> - Aleksander Kacprzyński, 31 lat, †17.04.1943 - spoczywa na cmentarzu w Drążdzewie

<sup>11</sup> - Waclaw Kacprzyński, 40 lat, †28.04.1943 - spoczywa na cmentarzu w Drążdzewie

<sup>12</sup> - Henryk Bąbała, 19 lat, †29.06.1943 - spoczywa na cmentarzu w Drążdzewie (tablica nagrobna podaje 1944; zob. też T. Kruk, Henryk Bąbała - żył lat 19, *Wieści* 74/2013)

<sup>13</sup> - Wilhelm Ast, funkcjonariusz kryminalny, tłumacz, Wydział III (sprawy obronne; referat: polski opór narodowy)

<sup>14</sup> - Friedrich Bauer, komisarz kryminalny, Wydział II (sprawy polityczne wewnętrzne; 1943 - 1945);

<sup>15</sup> - Heinz Krupp, polizeiobermeister

<sup>16</sup> - Conrad Lange, asystent kryminalny

<sup>17</sup> - Heinrich Lindner, sekretarz kryminalny, Wydział II (sprawy polityczne wewnętrzne; referat: komunizm, marksizm)

<sup>18</sup> - Walter Paliga, asystent kryminalny, Wydział III (sprawy obronne; referat: polski opór narodowy)

<sup>19</sup> - Reinhold Roßmann, asystent kryminalny, Wydział III (sprawy obronne)

\* - Posłuchajcie Ojcowie i Matki

Proszę posłuchajcie Ojcowie i Matki  
Jakie w Grabowie stały się wypadki  
Rok 1943, wszystkie w Grabowie sieroty  
/ dzieci

Bo ich ojcowie zostali zabici

Przebywali w nich szmuglarze-bandyci  
Jednego wieczoru żandarmi zjechali  
Szmuglarza-bandytę w pościeli złapali  
I pan Kosko dwa razy batem go zmierzyl

Nie wiedząc, że sam za chwilę nie żył  
Szmuglarz rozgniewany, Kosko trupem pada  
Drugiego żandarma stołkiem przykłada  
I sami oknami puciekali

I zaraz tej nocy z wioski się wybrali  
Na drugi dzień rano żandarmi zjechali  
I w koło Grabowa się poustawiali  
Obstawili wioskę ze wszystkich strony

Zrobili obławę jak na dzikie wrony  
Niejeden spośród był zastrzelony  
Ludzie przeleknieni klękli na kolana  
Wołając o pomoc Najwyższego Pana

Nie pomogły prośby i narzekania  
Dla nich nie było opamiętania  
A pana sołtysa kolbami dobili  
On temu wszystkiemu był najwięcej winny

Bo on dobrze wiedział co się tam działo  
Dla niego przestrogi było za mało  
A resztę ludzi zabrali do paki  
Tylko w Grabowie same są dzieciaki

Wieść się rozeszła po całym powiecie  
A my przygnębieni jesteśmy na świecie  
Ludzie z głodu, zimna w pace przymierają  
A niemieckie serca wcale się nie krają

Szubienica stoi dla nich gotowa  
Dla ludzi z Raków i ze wsi Grabowa

Autorkami wiersza (piosenki) o zbrodni w Grabowie są: Wiktoria Ogonowska i Zofia Pałaszewska, mieszkanki Raków.

Dziękuję za pomoc w pozyskaniu tekstu paniem: Alinie Ptak i Genowefie Zawistowskiej.





## Moje wspomnienia z Drażdżewa

Janina WRÓBLEWSKA

To był dziesiąty rok mojej pracy w zawodzie nauczycielskim. Na Mazurach czułam się jak na wygnaniu. Dom rodzinny odwiedzałam tylko trzy razy w roku: w okresie świąt i w wakacje. Rozpoczęłam studia na Uniwersytecie Warszawskim. Postanowiłam więc przenieść się w strony rodzinne. Zgłosiłam się do inspektoratu w Makowie Mazowieckim. Inspektor zaproponował mi pracę w jednej z trzech placówek w miejscowościach: Drażdżewo, Czerwonka, Płoniawy. Wybrałam Drażdżewo. Moja rodzina mieszkała wówczas w Sypniewie. Nie było autobusów do tej miejscowości. Trzeba było jechać przez Maków albo autostopem.

Zaczęła się w moim życiu wędrówka śladami tułaczki wojennej. W 1944 r. 7 listopada Niemcy postanowili wysiedlić wszystkich mieszkańców naszej wsi o nazwie Strzemieczne-Hieronimy (obecnie gm. Młynarze) z powodu zbliżającego się frontu. Szukałam z mamą ojca w pobliskim lesie, gdzie się ukrywał przed „Japanką”. Właśnie wtenczas samolot zrzucał bombę w pobliżu. Rozległ się ogromny huk. W czasie 20 minut mieliśmy się spakować. Gruby kucharz niemiecki wstawił na wóz dziecie z rozczynionym chlebem. Ciocia nie chciała wziąć a on na to: „Weź matka, bo tam nic nie będzie do jedzenia”. Miał rację. Mieszkał w Elżbiecinie (gm. Krasnosielc) przez 2 tygodnie, potem przez tydzień w Wólce Drażdżewskiej u państwa Mąków, a potem przenieśliśmy się do Przasnysza.

W pierwszą niedzielę wybraliśmy się całą rodziną do kościoła w Drażdżewie. W pobliżu kościoła przeprawę ułatwiała kładka położona w poprzek rzeki Orzyc. Ciocia trzymała mnie mocno za rękę i kazała iść. Ja bardzo się bałam, że lada moment wpadnę w wodę, ale jakoś przeszłam.

Z Jedwabna do Drażdżewa przywiózł mnie pewien kierowca z Sypniewa samochodem ciężarowym. Zgromadziłam już trochę mebli przez te 9 lat. Pani Stanisława Kołodziejczyk i jej mąż Czesław przyjęli mnie bardzo serdecznie. Na drugi dzień ujrzałam piękne kwiaty w ogródku, dookoła zieleni. Zapoznałam dwóch synów Czarka i Sławka i bardzo miłą dziewczynkę - sześciolletnią Gabrysię. Często opowiadała mi o swoich przeżyciach w przedszkolu. Recytowała wierszyki i śpiewała piosenki. Pani Kołodziejczykowa zapraszała mnie w niedziele na obiad. W pozostałe dni tygodnia mieliśmy zapewnione obiady w szkole za niewielką opłatą.

Pani Stasia czytała bardzo dużo książek, więc mogłam z nią dyskutować o literaturze. Czasami zwierzałam się jej ze swoich kłopotów, bo wydawało mi się, że ona najlepiej mi poradzi. Pan Czesław zajmował się szyciem ubrań dla mężczyzn.



Janina Świdwerska, Władysław Kocot i Wanda Koperska z uczennicą Władysławą Obrębską w stroju wróżki z baśni *Dary czterech wróżek*, Drażdżewo, 1965

Drażdżewo podobało mi się. Nie było już kładki na rzece, lecz porządny, drewniany mostek. Kościółek nieduży, drewniany, pamiętał jeszcze czasy Zygmunta Krasieńskiego. Wyglądał malowniczo wśród zielonych drzew. Powoli poznawałam sąsiadów, nauczycieli i księdza Stefana Morkę. Wszyscy odnosili się do mnie zyczliwie. Polubiłam dzieci, które uczyłam.

Pan Władysław Kocot udostępnił mi kronikę szkoły, w której odnalazłam mnóstwo ciekawych wiadomości. Budynek, w którym znajdowała się szkoła, to spichrz. Miał bardzo grube ściany. Należał dawniej do właścicieli folwarku. W tym budynku w czasie powstania styczniowego ukrywała się księżna Woroniecka z Glinek koło Sypniewa. Właśnie ona w 1936 r. opowiadała panu Kocotowi o ukryciu w tym spichrzu mieszkańców i żołnierzy, o okolicznościach śmierci podpułkownika Edwarda Rolskiego.

Do państwa Kocotów chodziłam po mleko. Rozmawialiśmy na różne tematy. Często opowiadał mi o swoim udziale w wojnie bolszewickiej i drugiej wojnie światowej. W czasie pobytu w oficerskim obozie jeńców wojennych żołnierze bardziej wykształceni uczyli innych. W taki sposób jeńcy zdobywali wyższe wykształcenie.

Pan Władysław Kocot zajmował się badaniem gwary, której mieszkańcy Drażdżewa i okolic używali w codziennych kontaktach z sąsiadami. W urzędach i w szkole mówiono w języku polskim. Wieś Drażdżewo należała do północnego Mazowsza. Wioski leżące w kierunku północnym i zachodnim oddalone od Drażdżewa o kilkanaście kilometrów miały

gwarę kurpiowską. Studentom polonistyki też zaproponowano te badania. Ja wybrałam wioskę Drażdżewo-Kujawy. Zbieraliśmy wiadomości do słownika gwar mazowieckopodlaskich. Swoje prace i pana Kocota zносиłam do pracowni znajdującej się w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Właśnie tam mieliśmy wykłady i ćwiczenia.

W karnawale nauczyciele wraz z komitetem rodzicielskim, w budynku szkolnym, zorganizowali bal. Wszyscy świetnie się bawili. Pani Alina Białczak dla urozmaicenia zabawy wprowadziła do programu ciekawe konkursy i zagadki.

W czasie roku szkolnego pracowałam 32 godziny tygodniowo i dodatkowo miałam 2 godziny zajęć w kółku teatralnym. Dzieci z klas piątych i szóstych występowały w baśni „Dary czterech wróżek”, a dzieci z klasy szóstej i siódmej w „Baśni o zaklętym kaczorze”.

Zbliżała się uroczystość związana z otwarciem biblioteki dla mieszkańców Drażdżewa i okolic. Bibliotekę Gromadzką w Drażdżewie założyła i była jej kierowniczką pani Pelagia Szajnowska. Na uroczystość była zaproszona pisarka Janina Broniewska, ale nie dojechała. Były więc tylko przemówienia władz i występ naszych młodych aktorów. Akcja „Baśni o zaklętym kaczorze” trwała ponad godzinę. Na sali, w remizie strażackiej, panowała cisza. Wiadac było zainteresowanie przybyłych gości. Na naukę własną pozostawało mi niewiele czasu. Jednak drugi rok studiów zaliczyłam bez pro-



Wanda Koperska i Janina Świdwerska na Kopcach 1000-lecia, Drażdżewo, 1965

blemów. Dzięki studiom i zwiedzaniu zabytków w Warszawie wzbogaciłam słownictwo i zdobyłam dużo więcej wiadomości. Mogłam ciekawiej prowadzić lekcje.

Czas szybko mijał. Uroczyste zakończenie roku szkolnego odbyło się 24 czerwca 1965 r. Pan kierownik szkoły Marian Białczak wygłosił piękne przemówienie do uczniów i nauczycieli. Najlepsi uczniowie otrzymali nagrody książkowe. Wyczytał też nazwiska nauczycieli, którzy otrzymali nagrody pieniężne za dobrą pracę. Zaznaczył, że panie: Wanda Koperska i Janina Świdarska, czyli ja, nie otrzymały nagród, ponieważ w naszej szkole pracowały tylko jeden rok.

I tu nastąpiła niespodzianka. Pani Janina Świdarska oraz jej uczennice: Teresa Obrębska z kl. VI, Bożena Mackiewicz i Krystyna Mizek z kl. Va otrzymują nagrody za udział w konkursie na wypracowania. Tereska napisała obszerną pracę na temat: „Piękno naszej okolicy w różnych porach roku”, a dziewczynki z kl. V wypracowania o matce. Ja otrzymałam nagrodę w wysokości 400 zł, a moje uczennice - książki. Konkurs był zorganizowany przez Inspektorat Oświaty i Wychowania w Makowie Maz.

Byłam wychowawczynią klasy VI. Rozdałam 40 świadectw. Wydaje mi się, że wszyscy uczniowie zdali do następnej klasy. Z żalem musiałam się pożegnać ze swoimi uczniami. Tak ułożyło się moje życie, że w czasie pobytu w Drażdżewie poznałam mojego męża Ryszarda. Ponieważ on pracował w Przasnyszu, więc musieliśmy zmienić miejsce zamieszkania.

Przez kolejne 22 lata pracowałam w Szkole Podstawowej nr 1 w Przasnyszu, następnie kilka lat w Ostrołęce. Teraz mieszkam wraz z córką i mężem w Rzekuniu koło Ostrołęki.

W roku szkolnym 1964/65 kadra nauczycielska w Drażdżewie liczyła 8 osób. Wraz ze mną pracowali państwo: Marian Białczak – kierownik szkoły, Alina Białczak, Władysław Kocot, Kamila Kurowska, Elżbieta Kurowska, Wanda Tytko (po-tem z męża Koperska) i Wiesław Koperski.

Mile wspominam ten okres pobytu w Drażdżewie.

*Janina Wróblewska z d. Świdarska*

PS - Często odwiedzam Karolewo, wieś rodzinną mojego męża, sąsiadującą z Drażdżewem. Gdy miałam się wybrać wraz z córką do Karolewa na tegoroczne Święta Wielkanocne, przejrzałam swoje pamiętniki. Znalazłam piękne wspomnienia i bardzo ładny wiersz pt. „Na Dzień Nauczyciela” autorstwa Danuty Szytych, uczennicy klasy IV. Wymienione są tam nazwiska wszystkich nauczycieli i jeszcze pochwała dla każdego. Właściwie to była piosenka, którą dzieci śpiewały z okazji Dnia Nauczyciela w 1964 r., czyli pół wieku temu. Oto jej treść:



Janina Świdarska z praktykantkami Zofią Grzywacz i Celiną Brzozowską, Drażdżewo, 1964 -65



Wyjazd nauczycieli i uczniów kuligiem do szkoły w Rakach, Drażdżewo, 1964-65

## Na Dzień Nauczyciela

Posłuchajcie mili, co ja wam opowiem,  
Tylko muszę najpierw w swej poszpierać głowie.  
Już jest ułożone, dalej więc do dzieła,  
Sami się zdziwicie, skąd się ta pieśń wzięła.

Cała ta piosenka o naszej jest szkole,  
O Waszych kłopotach i Waszym mozole.  
Bo ta praca naszych, miłych wychowawców  
Jest pracą tak ciężką, że mało w niej blasków.

Zacznę od najstarszej osoby w tym gronie -  
Od pana Kocota, co ma siwe skronie.  
Pracuje pan tutaj przeszło lat czterdzieści,  
Wyposażył uczniów w nowe wiedzy treści.

Następną osobą w pieśni pan Kierownik,  
Który z pracą szkoły łączy wiele ogniw.  
Jego główną troską praca całej szkoły,  
Abyśmy nie byli jak osły lub woły.

Troską naszej pani Kurowskiej Kamili  
Jest, abyśmy byli i mądrzy i mili.  
Gramatyki uczy nas, i ortografii,  
A tak nas wyuczy, że słaby potrafi.

Uczniowie maluchy, o których to wiecie,  
Nie każą zapomnieć o pani Elżbiecie.  
Bo pani Kurowska tak ich bardzo lubi,  
Że dzień pracy pani do wieczora długi.

Z tej uroczystości chcemy też skorzystać -  
Panią Białczakową gromadnie przywitając.  
Przyrzekamy pani dobre sprawowanie  
I dobrą naukę na to powitanie.

Nasza pani Wandzia ma pracy bez liku  
Oprócz pracy w szkole z tobą, harcerzyku.  
Po rosyjsku do niej musimy gawarić,  
Każdowo uroka atliczno wyuczyć.

W nowym roku szkolnym pani do nas przyszła,  
Uczy się w Warszawie, aby mieć magistra.  
O kim ja tu mówię, to najlepiej wiecie -  
O pani Świdarskiej, najmilszej na świecie.

A nasz pan Koperski nad nami się męczy,  
Byśmy mieli głosik - i piękny, i dźwięczny.  
Nie tylko kieruje naszymi głosami,  
Lecz uczy nas także, co robić rękami.

A oto już koniec jest mojej piosenki  
Lecz jeszcze nie koniec jest naszej podziękii.  
Pamiętać będziemy wciąż o Waszym trudzie,  
O Was, którzy dbacie, by z nas byli ludzie.

*Milęj i kochanej Pani na pamiątkę  
lobuziak z kl. IV Danusia Szytych*

Drażdżewo, rok szkolny 1964/65.

\* \* \*

Autorka sympatycznego wiersza (piosenki) to obecnie pani doktor Danuta Szytych - nauczyciel akademicki SGGW. Od 2007 r. popularyzuje na łamach *Wieści z nad Orzyca* kulturę ludową z uwzględnieniem stron rodzinnych.



Danusia Szytych z wychowawcą, nauczycielem muzyki - panem Wiesławem Koperskim (i przyjaciółką Wandą Kacprzyńską ze Zwierzynia), 1966 r.

Pół wieku to szmat czasu, nie tylko w życiu człowieka. Nie ma już drewnianego kościoła (jako zabytek trafił do skansenu w Sierpcu), a ówczesny ks. prob. Stefan Morko jest patronem miejscowego ronda. Nie istnieje też wspomniany mostek na Orzycu...

Od 1970 r. szkoła w Drażdżewie mieści się w nowo wybudowanym budynku i nosi imię Edwarda Rolskiego, powstańca styczniowego. Wymieniła się kilkakrotnie kadra nauczycielska, w ławach szkolnych zasiadają już wnukowie uczniów pani Janiny. Niezmienną jednak pozostała pamięć o byłych pedagogach, co zaświadczą –

*były uczeń kl. V b Tadeusz Kruk*



## Rok w ruskim cyrku

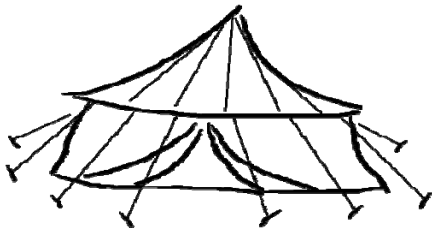
cz. II

*Epsi PETERSON*

### Od Redaktora Wydania

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich to był państwowy obejmujący przez ponad połowę wieku połowę Euroazji, który jednak - nie bez udziału Polaków, odszedł w niebyt. Bazą i hegemonem polityczno-gospodarczo-społecznym tego zróżnicowanego wewnątrznie molocha, była Rosja i sami Rosjanie. Do Rosji Polacy mają stosunek specjalny. Rosję podobno można tylko albo kochać, albo nienawidzić - my praktykujemy w większości to drugie. Uważamy państwa tworzone przez nią lub na jej bazie za barbarzyńskie - co w mojej ocenie ma mocne uzasadnienie historyczne. Z drugiej jednak strony, wielu Polaków zauroczonych jest kulturą rosyjską i ludźmi tam żyjącymi, tak jak pisze autor tej opowieści: serdecznymi, bezinteresownymi w swej gościnności i zycyliwymi.

Rosjanie - tak, Rosja - nie, to hasło pod któ-



rym osobiście podpisuję się obydwoma rękoma.

Prywatne doświadczenia autora tego artykułu pokazują południową część byłego już ZSRR, jako obszar różny kulturowo od Polski, różny, ale i jednocześnie zróżnicowany wewnątrz. Autor łamie w nich powszechnie obowiązujący w naszym kraju stereotyp ZSRR. Rysunki i szkice wykonane również jego ręką podnoszą wartość opracowania oraz jego wymowę.

Życie cyrkowych ekip, funkcjonujących często w oderwanym od życia społeczeństw, w świecie sztuki cyrkowej przez wiele miesięcy w każdym roku, często przez wiele lat z rzędu, pokazane jest namacalnie i z detalami. Jest to zapewne tylko część prawdy ... spowiedzi cyrkowca.

Czymże jest stwierdzenie „Polska uważa tak, ... jest za tym, ... lub ... sprzeciwia się ...” - jak nie wyrażonym przez polityków zdaniem samych Polaków.” Tekst ten jest właśnie zdaniem jednego z Nas, na temat zaobserwowanego przez siebie samego, życia ludzi, którzy mogą być zarówno naszymi przyjaciółmi jak i wrogami - a kim dla nas będą zależy na równi od nich, jak i od nas samych.

*Sławomir Rutkowski*

Było to jedno z wielu popołudni gorącego azjatyckiego lata. Właśnie przed chwilą podjechał Tarpan z zaopatrzeniem dla tresur na jutro. Owoce i warzywa, a wszystko jak zwykle świeże i w najwyższym gatunku. Cyrk, szczególnie państwowy nigdy na tym nie oszczędzał i nawet w kryzysie zwierzęta miały cytrusy, banany, orzechy czy rodzynki. Podobnie, jak tresury dzikich zwierząt, świeże i dobrej jakości mięso, mleko czy ryby. W związku z tym dobrze żyło się też treserom, pielęgniarzom czy zaopatrzeniowcom. Każdy, aczkolwiek z umiarem uszczuplał racje przewidziane dla zwierząt. I była to powszechna praktyka, chociaż oficjalnie nikt by się do tego nie przyznał. A ponieważ normy przydziałów dla zwierząt były dość wysokie to nikt na tym nie cierpiał i jakoś się to wszystko kręciło. Dlatego Marian, który z natury był zawsze miły i uczynny zapytał:

- Panie kierowniku przywiozłem świeże pomidorki, to może chce pan ze trzy na kolację?

- Jasne - odparł kierownik, choć zazwyczaj nie korzystał z takich przywilejów, bo po prostu nie wypadało.

- To ja też sobie ze trzy wezmę - powiedział kierowca.



### Rezus z tresury Cwietanowa.

I wzięli po kilka dorodnych pomidorów ze skrzynki. Nie mieli zamiaru się z tym kryć czy zastanawiać, że nie wypada. Po prostu wzięli kilka pomidorów przeznaczonych dla, którejs z tresur. A były one w skrzynce na samochodzie pośród innych owoców i warzyw. Do głowy by im nawet nie przyszło, żeby szabrować jak leci. Dla kierownika tak naprawdę był to pierwszy i w zasadzie jedyny taki przypadek. Zazwyczaj z podobnej okazji korzystali jedynie treserzy, pielęgniarze no i Marian.

Jednak już następnego dnia wybuchła afera związana właśnie z nieszczęsnymi pomidorami. Okazało się, że zachęceni tym faktem inni pracownicy cyrku również postanowili skorzystać z okazji i uszczknąć nieco z wypełnionej pomidorami skrzynki. Nikt przecież nie będzie rzucał się na kapustę czy marchew, która stała obok. Każdy zapewne pomyślał, że skoro kierownik wziął to niby dlaczego on miałby nie wziąć? I tak dziwnym trafem okazało się, że z 20 zostało może kila kilogramów pomidorów. Fakt ten oczywiście wzbudził oburzenie tresera, dla którego pomidory były przeznaczone. Mimo, że sam bezustannie korzystał z dobrodziejstwa zaopatrzenia i nigdy nic z tego asortymentu nie musiał kupować. Tym razem uznał zapewne, że jego przywileje są zagrożone, bo co by to było gdyby każdy zawsze mógł brać sobie co chce. Może wtedy zabrakłoby nawet dla niego, nie mówiąc już o zwierzętach.

Kierownik o narastającej aferze jak na razie jeszcze nic nie wiedział. Nawet by nie pomyślał, że dla niego sytuacja ułoży się tak niekorzystnie. Jednak następnego dnia po południu został wezwany do dyrektora. Ten w oględny sposób przedstawił mu w czym rzecz.

- I teraz Cwietanow twierdzi, że nie ma czym nakarmić lamy, czy innego osła ze swojej tresury - spuentował Stary.

Zarzut był poważny, bo jak się okazało na kierownika ktoś po prostu doniósł, a brakowało ponad połowę pomidorów. To, że kierownik ich wszystkich nie wziął było oczywiste, ale jednak padło jego nazwisko w kontekście tej afery. A to nie było zabawne. W wyniku wyjaśnienia okazało się, że doniósł jeden z pielęgniarzy, który rzekomo widział jak ten berze pomidory z samochodu. Dla człowieka na najniższym szczeblu cyrkowej hierarchii możliwość zaszkodzenia komuś z administracji cyrku i oskarżenie go o kradzież, była nie lada gratką. Wreszcie mógł zaznaczyć sens swojego istnienia, a przy tym zaszkozić człowiekowi, który dla niego stał po drugiej stronie barykady w odwiecznej walce pomiędzy szefem a podwładnym.

- Skoro Malicki twierdzi, że widział jak kradnie pomidory z samochodu to proszę go wezwać, bo nie pozwolę się oczerniać jakiegoś tam przybłędzie - z nieskrywanym zdenerwowaniem zażądał kierownik.

Pierwszy z brzegu kierowca został poproszony, aby przyprowadził do biura pielęgniarza mieszanej tresury, czyli osłów, lam i kóz, gdyż małpami zajmował się osobiście sam treser i jego żona. Po chwili zjawił się „Diabeł” - jak na niego powszechnie wołano. Przewisko brało się zapewne stąd, że nie grzeszył urodą, a jego niedomyta i niedogolona zazwyczaj

twarz w połączeniu z bujną czupryną czarnych jak smoła i kręconych włosów, czyniła go podobnym właśnie do diabła. Poza tym miał małe również czarne i błyszczące oczka oraz brak kilku zębów na przedzie. Brakowało jedynie rogów i ogona.

- Tak, panie Malicki i ładnie to tak kłamać? Zaczął kierownik swój atak... - Podobno widział pan jak biorę pomidory z samochodu, tak? Nie czekając na odpowiedź kontynuował zmasowany atak na nielojalnego podwładnego.

- A jeśli tak to ile według pana tych pomidorów wzięłem... co? - Ton tych pytań nie pozostawiał wątpliwości, że nie są to żarty i sytuacja pielęgniarza nie jest zbyt dobra.

- Dwa? Trzy? A może całe 10 kilogramów? Co? - kontynuował stopniowo podnosząc głos.

Przerażony już pielęgniarz na pewno żałował, że ośmielił się w taki sposób zademonstrować kierownika. Jego wątpliwy tryumf trwał dość krótko i zapewne nie wart był tego co przyszło mu właśnie przechodzić. Teraz stanął oko w oko z tym, którego jeszcze rano nazwał złodziejem. Ale w tej konfrontacji był na przegranej pozycji. Próbował coś mówić i jękając się, nerwowo przełykał ślinę. Jednak w starciu z kierownikiem nie miał szans, gdyż ten przez ostatnie kilka miesięcy nie takich przeciwników potrafił rozłożyć na łopatki w słownych potyczkach niezależnie od tego, czy miał, czy też nie miał racji. No ale tego wymagało stanowisko i funkcja jaką pełnił w tym przedsiębiorstwie, a nade wszystko ogrom konfliktowych sytuacji. Nie mógł przecież pozwolić sobie żeby załoga weszła mu na głowę tylko dlatego, że był jednym z najmłodszych jej członków.

- Więc jak to w końcu było panie Malicki? Widział pan czy nie widział jak biorę pomidory z samochodu? A może jak zwykle był pan pijany i tylko coś się panu wydawało? Co...?

- Nie wiem... nie widziałem - wykrztusił z siebie zrezygnowany pielęgniarz.

Stary nie przerywał tego swego przesłuchania, mimo że miał świadomość, iż jego zastępca zapewne wzięł te kilka pomidorów. Jednak lepiej byłoby, gdyby to okazało się nieprawdą. A rozmowa kierownika z pielęgniarzem do tego właśnie prowadziła.

- Jak pan śmiał mnie o to oskarżać, skoro pan nie widział i skoro się panu tylko zdawało? No i że jak się okazuje pomidory rozkradli inni?

- Czy tak właśnie było?

- Przepraszam panie kierowniku, prawie że łzami w oczach wymamrotał Diabeł..

- Skoro tak to napisze pan takie oświadczenie wraz z przeprosinami i powiesi w garderobie, żeby dla wszystkich było jasne, że nie miałem z tym nic wspólnego.

- Tak jest panie kierowniku - resztką tchu i zamierającym głosem z wyschłego teraz gardła jak pustynia Kara Kum odpowiedział. - Czy mogę już odejść?

Dyrektor surowo patrząc mu prosto w oczy odrzekł...

- Dobrze niech pan już idzie, tylko na przyszłość radzę uważać co i o kim pan mówi.

Cały incydent nie był miły, to oczywiste ale podobnych sytuacji było nie mało w ciągu całego sezonu.

Postawa Starego mile zaskoczyła kierownika, gdyż w tym przypadku stał się on jego sprzymierzeńcem a nie wrogiem, jak to było zazwyczaj. Bo konflikty pomiędzy nimi były na porządku dziennym, a ich powodem była głównie

różnica w tym czego wymagał dyrektor, a tym co był gotów zrobić kierownik. Po tych kilku miesiącach nie miał bowiem zamiaru ślepo realizować wszystkich poleceń, a sytuację ocenił według własnego doświadczenia, zgodnie z zasadą uczciwości i w dobrej wierze. Przy tym zawsze, jeśli tylko było to możliwe starał się też chronić swój prywatny interes. W przeciwnym bowiem razie zginąłby tam już po miesiącu.

Dla jasności trzeba dodać, że nikt nigdy nie miał najmniejszych powodów żywić się kosztem zwierząt i normalnie nikomu by to nie przyszło do głowy. A z tymi pomidorami to był po prostu przypadek. Kierowca, który zawołał kierownika chciał dobrze. No ale wyszło jak wyszło. I całe szczęście, że udało się to jakoś odkręcić.

\*\*\*

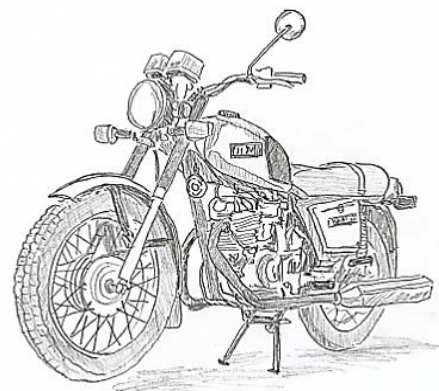
Skoro już jesteśmy przy jedzeniu to należy wspomnieć, że cyrk miał własną kuchnię i bufet. Obiady były przegotowywane po domowemu. Świeże produkty zapewniały doskonały smak oraz jakość potraw. W kuchni zatrudniona była kucharka Halina i była to jakaś rodzina poprzedniego kierownika. Dość atrakcyjna brunetka w wieku ok. 40 lat. Nie jeden przewracał za nią oczami. Bo oczy miała wyjątkowe, podobnie jak i usta. Krótko mówiąc była ładna i przy tym sympatyczna. No i jak to zwykle bywa miała bardzo zazdrosnego i surowego męża, który był wojskowym. Taki typowy trep w stopniu bodajże sierżanta. Przyjechał nawet do niej w okresie wakacyjnym w odwiedziny na 2 tygodnie. Podobno nie miała z nim lekkiego życia. Tak przynajmniej mówiono. W kuchni zaś pomagał jej jego kuzyn, czy ktoś inny z rodziny. Dlatego, ci którzy myśleli o niej w kategoriach innych niż kulinarne nie mieli żadnych szans. No chyba, żeby sama zechciała zaferować swoje wdzięki jakimś wybrańcowi.

I tak też prawie było a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Bowiem z biegiem czasu prawie zaprzyjaźniła się z młodym kierownikiem. Okazując mu znacznie więcej sympatii niż innym, mimo że on wcale o to nie zabiegał. Był zbyt zajęty pracą. Jednak powoli zaczęto szeptać wśród załogi cyrku mimo, iż nic się między nimi nie działo. Trudno było jednak ustrzec się plotek kiedy ona przychodziła do niego wieczorami posłuchać płyt. Oczywiście w sensie dosłownym, ponieważ kierownik już na początku sezonu jako jedyny zakupił sobie dużą wieloczęściową wieżę audio. Poza dwoma wzmacniaczami, magnetofonem i tunerem, był też dobrej jakości gramofon. Do tego trzydziestawatowe kolumny. Często słuchał głośno muzyki, więc każdy wiedział, że ma taki sprzęt. Posiadał także sporą kolekcję płyt, które kupował przy każdej okazji. Innym raczej szkoda było pieniędzy na podobne zakupy, gdyż taka wieża kosztowała wtedy aż 2000 rubli, dla porównania ówczesny motocykl ИЖ<sup>1</sup> kosztował raptem niecałe 3 tysiące.

Spotykali się więc od czasu do czasu przy lampce koniaku czy szampana. Słuchali muzyki i rozmawiali, ale do niczego między nimi nie doszło. Ona zresztą była sporo starsza od niego, a wyczerpująca praca, stres i wieczne problemy tłumiły typowe męskie potrzeby. Chyba oboje potrzebowali raczej bratniej duszy w tym specyficznym świecie. Ona szukała chwili rozrywki po całym dniu w kuchni, a on kogoś z kim można spokojnie i bez obaw porozmawiać o wszystkim. Bez obawy że rozmówca wykorzysta to przeciwko niemu. Na co dzień zewsząd czyhały na niego złe intencje pozornie przyjaznych mu ludzi. Niejeden bowiem liczył na to, że młody człowiek w końcu nie poradzi sobie z tak wielką odpowiedzialnością i popełni jakiś poważny błąd, a może nawet się podda. I nie jednemu dałoby to niemałą satysfakcję. Można więc powiedzieć, że się przyjaźnili i w pewien sposób wspierali. Sytuacja zmieniła się kiedy do Haliny przyjechał mąż. Zapewne ktoś życzyliwy zaraz doniósł mu co tu się dzieje. A że wyglądało to dość dwuznacznie, to w wyniku tego ona przestała się nawet uśmiechać w obawie, że zostanie to źle odebrane przez zazdrosnego małżonka, który starał się nie spuszczać jej z oka.

Po jego wyjeździe ich dalsze stosunki pozostały już na bardziej chłodnym poziomie. Widywali się tylko przypadkowo, albo spotykali podczas wydawania obiadu, czy w bufecie, który oferował cały zestaw tanich pysznych przystawek i dań stanowiących zazwyczaj zakąskę do serwowanych alkoholi. Ulubionym daniem kierownika - i nie tylko, były krokiety, 6 rubli za porcję. Późnymi wieczorami co bardziej wybredni pracownicy cyrku odwiedzali bufet i przesiadywali tam godzinami. Ale dotyczyło to jedynie pewnej grupy osób, do których poza artystami zaliczał się też kierownik oraz dyrektor. Pozostała część załogi zadowalała się konsumpcją w zaciszu własnych działek, nie wydając dodatkowych pieniędzy.

Nie oznacza to bynajmniej, że kierownik stronił od tego typu kameralnych imprez organizowanych przez pracowników cyrku. Jednak najczęściej było to wybrane i określone grono bardziej zaufanych ludzi. Było więc kilka osób, z którymi zazwyczaj się spotykał po spektaklu, by tradycyjnie zakończyć udany dzień.



**Motocykl IŻ „Planeta” produkowany w latach 1987—2008.**

<sup>1</sup> Z ros. - czytaj - Iż - rosyjski motocykl produkowany w latach 1929—2008. Nazwa pochodzi od miasta Iżewsk w środkowej Rosji, w którym go produkowano.

Tak było i tym razem, kiedy wydarzyło się coś, co zmroziło krew nie tylko w jego żyłach. Mimo, że Rosja z tamtych lat jawiła się w sumie jako bezpieczne miejsce na ziemi, zwłaszcza dla kogoś, kto był w szczególny sposób chroniony, chociażby poprzez odrębne terytorium, jakim był cyrk, dochodziło czasami do dość niebezpiecznych sytuacji.

Byłby to wieczór jak każdy inny, i nie nie wskazywało na to, żeby miało być inaczej. W cyrku ucichł już gwar i ruch. Gdzieś tam ktoś jeszcze przechodził po cyrkowym placu. Dla wszystkich jest to czas na zasłużony odpoczynek. Jedynie nocny, który w dzień zazwyczaj spał właśnie rozpoczynał swój dyżur.

Czas relaksu zazwyczaj polegał na biesiadowaniu do późna w zaciszu działki lub przy kempingowych stolikach pod gwieździstym niebem. Suto zakrapiana kolacja i wesołe rozmowy. Eh, beztrudne cyrkowe życie.

Kierownik jak wszyscy inni również odpoczywał w ten sposób. Pozwalało mu to na złapanie dystansu do codziennych spraw. Takie kolacje zazwyczaj kończyły się o 1, czasem 2 w nocy. A nazajutrz wszyscy zaczynali nowy dzień. Odprawa z kierowcami, na której zawsze był obecny, miała miejsce zazwyczaj o 8 rano więc do tej pory każdy zdążył się wyspać. I mimo, iż przy takim trybie życia w sumie na sen nie pozostawało zbyt wiele czasu, a w czasie dnia kierownik był zazwyczaj na pełnych obrotach, to nie czuł nigdy aż takiego zmęczenia, żeby musiał myśleć o rezygnacji, czy powrocie do kraju. Jego organizm szybko się regenerował i następnego dnia był zawsze gotowy do wyteżonej pracy. Zapewne ze względu na swój młody wiek, ale może też ze względu na wyjątkowe, czyste i świeże powietrze, którym wypełniona zdawała się być cała ta kraina w Środkowej Azji. Znaczenie miała też zapewne doskonała rosyjska wódka, po której nigdy nie było kaca.

Tym razem kolacja była u kierowcy, który w tym cyrku pracował najdłużej i cieszył się powszechnym szacunkiem zarówno kolegów jak i kierownictwa. Noc była ciepła i cicha. Tylko od czasu do czasu gdzieś między wozami wybuchał wesoły śmiech. W trzyosobowym więc składzie przy turystycznym stoliku zastawionym jedzeniem i picciem kierownik gościł się i odpoczywał.

W pewnym jednak momencie dotarły do nich odgłosy jakby awantury. Podniesione głosy i krzyki dobiegały z drugiej strony wozu. W tym czasie każdy był już nieźle wstawiony, jednak do takich sytuacji dochodziło bardzo rzadko. Kierownik nie był jaszczke aż tak pijany, żeby nie mógł zareagować. W końcu to on odpowiadał tu niemal za wszystko, a więc również za ład i porządek. Wstał więc i ruszył w stronę dochodzących odgłosów awantury. Był zły, gdyż ta niecodzienna sytuacja odciągnęła go od stołu i zepsuła błogi nastrój. Już po drodze pomyślał sobie...

– No, ja wam zaraz dam awanturę! – Był pewien, że jej przyczyną jest któryś z kierowców.

I już miał ryknąć na tych, których spotka za rogiem wozu, co w normalnych warunkach poskutkowało by natychmiast, jednak zamiast tego stanął jak wryty, bo to co zobaczył nie mogła objąć jego wyobraźnia, a tym bardziej teraz, gdy był po kilku kieliszkach, co dopiero

mówić kiedy była to bardzo brutalna rzeczywistość. Na szczęście zdążył wychylić tylko głowę i w półmroku nikt go nie zauważył. Musiała minąć zapewne dłuższa chwila zanim dotarło do niego co się dzieje. Natychmiast wytrzeźwiał i cofnął się z przerażeniem. Serce zaczęło mu łomotać, a do głowy cisnęły się najróżniejsze myśli. Wszystkie jednocześnie bez składu i ładu. Oparł się ciężko o ścianę wozu i sam do siebie powiedział:

– Co jest? O co chodzi? – Próbował ogarnąć sytuację.

– Co robić? Muszę przecież coś zrobić!

Po drugiej stronie wozu mieszkało dwóch kierowców, do których na czas wakacji przyjechały żony z dziećmi. Byli to akurat dość spokojni i ułożeni ludzie i nigdy nie było z nimi żadnych problemów, jednym z nich był Zawadzki. Ten sam, z którym jeszcze przed sezonem kierownik pojechał w swoją pierwszą służbową podróż. Czyli po odbiór Niemca z granicy. Teraz jednak wokół ich wozu kłębiło się około 20–30 miejscowych mężczyzn, którzy byli agresywni, a niektórzy z nich szarpali się z jednym z naszych. Wśród krzyków i przekleństw słychać było płacz dzieci i kobiet. Takiej sytuacji nikt nie mógł się spodziewać. Była to scena jak z najgorszego horroru.

– Jak zareagować? Jak im pomóc? – Próbował zebrać myśli kierownik.

Nie było czasu trzeba było działać. Jednak w tym mieście cyrk wyjątkowo miał stać tylko trzy dni, więc administracja rosyjska nie podłączyła telefonu. Po prostu się nie opłacało ciągnąć linii na tak krótki okres. Wiadomym było, że trzeba wezwać na pomoc milicję, która nie raz pomagała w podobnych przypadkach. Jednak jak to zrobić? Szybka konsultacja z siedzącymi przy stole współbiednikami oraz równie szybka decyzja.

– Dobra, biorę Tarpana i jadę po milicję. – Powiedział z determinacją w głosie kierownik.



### FSR Tarpan – samochód rolniczy, w latach 1973-1994 produkowany w Poznaniu

No tak... łatwo powiedzieć biorę, ale jak? Większość kierowców była już po kilku głębszych - podobnie jak i on. A zasada trzeźwości za kółkiem obowiązywała nawet tu w cyrku. Mimo to znalazł się kierowca, który zaoferował się, że pojedzie żeby jakoś pomóc swoim kolegom. A był nim Marian, który od pewnego już czasu stał się niemal osobistym kierowcą kierownika. Oczywiście wszystko działo się w błyskawicznym tempie i już niemal po minucie Tarpan pędził w stronę bramy wyjazdowej. Kierownik jeszcze nie bardzo wiedział gdzie szukać posterunku, ale teraz o tym nie myślał. Mieli przed sobą inny poważniejszy problem. Otóż widząc, że ktoś chce jechać po pomoc jeden z napastników stanął na środku

wyjazdu zagradzając drogę. Samochód się zatrzymał.

– I co teraz robimy? – Zapytał przerażony kierowca.

– Może go przejadę? – Powiedział... i nie zabrzmiało to bynajmniej jak żart. W tej samej chwili, tamten zaczął zamykać bramę.

– Kto idzie? – Zapytał kierownik, mając na myśli kto otworzy bramę...?

– Ja nie... – Odparł bez namysłu kierowca.

Kierownik też nie miał chęci na bezpośrednią konfrontację z napastnikami. Sytuacja robiła się groźna i pozornie bez wyjścia. A czas uciekał nieubłaganie. Narastająca groza całej sytuacji zaczynała być nie do zniesienia. W tym samym czasie wieść o napadzie rozniosła się szybko po cyrku i pewna część załogi ruszyła na pomoc napadniętym. Jednak w pobliżu nie było chętnego do otwarcia bramy.

Nagle jakimś cudem na miejscu znalazł się pewien muzyk, który grał w orkiestrze cyrkowej na basowej gitarze. W tej chwili i w tym miejscu nikt nie spodziewał się ani żadnego artysty ani muzyka. Ich wozy stały na tyłach cyrku czyli po drugiej stronie ogromnego namiotu. Więc co tam robił o tej porze mogło być zagadką, jednak tym razem było niemal zbawieniem. Był to młody, wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna, który w tym miejscu wyrósł jakby spod ziemi. Jak się po latach okazało to właśnie z jego bratem, kierownikiem pracował razem potem we Francji. Widząc co się dzieje bez namysłu podbiegł do bramy i odepchnął stojącego tam ruskiego dryblasza. Zaraz po tym otworzył bramę na tyle, że rozpędzony samochód zarzucając tyłem na błocie z rykiem silnika wyjechał z cyrku aby sprowadzić pomoc.

Dość szybko udało się odnaleźć komisarza i do dziś trudno pojąć jak to się stało. Przypadek, a może boska opaczność? W każdym razie już po kilku minutach na miejsce wraz z cyrkowym Tarpanem, przyjechały trzy milicyjne radiowozy. Czyli trzy gaziki, a z każdego z nich wysiadło po pięciu milicjantów. Kierownik odetchnął z ulgą, bo był pewien, że zaraz będzie po wszystkim. Nie raz bowiem był świadkiem jak tamtejsza milicja potrafi radzić sobie w różnych trudnych przypadkach.

Ale ku jego zdziwieniu tym razem milicjanci zamiast biec, to niemal spacerem udali się na miejsce. I mimo, że mieli pałki i broń nie zamierzali w ogóle ich używać. Dla kierownika był to szok. Przy tak przytłaczającej przewadze rozjuszonych napastników samą perswazją trudno będzie opanować sytuację.

– Jak więc oni mają zamiar rozpedzić to towarzystwo? – Pomyślał.

Atmosfera zagrożenia udzieliła się wszystkim zaangażowanym. I nic w tym dziwnego kiedy naprzeciw garstki Polaków stało kilkudziesięciu rosyjskich chuliganów. Na szczęście nie doszło do poważnej eskalacji konfliktu. Milicjanci podeszli do napastników, przywitali się z przywódcami ich grupy i rozpoczęli negocjacje próbując wyjaśnić zaistniałą sytuację. Poprosili w końcu, aby tamci opuścili teren cyrku tłumacząc, że w tym momencie jest to jakby suwerenny teren innego państwa jakim jest Polska. Po kilku minutach cała grupa znajdował się już po drugiej stronie ogrodzenia cyrku. Jednak nadal tam stali jakby czekając, aż milicja odjedzie. W końcu po ponad pół godzinie pozostał tylko jeden radiowóz, a napastnicy rozeszli. Na szczęście skończyło się tylko na

strachu, nerwach, szarpaninie i kilku siniakach. Ale mogło być różnie. W takim zamieszaniu w każdej chwili któryś z napastników mógł użyć noża czy innej broni. Kierownik zdawał sobie z tego sprawę najlepiej, bo sam przecież znalazł się w podobnej sytuacji, mimo że wtedy był całkiem tego nie świadomy.

Co się jednak tak naprawdę stało? Otóż okazało się, że dzień wcześniej, czyli w dniu przyjazdu cyrku kiedy technicy mieli wolne po budowie, doszło do bijatyki w miejscowej restauracji. Polacy, którzy udali się tam całą kilkunastu osobową grupą wszczęli awanturę i dołożyli zdrowia kilku miejscowym, a ta nocna napaść była odwetem za wczorajsze wydarzenia. Jednak napastnicy wdarli się do cyrku i bez zbędnych ceregieli próbowali wziąć odwet na pierwszych napotkanych Polakach. Na nieszczęście byli to bogu ducha winni kierowcy i do tego pech chciał, że ze swoimi rodzinami. Jeszcze długo po tym opowiadano, jak to było. Każdy przeżył to na swój sposób. Przy tym w opowieściach, nie pomijano bohaterkiego zachowania gitarzysty, dzięki któremu być może nie doszło do jakiejś tragedii i któremu po wszystkich kierownik podziękował osobiście.

A że takie awantury mogą skończyć się tragicznie, kierownik przekonał się już po kilku latach pracując w cyrku Pinder we Francji. Cała nocna akcja skończyła się grubo po trzeciej. Kierownik jeszcze długo mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Rozważając w myślach możliwe scenariusze. Bo co by było gdyby nie dał rady sprowadzić milicji? A główną nauką dla niego było to, że od tamtej pory niezależnie od tego ile stali w danym mieście zawsze musiał być podłączony telefon. Na szczęście, aż tak ekstremalne sytuacje należały do rzadkości.

\*\*\*

Jednak od czasu do czasu zdarzały się inne historie. Może nie tak spektakularne, ale nie mniej niebezpieczne. Chociażby ta w Biesłanie, miejscowości położonej nieopodal ówczesnego Ordżanikidze, które było stolicą Północnoosetyjskiej Autonomicznej Republiki Radzieckiej. W niedługim czasie na skutek przemian w ZSRR zmieniono nazwę na Władawkawka i do dziś stanowi stolicę Republiki Północnej Osetii-Alanii. Nowa nazwa oznacza „Władający Kaukazem” natomiast poprzednia pochodziła od nazwiska postaci historycznej z przełomu XIX i XX wieku, Sergo Ordżanikidze. Między innymi przy jego udziale doszło do powstania Republiki Zakaukaskiej. Generalnie była to postać bardzo barwna i ciekawa. Warto by w tym miejscu ją przybliżyć. Jednak charakter tego opracowania jest zgoła inny, więc może przy innej okazji.

Tak, to ten sam Bieslan, gdzie kilkanaście lat później, bo w roku 2004 doszło do tragedii, która wstrząsnęła całym światem. Mowa o terrorystycznym zamachu na szkołę, którego dokonali czeczeńscy terroryści należący do grupy Szamila Basajewa. W ataku zginęło ponad 400 osób, a w tym, co najbardziej tragiczne ponad 170 dzieci. Ponadto ok. 700 osób zostało rannych. W tamtych czasach Czeczenia pod rządami Dżochara Dudajewa stała się ostoją dla licznych organizacji przestępczych i terrorystycznych. Jest to o tyle istotne, że nie zważając na niechlubną przeszłość tego człowieka, polskie władze postanowiły go uhonorować nazywając jego imieniem jedno z warszaw-

skich rond. A to przecież on jako jedyny Czeczeńiec dosłużył się w sowieckiej armii rangi generała, sprawując dowództwo nad dywizją lotnictwa bombowego, która przeprowadzała dywanowe naloty nad Afganistanem. To on jako prezydent Czeczenii wysłał ochotników pod wodzą właśnie Basajewa do Azerbejdżanu, Nagornego Karabachu czy Gruzji. Tam w ramach wsparcia dla, azerskich muzułmanów, czy rebelii islamskich Abchazów, zabijano chrześcijańskich Ormian czy Gruzinów. Człowiek z taką przeszłością nie powinien być bohaterem w Polsce. A tak się jednak stało i to już w 2005 roku czyli zaledwie rok po wydarzeniach w Biesłanie.

Taka tragedia... ale czas nieubłagalnie płynie i zadziwiające jest to, jak szybko człowiek zapomina. Oczywiście nie dotyczy to mieszkańców Biesłanu, jak również całej Rosji w ogóle. W szczególności zaś bliskich i rodzin zamordowanych ludzi. Więc gdyby nie fakt, że właśnie postanowiłem opisać pewien fakt, który miał miejsce w tym mieście, to sam też bym o tym nie pamiętał. Takie zjawisko ulotnej pamięci historycznej jest aż niepokojące. Przecież często pamiętamy dużo bardziej błahsze wydarzenia. Ciekawe, że do dziś nikt nie wpadł na pomysł nakręcenia o tym filmu. Ale może to jeszcze zbyt świeże rany, poza tym w Rosji raczej odwrotnie niż np. w USA na tego typu komercję nie ma jeszcze przyzwolenia.



Mapa Kaukazu.

Otóż pewnego ciepłego i pogodnego, jak większość w tym rejonie wieczoru, podczas spektaklu, kierownik wraz z trzema kierowcami stał na frontonie<sup>2</sup> - było to wejście do cyrku pełniące też zadanie bramek, przez które wpuszcza się widzów uprzednio sprawdzając bilety. Kierownik nie musiał tego robić, jednak często pomagał z własnej woli. Czasem pomagał też przy kupowaniu wozów w dniu przerw, a innym razem przy stawianiu parkanu, czyli ogrodzenia jakim okalało się cyrk oddzie-

lając go od nieproszonych gości, a w szczególności tych, którzy chcieli się dostać na przedstawienie bez biletu. Kończyła się właśnie przerwa i większość widzów była już pod namiotem. W pewnej chwili zrobiło się jakieś zamieszanie wśród ludzi stojących przed frontonem, a ponieważ było już dość ciemno - bo był to już drugi spektakl w tym dniu, nagle zbliżył się tam jakiś człowiek. Biegł, a następnie przeskoczył przez zamknięte bramki. Nikt nie zdążył nawet zareagować, bo kierowcy wraz z kierownikiem stali oparci o barierki i rozglądali się leniwie po tłumie wsłuchując się w dźwięki głośniejszej muzyki dochodzącej z cyrku. Znali już całe widowisko na pamięć więc po samej muzyce granej przez orkiestrę, a nie tak jak teraz najczęściej puszczonej z różnych urządzeń i odtwarzaczy, dokładnie wiedzieli kto i w której minucie występuje oraz co właśnie robi. Oczywiście po chwili dwóch kierowców udało się za uciekającym człowiekiem. Biegł w stronę głównego wejścia do namiotu. Jednak bynajmniej nie uciekał przed nimi. Niemalże w tym samym czasie do frontonu podbiegł drugi mężczyzna najwyraźniej goniąc tamtego. Te kilkanaście sekund wystarczyło, żeby podjąć jakieś działanie, w końcu kierowcy wraz z kierownikiem stali tam właśnie po to żeby nikt nie wchodził bez biletu.

Kierownik więc bez zastanowienia i niemalże odruchowo zagroził drogę przeskakującemu przez bramkę mężczyźnie. Ten jednak mocnym ruchem ciała odepchnął go i pobiegł dalej. W półmroku przez ułamek sekundy coś jakby błysnęło. Kierownik mało się nie przewrócił i jakby tego nie zarejestrował na tyle, żeby skojarzyć co to było. Napastnik wbiegł do cyrku jednak po kilku minutach wybiegł i nie mniej sprawnym skokiem pokonał barierkę z tym, że tym razem w drugą stronę, po czym zniknął w tłumie oraz ciemności. Widocznie tamten, który przed nim uciekał wybiegł z drugiej strony którymś z bocznych wejść lub ukrył się wśród widzów albo pod gradzinami<sup>3</sup>.

Cała sytuacja się uspokoiła, a na froncie wywiązała się dyskusja dotycząca tego co się stało. Każdy widział co innego i każdy chciał opowiedzieć jaką rolę odegrał w tym niecodziennym zdarzeniu. Nie mniejsze emocje były również wśród tłumu zebranych przed wejściami do cyrku ludzi. Wtedy do kierownika podszedł starszy kierowca i po ojcowsku zwrócił mu uwagę na nieodpowiedzialne zachowanie młodego człowieka.

– Co ty do cholery robisz? Życie ci niemiłe? Przecież tamten miał nóż, nie widziałeś?!

<sup>2</sup> Główne zwykle ozdobne wejście na teren cyrku.

<sup>3</sup> Nośna część konstrukcji widowni.

– Tak, teraz w mgnieniu oka kierownik skojarzył błysk, na który wtedy nie zwrócił uwagi i aż mu się zrobiło zimno na całym ciele. – A gdyby cię tym nożem dźgnął w brzuch? Co ty? Cyrk dla ciebie ważniejszy od życia?

Widać było, że starszy kierowca zdenerwował się nie na żarty. Był poważny, stanowczy i nie miał nawet zamiaru przyjmować żadnych tłumaczeń. Kierownik zaś nie miał zamiaru się tłumaczyć. Zrozumiał, że sytuacja była groźna, a on był w jej centrum. Teraz zrobiło mu się gorąco kiedy to do niego kolejny raz dotarło. Zaschło mu w gardle, a myśli kłębiły się w głowie gdy starszy kierowca ciągnął dalej swoistą reprimendę. Po chwili jednak wydusił z siebie słabym głosem...

– Faktycznie, masz racje, co ja robię... - Przyznał mu bezapelacyjne racje, tym samym przyjmując winę za swoje nieodpowiedzialne zachowanie.

Zagrozenie było realne, bo w tych stronach posługiwanie się nożem podczas rozstrzygnięcia konfliktów osobistych czy rodzinnych było powszechne i normalne.

Z rozmów z miejscowymi wynikało, że tym dwóm poszło o dziewczynę i w taki właśnie sposób wyjaśniali sobie wątpliwości co do tego. Nic dziwnego, że atakowany chłopak uciekał co sił w nogach i chciał schronić się w cyrku. Całe też szczęście, że napastnik nie użył noża aby uterować sobie drogę do zemsty na uciekającym. Drogę na, której stanął mu niczego nieświadomy kierownik. Wiele się będzie jeszcze musiał nauczyć nasz bohater i do tego na pewno nie zabraknie mu okazji.

\*\*\*

Ale nie każda afera czy awantura kończyła się w opisany powyżej sposób, czyli jakby samostnie. Bo jednak dość często do uspokojenia sytuacji wzywano milicję.

Tak właśnie było w Derbencie, gdzie grupa kilkunastu wyrostków wspieranych przez kilku starszych chuliganów postanowiła zabawić się i obrzucać cyrk kamieniami. Zabawa tak im się spodobała, że reakcje czy uwagi stojących dookoła cyrku kierowców, którzy mieli za zadanie pilnowania, aby nikt nie dostał się do cyrku przez parkan, nie robiły na nich żadnego wrażenia. Prowokowały tylko do dalszych coraz bardziej zuchwałych ataków. Kamienie wielkości piłek golfowych i większe, łądowały więc na namiocie, a w końcu i na głowach ludzi. Musieli więc schować się pod namiotem. Przedstawienie wciąż trwało i nie było możliwości podjęcia żadnej skutecznej reakcji przez obsługę cyrku. Szczególnie przy przeważającej liczbie napastników. Kierownik jak zazwyczaj stał na frontonie. Tu jednak było w miarę spokojnie, bo poza słownymi zaczepkami nikt kamieniami nie rzucał. Z prawej strony cyrku zza muru, jaki tam się znajdował, leciał wprost grad kamieni. Jedyne co można było zrobić, to zadzwonić na milicję. Zasznurowano namiot od wewnątrz i czekano na pomoc.

Reakcja na telefon z polskiego cyrku była niemal natychmiastowa. Po chwili na plac cyrkowy wjechał milicyjny gazik. Wyszło z niego czterech milicjantów i od razu ruszyli do napastników. Działanie było szybkie i nad wyraz sprawne. W wyniku tej akcji zatrzymano aż ośmiu chuliganów. W tym również tych starszych. Milicja w owym czasie miała na tyle umocnioną władzę i budziła respekt, że schwy-

tani napastnicy nie próbowali nawet uciekać. Tym bardziej, że wokół nich zebrano się już kilku cyrkowych kierowców. Dowodzący milicjant poprosił o udostępnienie rosyjskiego biura w roli pomieszczenia do przeprowadzenia przesłuchania. Wszyscy pomyśleli, że teraz napastnicy zostaną wpisani i przesłuchani na okoliczność zajścia. Jednak okazało się, że tam takie sprawy załatwiano się od ręki bez zbędnych ceregieli i biurokracji.

Stało się to jasne po tym, jak pierwszy z chuliganów wszedł do środka w towarzystwie dwóch milicjantów. Po chwili dało się słyszeć krzyk bitego chłopaka oraz dźwięki jakie wydawały milicyjne pałki spadające z potężną siłą rosyjskich milicjantów na plecy zatrzymanego.

Takie przesłuchanie trwało może 2 minuty, po czym przesłuchany został wypuszczony, a raczej wyrzucony z wozu. Na jego miejsce zabrano następnego i tak po kolei obsłużono wszystkich zatrzymanych. Każdy z nich wychodząc miał załzawione oczy od płaczu, a po dodatkowym pouczeniu dowódcy patrolu był wypchnięty poza teren cyrku. No cóż trzeba przyznać, iż taki widok nie należał do codzienności nawet tam. Całe zajście zrobiło na kierowniku i wszystkich obecnych spore wrażenie. Ale spowodowało też i niemałą satysfakcję, bo okazało się, że można szybko i sprawnie zareagować na akt chuligaństwa. A że być może nie była to metoda najbardziej humanitarna i zgodna z prawem to trudno, za to wyjątkowo skuteczna.

Innym podobnym zdarzeniem, które miało miejsce w czasie sezonu, był przypadek kiedy na terenie cyrku zaczęła rozrabiać grupka wyrostków. Doszło do przepychanek z kierowcami i wyzwisk. Po chwili na miejsce milicyjnym Жигули<sup>4</sup> przyjechał jeden milicjant. Kierownik od razu pomyślał...

- Tylko jeden? To co on tu zdziała?

Wcześniej zazwyczaj interwencje podejmowane były co najmniej przez kilku funkcjonariuszy. Był to jak się okazało dzielnicowy z tego rejonu. Niski, zaokrąglony człowieczek w mundurze lecz bez czapki. Zostawił ją w aucie zapewne w obawie, że podczas interwencji mu spadnie, co w tamtych czasach również w naszej milicji było nie lada afrontem dla władzy. W ręce za to trzymał czerwony zeszyt, czy też coś w rodzaju teczki. W swym działaniu był stanowczy i nieublagany. Przywoływał do siebie zaskoczonych jego pojawieniem się chuliganów i kolejno wymierzał im razy tym zeszytem po głowie. Prał ich tak dokładnie, że aż większości z nich zakręciły się łzy w oczach. Żaden jednak nie śmiał nawet się zasłaniać nie mówiąc o ucieczce. Byli jak sparaliżowani samą jego obecnością. On zaś jakby ich wszystkich znał i przywołując kolejno wymierzał zasłużoną, karę.

Tak... Milicja tam mogła naprawdę wiele. Co kierownikowi raczej nie mieściło się w głowie. Przynajmniej na początku, zanim przywykł do takich metod działania władzy. Z drugiej zaś strony w inny sposób być może nie dało się zapanować nad tego typu zdarzeniami. W Polsce zatrzymano by sprawców do wyjaśnienia, a czynności przeprowadzono w komisariacie.

<sup>4</sup> Z ros. – czytaj – Żiguli – Nazwa Łady na krajowy rynek ZSRR. Samochód osobowy podobny Fiata 125p.

Tam nikt takich spraw nie traktował chyba na tyle poważnie, żeby prowadzić dochodzenia i tworzyć dokumentację. Jeśli to tylko było możliwe sprawa załatwiana była na miejscu.

\*\*\*

Na miejscu próbowano załatwić też pewną inną sprawę dotyczącą kradzieży. Ok. 2 w nocy ktoś zapukał w drzwi działki. Kierownik dopiero co zasnął i jakby przez sen słyszał jakieś głosy i walenie do drzwi. Po chwili okazało się, że to grupka artystów. A dokładniej mówiąc akrobaci. Było to trzech młodych chłopaków, którzy razem występowali i razem mieszkali w jednej działce. Sprawa, z jaką przyszli o tak późnej porze, dotyczyła włamania do ich wozu. Podczas gdy sami do późna w nocy bawili się w mieście, ktoś włamał się do ich działki. Przez wybitą szybę dostał się do środka i ukraść poza innymi rzeczami jeden z kostiumów. Było to o tyle ważne, że służył on do występów. Czyli jeden z akrobatów właśnie w nim występował. Tylko po co komu cyrkowy kostium? Trzeba więc było wezwać milicję. Wszyscy udali się do rosyjskiego biura, gdzie był telefon. Wcześniej kierownik musiał jeszcze obudzić Lenę, która miała klucze. Po chwili nie wiadomo skąd zjawili się też magazynier i wszyscy razem czekali na przyjazd milicji, która przyjechała po jakiejś półgodzinie. Ponieważ był środek nocy, postanowiono spisać zeznania na miejscu.

Trwało to dość długo i aby umilić sobie czas wszyscy przenieśli się do wozu Leny, która uraczyła ich winem. Co chwilę wnoszono toasty za miłość i wolność. Co chwilę kolejno młodzi akrobaci szli do biura, aby jako świadkowie i poszkodowani składać zeznania dotyczące włamania. Ok. 3:30 został już tylko kierownik, który z racji funkcji powinien pozostać do końca interwencji, magazynier, Lena i jeden z młodych artystów. W końcu milicjanci zakończyli swoje czynności. Jednak dla bezpieczeństwa postanowiono, że jeden z nich zostanie do rana w cyrku. Czyli w rosyjskim biurze. Był to młody szeregowy o delikatnych chłopięcych rysach. Od razu wpadł on w oko magazynierowi, który przyniósł butelkę wódki i postanowił mu towarzyszyć w tym nocnym czuwaniu. Kierownik jeszcze chwilę z nimi posiedział, jednak był już tak zmęczony, że ok. 4 wrócił do siebie. Rano przecież kolejny pracowity dzień. W biurze został więc magazynier z młodym szeregowym. Popijali wódkę, poklepywali się i żartowali. Co było dalej nie wiadomo jednak następnego dnia starszy kierowca zwrócił uwagę kierownika na ciemne okulary magazyniera. I rzeczywiście, jak nigdy przedtem w tym dniu nosił je już od samego rana. Mimo, że przecież słońce jeszcze, aż tak bardzo nie świeciło. Nie trzeba było nawet dopytywać się dlaczego. Cały bowiem cyrk huczał na ten temat. Okazało się, że ciemne szkła miały ukryć podbite oczy magazyniera. Wyglądało na to, że taką właśnie pamiątkę otrzymał od owego młodego milicjanta, z którym sam na sam biesiadował w biurze do rana. W czasie wspólnej libacji prawdopodobnie zaczął się do niego po prostu dobierać. Obejmować niby to w przyjacielskim geście, dotykać, a w końcu całować. Młodemu szeregowemu raczej się to nie spodobało i dlatego tak, a nie inaczej, ta noc zakończyła się dla magazyniera. A nowym zadaniem dla kierownika było znalezienie

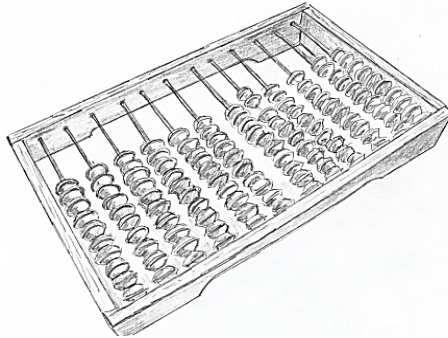
szklarza i dorobienie wybitej szyby, którą później miał wstawić któryś z technicznych.

Od tej pory zapanowała moda na kraty w oknach, aby ustrzec się podobnych kradzieży. Miało to również związek z tym, że zdarzały się też kradzieże podczas przerzutów. Podczas kiedy ciągnący wozy cyrkowe samochód zwalniał na zakręcie, na kupąg wskakiwały miejscowe młodociane złodziejzaski. Stojąc na zaczepie wybijali szybę w drzwiach działki, która miała wejście od frontu i tym sposobem dostawali się do środka. Następnie po splądrowaniu wnętrza na następnym zakręcie wyskakowali i ślad po nich ginął. Zresztą nikt ich nie widział, bo przy tak długich składach kierowcy nie mogli widzieć wszystkiego w lusterkach. Ponieważ działka kierownika miała właśnie wejście od frontu to i on postanowił sprawić sobie kratę. No ale łatwo powiedzieć, przecież nie zrobi jej sobie z drutu. Artyści załatwiali to z cyrkowym spawaczem, który z kilku prętów za parę groszy pospawał im kraty na wymiar. Jednak kierownikowi nie wypadło tego w taki sposób załatwiać. W końcu była to prywatna w państwowym przedsiębiorstwie, którego on był niejako zarządcą. Postanowił więc zrobić sobie kratę na mieście. Przy okazji będąc w jakimś produkcyjnym zakładzie zapytał o spawacza. Był nim młody sympatyczny człowiek. Kierownik miał kilka zamówień dla cyrku, a przy okazji dodatkowo poprosił prywatnie o wykonanie kraty do okna swoich drzwi. Przy czym od razu zaprosił spawacza na niedzielny spektakl wręczając dla całej rodziny zaproszenie. Kiedy więc spawacz odszukał kierownika przed występem, na który przyszedł z żoną i dziećmi, wręczył mu specjalnie dla niego zrobioną kratę do okna. Ale nie była to zwykła kratka, jaką mieli inni, czyli taka jak w więzieniu. To było prawdziwe dzieło sztuki. Pospawane druty o grubości ok. 5 mm zwieńczone ramką z kątownika przedstawiały bukiet tulipanów. Całość starannie oczyszczona i pomalowana na czarno. Krata była tak piękna, że jeszcze przez wiele kolejnych dni wszyscy w cyrku przychodzili ją podziwiać. Mimo, iż takie zaangażowanie spawacza było niepojęte, to jednak w Rosji nie było to niczym nadzwyczajnym. Tu ludzie jeśli tylko mogli, pomagali jak najlepiej umieli i to bezinteresownie. A to mogło dziwić przybysza z Polski, gdzie powoli w wyniku przejmowania wzorców od Europy Zachodniej podobne zjawisko było już rzadkością.

\*\*\*

Ale nie tylko to mogło zadziwiać czy wręcz zaskakiwać. Na każdym kroku można było spotkać się z czymś niezwykłym. W fabryce, na ulicy, czy w sklepie. Tutaj bowiem szczególnie w handlu detalicznym i generalnie w małych sklepach, czy na bazarze nadal posługiwano się liczydłami. To zjawisko było wręcz egzotyczne zważywszy, że kierownik jak większość Polaków miał z tym urządzeniem do czynienia jedynie w szkole podstawowej. Omawiano je raczej bardziej jako ciekawostkę, niż urządzenie do skutecznego liczenia. Podobnie było z suwakiem logarytmicznym. W Rosji jednak posługiwanie się liczydłem było tak powszechne i zakorzenione, że używano ich właśnie w sklepach. I nie świadczyło to bynajmniej o zacofaniu ludzi czy handlu. Bo najciekawsze jest to, że sprzedawcy powszechnie posiadali i używali też kalkulatorów.

Jednak po obliczeniu należnej kwoty, czy też wyliczeniu reszty na kalkulatorze niemal odruchowo sprawdzano wynik na liczydłem i dopiero wtedy przyjmowano lub wydawano gotówkę. Robiono to przy tym nie mniej szybko i sprawnie niż na kalkulatorach. Liczydła były też obecne na poczcie i w innych urzędach czy w zakładach pracy.



### Rosyjskie liczydło czyli Счёты (czyt. szczyoty).

Dla Polaka mógł być to prawdziwy szok kiedy widział taki obrazek. Tak też było z kierownikiem. Nie mógł pojąć jaki sens ma sprawdzanie elektronicznej maszyny, która z założenia liczy dokładnie i szybko. I właśnie po to została stworzona, aby przyspieszyć liczenie i wyeliminować błędy. Często się nad tym zastanawiał i w końcu doszedł do pewnych wniosków.

Trzeba przy tym dodać, że ZSRR już od lat słynął z produkcji elektroniki. Właśnie takiej jak elektroniczne zegarki, kalkulatory czy inne mniej lub bardziej potrzebne urządzenia. Jednym z takich urządzeń był mini programator służący do sterowania pracą podłączonych do niego urządzeń. Posiadał on diodowy wyświetlacz, mnóstwo klawiszy funkcyjnych i kilka wejść na wtyczki w obudowie. Poza tym pełnił też funkcje zegara z budzikiem i kalendarza. Działo to tak, że po podłączeniu np. nocej lampki, telewizora, wentylatora czy innych urządzeń można było zaprogramować ich włączenie lub wyłączenie w dowolnym czasie na przestrzeni tygodnia. Podobnie jak budzenie. Przy tym dodać jeszcze należy, że to ZSRR w tamtym czasie produkował powszechne i u nas praktycznie automatyczne z programatorami, kolorowe telewizory itp. Jednym z dość powszechnych i znanych urządzeń były także kieszonkowe gry elektroniczne z ciekłokrystalicznym wyświetlaczem i przyciskami do sterowania. Urządzenia Game Boy japońskiej firmy Nintendo, które po przemianach polityczno-gospodarczych opanowały Polskę, pojawiły się znacznie później. Co prawda w Japonii powstały w 1989 roku, ale popularność zdobyły dopiero w 1994 r. Nie można więc zarzucić Rosjanom, że korzystali z liczydła z braku innych możliwości, czy też z zacofania technologicznego. Tak właśnie powszechnie uważano w Polsce, gdzie dla porównania nie produkowało się aż tak wiele różnorodnej elektroniki. Rosja więc nie była bardziej zacofana od Polski. Dlatego na przełomie lat 80 i 90-tych to właśnie z ZSRR przywożono masowo tego typu urządzenia. Organizowano nawet wycieczki, których głównym celem było przywiezienie sporych ilości elektronicznej, drobnego sprzętu AGD, czy innej elektroniki.

No więc dlaczego w Rosji powszechnie stosowano liczydła? Mimo, iż niewątpliwie były przecież inne możliwości. Otóż z przywiązania do tradycji. Czyli dlatego, że korzystanie z nich było tam po prostu od lat powszechne i mimo, że weszły nowe rozwiązania w postaci kalkulatorów, rezygnacja z tradycyjnych metod liczenia nie mogła nastąpić z dnia na dzień. Szczególnie biorąc pod uwagę wielkość kraju i liczbę jego mieszkańców. Ponadto były one dostępne, tanie i równie niezawodne co kalkulatory. Przy tym ze względu na prostą konstrukcję, praktycznie niezniszczalne. Poza tym właśnie tradycja była i jest w Rosji czymś, co ma wyjątkową wartość. Znacznie większą niż w społeczeństwach zachodnich. Sami możemy teraz tego doświadczyć. W krajach UE więcej mówimy o tradycjach i regionalnych różnicach, które powszechnie uznajemy za wymagające ochrony, niż robimy, aby je chronić. Bo jak widać w praktyce przyjmuje to często wymiar tylko propagandowy i w rzeczywistości schodzi na drugi plan w walce o powszechne wyrównanie na każdej płaszczyźnie życia i gospodarki, a w szczególności o umacnianie powszechnej globalizacji i komercjalizacji. A to z założenia przecież nie służy odrębności i kulturowaniu regionalnych tradycji. Rosja natomiast nawet teraz opiera się tym trendom i nie wynika to z jej zacofania, a z ogromnego poszanowania oraz przywiązania do tradycji i narodowych wartości.

Istotnym faktem jest tu również to, że liczydło w takiej formie jakie znamy w Europie pochodzi właśnie z Rosji. I kto by pomyślał, prawda? Otóż taka forma urządzenia do liczenia powstała ok. wieku XVII i była udoskonaleniem znanego jeszcze w starożytności *abakusa*. *Abakus* czy też *abak*, to najczęściej gliniana płytka z wyżłobionymi rowkami przeznaczonymi do układania kulek lub kamyczków. W ten sposób obrazowano liczby i dokonywania prostych obliczeń. Pierwsze wzmianki o abakusie pochodzą z lat 480-425 p.n.e. w opisach Dziejów Heroda. Nie zagłębiając się w szczegóły tego pasjonującego tematu trzeba jeszcze tylko wspomnieć, iż dopiero ok. roku 1820 liczydło dotarło do Zachodniej i Środkowej Europy. Przyczynili się do tego żołnierze Napoleona, którzy z rejonów Nowogrodu i Pskowa zabrali je na zachód. Właśnie w Wielkim Nowogrodzie badacze upatrują kolebki liczydła w znanej nam formie, a pierwsze wzmianki na ten temat datowane są na rok 1658.

Wydaje się koniecznym w tym miejscu wzmianka nt. samego Nowogrodu. Według Nestora, mnicha i kronikarza z Kijowa (ur. ok. 1050 r.), Nowogród został zbudowany przez słowiańskie plemię Słowienów. W wyniku zagrożenia ze strony Waregów oddali się oni pod opiekę Kniazia Ruryka, który w roku 862 założył tu swoją stolicę. Moment ten jest uważany za początek historii Rusi. A ta jak wiadomo dała początek Rosji. To zaś datuje się na ponad 100 lat wcześniej od początków państwowości naszego kraju czyli Polski.

I jeszcze inny przykład, nawiązujący do silnego oddziaływania tradycji w Rosji, a wtedy w ZSRR, tym razem z zakresu religii. Nie chodzi o kwestionowanie takiej czy innej wiary. Jednak warto zwrócić uwagę, że prawosławie, które jest najbardziej powszechne właśnie w Rosji, nie ulega aż tak drastycznym modyfi-



kacjom, jak wiara katolicka, w której na przestrzeni zaledwie ostatnich 40 lat tak wiele się zmieniło, że gdyby ktoś się nad tym przez chwilę zastanowił, to by się poważnie zdziwił. Zmiany te dotyczą podstawowych kanonów, takich jak post, reżim świąt kościelnych, czy zasady dotyczące sakramentów. Bowiem jeszcze niedawno w wigilię kościół zabraniał spożywania mięsa czy wędlin, a teraz bez żadnych problemów dopuszcza taką możliwość. Czy nie jest to oznaka komercjalizacji wiary? W Rosji nic takiego nie miało i nie ma miejsca. Prawosławie od stuleci nie ulega tak wielkim przemianom jak wiara katolicka, a przecież powstały w tym samym czasie. Wynika to nie tylko z samej ścisłej zależności wiary i tradycji obrzędu, ale także z braku takiej potrzeby. Z wiarą wiązały się też w Rosji pewne powszechne również i w Polsce obrzędy takie jak chrzest, zawarcie małżeństwa, czy pogrzeb. Jednak są celebrowane inaczej niż u nas.

Pewnego razu w niewielkim mieście zupełnie przez przypadek kierownik znalazł się w miejscu gdzie odbywała się stypa. Dziwne w tym było głównie to, że odbywało się to na podwórzu kamienicy. Czyli na zewnątrz budynku. W Polsce nikt tak przecież tego nie organizuje. Zaprasza się najbliższą rodzinę i wszystko odbywa się w zaciszu domu, a ostatnio często w jakimś lokalu. Wokół rozstawionych i zastawionych obficie stołów zasiadało co najmniej kilkadziesiąt osób. Czyżby zmarły miał aż tak liczną rodzinę? Okazało się, że w śród uczestników byli także sąsiedzi oraz inni przypadkowi nawet goście. Do nich zaliczał się także kierownik, którego od razu kiedy tylko się pojawił zaproszono do stołu. Zgodnie z tradycją uważano bowiem, że zmarły właśnie tego by sobie życzył, aby ugościć wszystkich. To coś takiego jak u nas tradycyjne miejsce przy wigilijnym stole. Jednak w przeciwieństwie do Rosjan nikt tak naprawdę nie liczy, że ktokolwiek na tym miejscu zasiądzie. Ba, Polak ma nawet nadzieję albo wręcz pewnością, że miejsce to zostanie puste i żaden obcy nie zakłóci rodzinnego święta. Dlatego też w wielu domach jedynie mówi się o tym zwyczaju w praktyce go nie kultywując. Tam jednak taka tradycja nie dość, że była powszechnie kultywowana, to łączyła się to z realną jej realizacją. Dlatego zaskoczony kierownik nawet nie miał szans na żadną reakcję zanim zasiadł za stołem. Po prostu wszedł na podwórze, gdzie odbywało się to zaskakujące zjawisko i jakby z definicji oraz bez udziału własnej woli stał się jego częścią. Dopiero po chwili dowiedział się co to za uroczystość.

Tradycja bowiem to nie tylko wiedza na temat pewnych zachowań społeczno-kulturowych, ale przede wszystkim ich ciągłość i niezmiennosc ich stosowania.

\*\*\*

Pewien rodzaj ciągłości czy też stabilności przejawiał się nie tylko w obszarach społecznych, wiary czy w ogóle kościoła. Również w handlu czy gospodarce można było dostrzec takie symptomy. Bardzo jaskrawym przykładem może być to, że w ZSRR wszystkie ceny były umieszczane na produktach już na etapie produkcji. I to w sposób trwały, a nie przez nalepkę czy etykietkę. Dlatego dany produkt kosztował tyle samo w Moskwie, Murmańsku, Taszkencie czy Magadanie. Było to możliwe, gdyż dzięki stabilizacji gospodarki, ceny nie

zmieniały się przez całe lata i były ustalane odgórnie. W Polsce w tym samym czasie nie dość, że ceny mogły zmieniać się nawet na przestrzeni miesiąca, to nikt nad tym nie pannał. W wyniku tego za ten sam produkt w sklepie obok można było zapłacić całkiem inną cenę.

W ZSRR ten swoisty gospodarczy porządek można było dostrzec chociażby na przykładzie sklepów jubilerskich. W tamtych czasach każdy sklep ze złotem nazywał się Алмаз<sup>5</sup> co oznaczało diament. Były to bowiem sklepy państwowe. Fakt, że większość z tych sklepów zazwyczaj świeciła pustkami. A w dni nielicznych dostaw były one oblegane przez klientów i dozorowane przez milicję. Jej zadaniem było poza ochroną sklepu utrzymanie porządku, gdyż kolejki potrafiły skupiać po kilkadziesiąt jeśli nie po kilkaset osób.

Tak też było i tym razem gdzie przed sklepem kłębił się tłum chętnych do zakupu, a wewnątrz stał milicjant i kontrolował wejście tak, aby zbyt wiele osób naraz nie dostało się do środka. Dla kierownika i towarzyszącego mu kierowcy nie był to zaskakujący widok. Podobnie jak cała w gruncie rzeczy dość dziwna sytuacja. Bez większych problemów ominęli więc całą kolejkę i przy wejściu po polsku poinformowali, że właśnie chcieli sobie kupić coś na pamiątkę. Milicjant słysząc, że ma do czynienia z gośćmi z zagranicy wołał ich wpuścić i mieć problem z głowy. Podobnie było też z ekspedientką, a raczej kierowniczką sklepu, którą kierownik cyrku poprosił na chwilę rozmowy zaraz po wejściu.

– Jesteśmy z cyrku, który właśnie przyjechał do waszego pięknego miasta. Ponieważ nie będzie łatwo o bilety, to chciałbym pani zaproponować wejściówkę czyli specjalne приглашение<sup>6</sup> dla pani wraz z rodziną. – Powiedział.

Kobieta poczuła się wyjątkowo doceniona kiedy kierownik wyjął bloczek z kieszeni i z pewną nonszalancją zabrał się do wypisywania zaproszenia. Zapytał przy tym o dogodny dla niej termin i godzinę spektaklu. Z racji stanowiska, to on wypisywał zaproszenia według potrzeb czy uznania. Był to jeden z elementów pomagających załatwić sprawę z pozorów nie do załatwienia. Kierowniczką sklepu otrzymała więc dwa karnety po 5 osób na jutrzejszy występ. Miejsca w honorowej łoży, a w cyrku odwrotnie jak w kinie miejsca najbliższej areny były najdroższe. Do tego otrzymała dużą paczkę gum do żucia dla dzieci, które jak wynikało z krótkiej rozmowy posiadała.

– Chcielibyśmy coś tu u pani kupić jednak nic ciekawego chyba nie macie. – Wtrącił w końcu kierownik. Wiedział bowiem, że jeśli jest coś godnego uwagi ze złotych czy platynowych wyrobów, to i tak nie zostanie wystawione. Kolejka jednak wskazywała, że właśnie musiała być dostawa towaru. Tak też było. Kierowniczką zaprosiła ich na zaplecze, gdzie otworzyła imponujących rozmiarów sejf. W nim znajdowało się wszystko co powinno znajdować się w sklepie jubilerskim. A więc łańcuszki, bransolety, obrączki i pierścionki, a poza tym kolczyki i inna biżuteria. I to w najróżniejszym asortymencie. Tego się nie spodziewali. Liczyli raczej na jakiś jeden, czy

<sup>5</sup> Z ros. – czytaj – almaz.

<sup>6</sup> Z ros. – czytaj – приглашение – zaproszenie.

dwa pierścionki i tyleż samo łańcuszków. Jednak skoro jest taka okazja, to czemu nie?

Wybrali więc sobie ile i czego chcieli, a że zdążyli odłożyć już dość pieniędzy to zakupy były nie małe. Krążyły nawet plotki, że niektórzy artyści posiadali już całe słoiki złota. Jednak w przeciwieństwie do kierownika w większości byli w ZSRR już kolejny sezon i w dodatku kupowali na handel.

Szefowa sklepu też była zadowolona, gdyż następnego dnia za darmo mogła wybrać się do cyrku z rodziną i znajomymi, a mieli zarezerwowane miejsca specjalne.

Nawet dyrektor chcąc zaprosić kogoś do cyrku musiał zwracać się o zaproszenie do kierownika mimo, że wiadomo było, iż ten nie ma prawa mu nigdy odmówić. Jednak chodziło o to, że ilość miejsc w honorowej łoży była ograniczona. Należało więc tak gospodarować zaproszeniami, żeby nie okazało się, iż zaproszeni goście nie mają w końcu gdzie usiąść. A na spektaklach były komplety, więc trudno byłoby wygospodarować dodatkowe miejsca. Poza tym zaproszeni goście nie mogli przecież zasiadać w sektorach, jak reszta widzów, bo co to byłoby za wyróżnienie?

\*\*\*

Pewnego razu jeszcze w pierwszej połowie trwającego ponad 10 miesięcy sezonu właśnie po zakończonym spektaklu, na którym widownia jak zawsze dopisała, pod gwieździstym niebem dyrektor wraz z Waciarzem i kierownikiem delectowali się koniakiem. Rozmawiali i żartowali oparci o prywatnego szarego Fiata 125p. Stary zabrał go ze sobą z Polski. Dzięki temu był całkowicie niezależny i nikt nigdy nie wiedział dokąd pojechał i kiedy wróci. Co prawda za każdym razem informował kierownika o wyjeździe, ale był to wyjazd prywatny, bo prywatnym autem. Mimo, że tankowanym cyrkowym paliwem.

Otóż tego wieczora dyrektor podczas rozmowy zaproponował:

– Kierownikowi zapraszam na szampana, uczymy nim dzisiejszy sukces.

Był to rzeczywiście kolejny sukces, bo od początku trasy za każdym niemal razem cyrk miał komplety, a grał po dwa spektakle dziennie w tygodniu i po 3 w dni świąteczne. Taki układ nie do końca był zgodny z kalendarzem państwowym ZSRR, gdzie co ciekawe to poniedziałek był dniem, w którym pozamykane były wszystkie sklepy. Kierownik zahał się i odpowiedział, że chyba raczej nie, bo jakoś go głowa boli i w ogóle jest już późno, a na jutro mnóstwo zadań. Poza tym z wiadomych względów wołał nie odwiedzać Starego o tak później porze w jego działce.

– Pan się nie da prosić kierownikowi, taka piękna noc, zaprosimy do bufetu Niemca z żoną i posiedzimy jeszcze z godzinkę.

Skoro tak, pomyślał kierownik, to czemu nie i bez namysłu właśnie tak też odpowiedział. Jednak Stary od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Bo jeśli młody człowiek gotów był napić się wspólnie z nim, ale w towarzystwie Niemca, a zupełnie nie miał ochoty na szampana jedynie z dyrektorem to coś musi być na rzeczy.

Tak też było. I był to dla Starego jasny sygnał, że kierownik nie tęskni za jego towarzystwem, a nawet stroni od tego rodzaju kontaktów jakim mogło być to swoiste sam na sam.

Skoro jeszcze minutę temu twierdził, że boli go głowa i że jest zmęczony, a teraz prawie bez namysłu godzi się na szampana, to o co może chodzić? No cóż odpowiedź jest prosta. Przecież nie bez powodu na jego dłoni przez cały sezon błyszczała ślubna obrączka. Co w większości przypadków działało we właściwy sposób. W każdym razie wyjaśniła ona wiele i skutecznie powstrzymywała wszelkie próby adoracji przez homoseksualną część załogi. W kraju kierownik nigdy jej nie nosił, twierdząc że w jego zawodzie to po prostu niebezpieczne. Tu zaś jej nigdy nie zdejmował, co miało być jasnym sygnałem, że jest żonaty, a poza tym, nie akceptuje inności seksualnej i jest zwolennikiem płci przeciwnej a nie tej samej.

W każdym razie ta historia już na zawsze odmieniła ich stosunki służbowe. Od tej pory Stary zaczął mieć pretensje o wszystko, a do spięć dochodziło prawie codziennie. Aż dziw bierze, że młody człowiek, bądź co bądź zależny od Starego i będący jego podwładnym w państwowej instytucji pozwalał sobie na tak wiele. Zazwyczaj bowiem stawał on w drzwiach prowadzących do gabinetu dyrektora i rozparty pomiędzy wąskimi framugami dyskutował z nim ostro jak równy z równym. Ostro to nie znaczy wulgarnie czy po chamsku. Jednak pozwalał sobie na mało raczej grzeczne uwagi. Potrafił bowiem podczas kiedy Stary niemal wychodził z siebie i ze złości siedząc za biurkiem aż przebierał nogami wtrącić uwagę typu:

– Panie dyrektorze niech się pan tak nie denerwuje, bo jak dostanie pan zawału to kto panu pomoże? Ja jestem młody, więc mi nic nie będzie. – Kontynuował.

Stary wtedy dostawał szału jednak nie mógł nawet opuścić biura, dopóki w drzwiach stał kierownik. I dlatego to on zazwyczaj kończył awanturę odchodząc, kiedy już uznał, że powiedział tyle co chciał i na tyle, że dyrektor długo jeszcze nie będzie mógł dojść do siebie.

Może i było to płytkie, ale przez te kilka miesięcy na własnej skórze nauczył się, że inaczej to jemu wejdą na głowę. A na to nie mógł sobie pozwolić. W przeciwnym razie musiałby się poddać, a przecież z czasem Stary stwarzał dla niego coraz trudniejsze próby, sytuacje i zadania. Czekał zapewne kiedy to młoda gorąca głowa się na czymś wyłoży, a wtedy jego będzie na wierzchu i wreszcie będzie mógł się nasycić zwycięstwem w tej swoistej walce. Jak się później okazało na swoją szansę nie musiał długo czekać.

\*\*\*

W tej, czyli azjatyckiej części Rosji, podobnie zresztą jak i w wielu innych regionach, cyrk przyjeżdżał bardzo rzadko, albo nawet wcale. Rosyjskie państwowe cyrki występowały zazwyczaj jedynie w miastach, w których był cyrk stacjonarny. Czyli jako budynek. I były to duże miasta, dlatego ludzie z bardziej odległych stron najczęściej w cyrku byli jeden raz w życiu, albo i nie. Podobnie jak w stolicy czyli Moskwie. W tak ogromnym kraju było to normalne. Jeśli ktoś mieszkał kilka tysięcy kilometrów od Moskwy i specjalnie nie miał potrzeby, aby się tam wybrać to się tam nie wybierał. W Polsce raczej trudno znaleźć kogoś kto nigdy nie był w Warszawie chociaż zapewne takie osoby są. Taka właśnie sytuacja po-

wodowała, że polski cyrk był wprost oblegany i prawie na każdym przedstawieniu był kompletem. Trasa była tak zaplanowana, aby odwiedzić większe miasta, ale takie w których nie bywał cyrk rosyjski. Program był dość bogaty. Znacznie bogatszy od tych, które możemy obejrzeć teraz w wielu polskich, czy nawet zagranicznych cyrkach. Jedynie największe cyrki Europy zachowały odpowiedni rozmach i wysoki poziom, również pod względem ilości i jakości prezentowanych numerów. Kto był ostatnio w cyrku, a pamięta dawne czasy ten wie, że to już nie to samo co 30 czy 40 lat temu. Wtedy cyrk państwowy był dotowany przez państwo. Dlatego utrzymanie zwierząt i wszelkie inne koszty niezależnie od wpływów pokrywano z budżetu. Chodziło bowiem o szerzenie kultury jaką występy cyrkowe niewątpliwie były. Podobnie jak teatr czy opera. Teraz kiedy cyrki są prywatne rzadko kogo stać na utrzymywanie kosztownych tresur np. lwów, tygrysów czy słoni. Brak jest też pieniędzy na zatrudnianie wysokiej klasy artystów. Najlepsi występują bowiem na zachodzie, gdzie zarobki są znacznie wyższe niż u nas. Polskich właścicieli cyrków stać co najwyżej na zatrudnianie artystów ze wschodu i to tych słabszych, albo początkujących artystów z kraju. Dlatego wiele cyrków w ramach swych skromnych możliwości organizuje jako taki program i próbuje z nim zarabiać pieniądze na funkcjonowanie. Czyli taka sztuka dla sztuki. To jednak prowadzi do tego, że ludzie nie mają ochoty chodzić na widowiska słabej jakości i niskiej klasy.

Wiadomo, że od lat kultura ma się coraz gorzej. Skomercjalizowane i sprywatyzowane kino i teatry, żeby zarobić na możliwość funkcjonowania odpowiednio wyceniają bilety. Jednak i tak często ledwo wiążą koniec z końcem. Społeczeństwo nie ma pieniędzy na taką rozrywkę. Podobnie jest z cyrkami. Na zachodzie już od lat można było zaobserwować takie zjawisko kiedy to rodzic przyprowadzał dzieci do cyrku, a sam czekał przed namiotem i w ten sposób oszczędzał na swoim bilecie.

W Rosji sytuacja jest całkiem inna. Tam sztuka cyrkowa jest na tyle zakorzeniona, że upadek jej nie grozi. Stąd nie malejące zainteresowanie i tłumy widzów. Ponadto funkcjonowanie tamtejszych cyrków nie generuje tak wielkich kosztów jak to ma miejsce w Europie, a dodatkowo rosyjskie państwo nadal wspiera ten rodzaj kultury.

W Polsce niestety sprywatyzowanie kultury, a szczególnie cyrków, prowadzi w prosty sposób do ich upadku. W rezultacie jest tak, że ludzie do cyrku nie chodzą, bo nie mają pieniędzy. Trudno się zresztą dziwić skoro obecnie bilet do łoży np. w cyrku Korona kosztuje prawie 100 zł. Cyrki nie mają pieniędzy, więc podnoszą ceny biletów i obniżają poziom występów. Na słaby program nie chcą wydawać pieniędzy nawet ci, którzy je mają, więc cyrki zarabiają coraz mniej i koło się zamyka. Rodzi się pytanie czy cyrk jako sztuka jest w ogóle potrzebny? I jeśli nawet nie jest, bo to przecież popyt kształtuje rynek, nawet ten kulturalny, to jednak nie można dopuścić żeby cyrk jako taki całkiem zniknął ze świadomości i życia ludzi. Podobnie jak książka, czy teatr. To tak jakbyśmy zdecydowali się na to, żeby wyginał jakiś gatunek zwierząt czy roślin. Czy stanie się jakaś tragedia dla współczesnego człowieka kie-

dy wyginą Zubry, czy jakiś owad na drugim końcu świata? No nie. Przynajmniej nie wprost. A jednak je chronimy i dbamy o to żeby nadal były, mimo że jak nawet są, to nic z tego nie wynika dla zdecydowanej większości ludzi. Więc dlaczego miałyby dojść do zaginięcia sztuki cyrkowej? Bo znikniecie cyrków do tego doprowadzi. A przecież poza przyrodą i środowiskiem, chronimy też dobra historyczne, architekturę, technologię czy właśnie kulturę. Więc może warto chronić też i cyrk bo bez żadnych wspierających działań już za kilkadziesiąt lat nikt nawet nie będzie wiedział co to takiego.

Poza tym cyrk ma na tyle wystarczająco bogatą tradycję i historię, że chociażby z tego powodu należy go wspierać czy wręcz chronić. Władze państwa powinny cieszyć się, że ktośkolwiek chce w tych trudnych, nie tylko dla kultury czasach, się w ogóle tym zajmować – a historia cyrku jeśli się temu zjawisku dobrze przyjrzy sięga przecież starożytności.

\*\*\*

Chyba mało kto kiedykolwiek zastanawiał się nad tym skąd w ogóle wziął się cyrk i jaka jest jego historia. Jak to bywa zazwyczaj zdania na ten temat są podzielone. Pewien archeolog Arthur Evans dowodził, iż początki cyrku sięgają nawet 2400 roku p.n.e. Według innych badaczy za początek sztuki cyrkowej można uznać okres udokumentowany odkryciami z Egiptu z 4600 roku p.n.e., gdzie w Tebach odkryto na filarach sylwetkę jeźdźca obrazującą woltyżerkę. Oczywiście można z tym polemizować jednak pewnym jest, że już w starożytności funkcjonowało coś na wzór cyrku, który wylaniał się jakby z już istniejących rodzajów rozrywki. Wiadomo, że jedną z najstarszych, jeśli nie najstarszą formą imprez i widowisk masowych były igrzyska olimpijskie. Pierwsze ich zaczątki datuje się na VIII wiek p.n.e. w starożytnej Grecji. Zmagania sportowe, rywalizacja, współzawodnictwo i osiąganie coraz lepszych rezultatów było tym co wówczas podziwiano. To prowadziło do powstawania widowisk, w których celem stało się prezentowanie tylko tych najlepszych i niezwykle pokazy, które miały służyć za rozrywkę dla szerszej publiczności, czyli dla mas. Jednak do czegoś na kształt cyrku w obecnym pojęciu droga była daleka i prowadziła poprzez walki gladiatorów czy wyścigi rydwanów. Były to charakterystyczne dwukołowe rydwany zwane kwadrygami, do których zaprzęgano 4 a nie 2 konie. Ściagały się one w największym i najstarszym cyrku starożytnego Rzymu. Był to Cyrk Maximus, czyli cyrk największy. Specjalnie ukształtowany odkryty teren o wymiarach 540 na prawie 130 m. Na jego widowni mogło zasiąść według różnych źródeł od 150 do 250 tys. widzów, a budowę którego rozpoczęto jeszcze w 328 roku p.n.e. Pierwszą więc ze sztuk cyrkowych - jeśli można tak powiedzieć, były różnego rodzaju pokazy jazdy konnej. Jednak tamto starożytne zjawisko nie miało wiele wspólnego z cyrkiem nowożytnym, którego zaczątki datuje się dopiero na drugą połowę XVIII wieku, kiedy to po wielu stuleciach głównym ich elementem były również pokazy jazdy konnej.

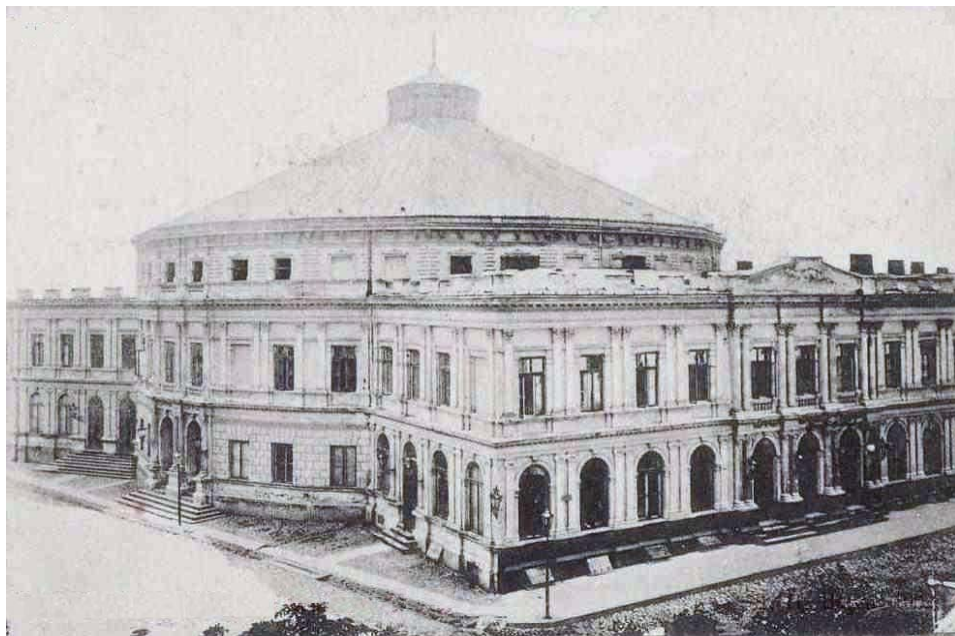
Znawcy tematu uznają za początek cyrku datę 1768 r. Wtedy właśnie w Anglii niejaki Filip Astley po wyjściu z wojska wraz z grupką kolegów wynajął plac do ćwiczeń jazdy konnej,

na którym postawił wielki namiot przykryty zagłowym płótnem. Dwa lata później założył coś w rodzaju szkoły jeździeckiej Riding School, w której dawano również pokazy. Były to głównie pokazy jazdy wojskowej i sportowej z nielicznymi elementami akrobatyki. W przerwach występowali atleci, akrobaci i kłowni. Pokazy były coraz ciekawsze, a repertuar coraz bogatszy. Po kilku latach czyli w roku 1782 swemu przedsięwzięciu Astley nadał nazwę „Astleys Royal Amphitheatre of Arts”. W tym samym roku powstał drugi jego cyrk tym razem pod Paryżem.

Oczywiście historia cyrku była inna w Europie, inna w Ameryce i inna w Rosji. Jednak niezależnie od tego była ona wyjątkowo barwna i ciekawa.

Do Rosji moda na ten rodzaj rozrywki przyszła z Francji. Wtedy właśnie Francja wyznaczała trendy i określała kanony w sztuce, modzie i stylu życia. Ówczesna carska Rosja była tym tak zauroczona, że z zachwytem przyjęła i tę nową modę. Pierwszy zatem cyrk w Rosji został sprowadzony w roku 1824 przez Barona Jacquesa de Tourniare i funkcjonował w Petersburgu. Wcześniej Tourniare debiutował właśnie w cyrku Astleya. Historia ta była dość burzliwa i dopiero w 1845 roku zbudowano pierwszy stały cyrk na placu Teatru Wielkiego. W krótkim czasie powstał tam też drugi cyrk na Placu Aleksandrowskim i od tej pory obydwie cyrki konkurowały ze sobą pod względem atrakcyjności programu. Co rzecz jasna było z korzyścią dla ówczesnej publiczności. Wkrótce powstały kolejne cyrki między innymi w Moskwie. Stały się one miejscami kształtującymi modę, styl życia i obyczajowość nowoczesnych bogatych Rosjan. W tamtych czasach sytuacja gospodarczo-ekonomiczna w Rosji była dość specyficzna i miała bezpośrednie przełożenie na rozwój kulturalny. Dlatego poza cyrkami wielkomięskimi dla klas wyższych, powstawały również cyrki prowincjonalne, które skierowane były do średniej klasy społecznej. Można powiedzieć, że na początku XIX wieku sztuka cyrkowa w Rosji była już dość powszechna. Dlatego duże cyrki miały problemy z zatrudnianiem wybitnych artystów i sprowadzano ich z zagranicy. Miejscowi artyści występowali powszechnie w małych cyrkach i na jarmarkach. Taka mnogość powodowała też obniżenie poziomu artystycznego. Jednak obecnie cyrk rosyjski należy do czołówki światowej, a rosyjscy artyści od lat z powodzeniem występują na arenach największych cyrków świata.

Do historycznych osobiwości rozwoju cyrku na świecie należy fakt, że specyficzna, wyjątkowo widowiskowa i wręcz brawurowa jazda konna, zwana dzygitówką powstała właśnie w Rosji. Są to pokazy takiej ekstremalnej jazdy konnej jakie dawała polska trupa pod kierownictwem Kozłowskiego w latach 90-tych na tournée po ZSRR. Sztuka ta konkretnie wywodzi się od jeźdźców z Kaukazu gdzie koń pełnił wyjątkowo ważną rolę w życiu i kulturze tamtejszego ludu. Mianem dzygitów określano jeźdźców także wśród kozaków. Wiadomo bowiem powszechnie, że dzygici to jedni z najlepszych, jeśli nie najlepsi jeźdźcy na świecie. W świetle tych faktów komplementy wypowiadane przez widzów po występach polskich artystów, a opisane wcześniej, czyli słowa: *Молодцы Поляки, лучше, чем наши Козаки*



**Cyrk Staniewskich w Warszawie. Źródło - internet.**

(*zuchy Polacy, lepsi od naszych Kozaków*), naberają całkiem innego znaczenia i odpowiedniego wymiaru.

Nie sposób opisać bogactwa historii rosyjskiego cyrku, jednak niektórzy uważają, że odegrał on również ważną rolę polityczną w okresie przed i porewolucyjnym. W przedziwny bowiem sposób wiąże się to z pewnym nurtem zapoczątkowanym właśnie w Rosji. Otóż w tamtym czasie do repertuaru wprowadzono element walk zapaśniczych, które potem urosły w Rosji do rangi kultowych. Nie będziemy jednak zagłębiać się w to w jaki sposób to się wiąże.

W każdym razie w okresie ZSRR cyrki wyglądały już inaczej. Kontynuowały one jednak tradycję dawnych cyrków prowincjonalnych. Były więc dostępne dla społeczeństwa i przemieszczały się wędrując po całym kraju. Jak podają niektóre źródła, było ich ok. 100 i nie w tym dziwnego, biorąc pod uwagę wielkość obszaru, na jakim działały. Ówczesne państwowe władze, podobnie jak w Polsce, uznawały cyrk za ważny element kultury masowej, dlatego jego działanie było mocno wspierane przez władze. Było też w odpowiedni sposób nadzorowane i kontrolowane. Jednym z elementów mających za zadanie upowszechnianie sztuki cyrkowej w ZSRR, a tym samym kultury, była dyrektywa nakazująca budowanie cyrków w miastach liczących ponad 400 tys. mieszkańców. Zespoły cyrkowe przemieszczały się więc pomiędzy tymi miastami zgodnie z corocznie ustalonym planem. Ale w rezultacie były to cyrki stacjonarne, czyli dające występy w specjalnych budynkach i określonych warunkach, a nie pod namiotem.

Warto wspomnieć w tym miejscu o tym, że pierwszy i w zasadzie jedyny cyrk stacjonarny w Polsce powstał w roku 1883 w Warszawie. Wtedy to przy ulicy Ordynackiej wybudowano potężny gmach Cyrku Staniewskich. I był to w tamtym czasie jeden z najlepszych cyrków na świecie.

\*\*\*

Wiemy więc, że w Rosji królowały cyrki stacjonarne. Stacjonarny charakter takiego cyrku sprawiał, że praca i życie w nim było znacznie lepsze. Warunki techniczne i socjalne były na

nieosiągalnym poziomie dla cyrków mobilnych. Wyobraźmy sobie teraz taki mobilny cyrk. Kilkadziesiąt osób na małej przestrzeni dzień i noc, 7 dni w tygodniu przez kilka miesięcy w roku. Jak technicznie rozwiązane były pewne sprawy natury socjalnej? Mało kto wie i zapewne mało kto się zastanawiał nad tym jak i gdzie w takim cyrku pracownicy załatwiają np. swoje potrzeby fizjologiczne. Niby banalna sprawa, jednak ani prosta ani oczywista. Nie jest to może aż tak pasjonujący temat jak cyrkowe występy jednak warto się nad tym zastanowić. W końcu życie w cyrku składa się także i z takich przyziemnych elementów. Poza tym może się okazać, że jest to jednak ciekawe. Gdzie zatem i jak realizują swoje potrzeby fizjologiczne ludzie w cyrku, w którym nie ma toalety? A takich cyrków jest mnóstwo. I dotyczy to również - a może nawet przede wszystkim, cyrków na zachodzie. Gdzie powszechnie uważa się, iż kultura tam jest na znacznie wyższym poziomie niż u nas czy w Rosji.

Dawniej w polskich cyrkach państwowych były specjalne sanitarne wozy. Wyposażone w kabiny z doprowadzoną wodą. Poza tym, że w czasie spektaklu nie było tam zbyt czysto, nie różniły się jakoś specjalnie od dzisiejszych popularnych Toi-Toi-ów. W takim wozie było kilka kabin i umywalki. Pod spodem znajdował się wielki zbiornik na nieczystości. Zazwyczaj wystarczał on na tygodniowy postój. Taki właśnie wóz był również w składzie cyrku odbywającego tournée w azjatyckiej części ZSRR, co zapewniało również potrzeby widzów. Jednak po tygodniu trzeba było gdzieś opróżnić zawartość zbiornika. Typowe cyrki rosyjskie nie znaly w ogóle takiego problemu. Opróżnianie najczęściej odbywało się nocą. Częściowo ze względów estetycznych, a częściowo administracyjno-porządkowych. Chociaż o dbaniu o ekologię nikt w ZSRR nie słyszał, to nie można było przecież wylać sobie całej tygodniowej zawartości gdziekolwiek. Najczęściej więc szukano jakiejś kanalizacyjnej studzienki. Kierowca podjeżdżał tak, aby spust zbiornika znajdował się nad nią, a nocny otwierał zawór i już po kilkunastu minutach zbiornik był pusty, a studzienkę można było z powrotem zamknąć. Co jednak, kiedy w pobliżu nie było kanalizacji? Otóż w takich przypadkach toaleta

była transportowana do nowego miasta w nocy. Po drodze kierowca jadąc wzdłuż rowu przy drodze zwalniał do kilku km/h. Wtedy wystarczyło otworzyć zawór zbiornika i cała zawartość wylewana była do rowu na długości kilkuset metrów.

Oczywiście smród był przy tym jak z szamba, ale co można było innego zrobić. Następnego dnia na toaletę czekało ponad 100 cyrkowych pracowników, a w czasie spektakli znacznie więcej ludzi.

Cała ta opowieść wydaje się dość żenująca, a tematyka prymitywna, ale w cyrku nie było łatwego życia, a to składało się na jeden z jego elementów, podobnie jak składa się na życie wszystkich ludzi. Łatwo jest jednak na ten temat milczeć kiedy wszystko jest jak być powinno. Okazuje się, że w polskim cyrku nie było jeszcze tak źle i wspominam o tym jedynie dla formalności. Prawdziwe bowiem sensacje w tym temacie jeszcze przed nami. Jeśli ta opowieść kogoś zdziwiła czy wręcz zniesmaczyła, to warto żeby dowiedział się jak tego typu problemy rozwiązuje się na zachodzie.

Otóż np. w szwedzkich cyrkach w tym także w cyrku Starlight w ogóle nie było toalet. Ani dla pracowników ani dla widzów. Jedynie szefowie, administracja i artyści mieli turystyczne toalety w kempingach jednak już załoga techniczna nie. Problem więc był poważny. Zapewne spowodowane było to tym, iż cyrki te były raczej małe, a problem zapewnienia toalet był zbyt poważny i wiązały się z dodatkowymi kosztami. W związku z takim stanem rzeczy, normą było załatwianie tych spraw w krzakach, lasach czy nawet parkach. Czyli wszędzie, gdzie się dało.

W tym szwedzkim cyrku utarło się nawet mówić, że to najważniejsza sprawa do załatwienia każdego dnia. A nie daj Boże żeby ktoś miał rozwolnienie. Następne w kolejności hierarchii ważności codziennych spraw były pieniądze i jedzenie. Tak więc dosadnie mówiąc najważniejsze było żeby mieć gdzie się wypróżnić. Choć z tą drugą mniej kłopotliwą potrzebą też różnie bywało, bo gdzie na przykład zrobić siku, podczas gdy rozstawia się cyrk na rynku w Malmö - mieście 280 tysięcznym? Dookoła chodzą ludzie, jeżdżą samochody i poza klombami czy pojedynczymi drzewami nic. W końcu to środek miasta. Ten problem zrozumie każdy, kto znalazł się w podobnej sytuacji gdzieś w środku Warszawy czy innego dużego miasta. W tym konkretnym przypadku nie było również czasu na szukanie toalety gdzieś w bocznych ulicach czy w pobliskich restauracjach.

Wcześniej kierownik nigdy by nie pomyślał, że kiedykolwiek będzie to najważniejszą rzeczą i to nie tylko dla niego samego. W Skandynawii bowiem cyrki grały tak zwane jedyńki. Czyli w każdym mieście tylko jeden dzień. To powodowało, że praca tam była wyjątkowo ciężka gdyż firkowanie podobnie jak i cała budowa i rozbudowa cyrku odbywały się codziennie, a w ciągu sezonu odwiedzano ponad 170 miast. Ale nie inaczej było w Cyrku Pinder. I kto by pomyślał? Jeden z największych cyrków Europy i największy we Francji miał toaletę jedynie na gali w Paryżu. Czyli przez ok. 2 miesiące. Potem w trasę ruszono już bez wozu sanitarnego. I tu również artyści mieli turystyczne toalety w swoich kempingach, jednak kierowcy, pielęgniarze i cała techniczna

obsługa już nie. Ale nikogo to nie obchodziło. Po prostu nie było tematu. Podczas gdy w Szwecji chodziło o grupkę kilku osób, to w cyrku Pinder samych technicznych było ponad 30, a łącznie z kierowcami, pielęgniarzami i elektrykami liczba ta sięgała 70 osób.

Biorąc powyższe pod uwagę nasz bohater mógł śmiało, humorystycznie powiedzieć, że obsrał połowę Szwecji i sporą część Francji. W Szwecji nie tylko mniejsza ilość załogi stwarzała lepszą sytuację pod tym względem, gdyż w tym kraju generalnie toalet jest stosunkowo dużo. Są one prawie przy każdym przydrożnym parkingu, a nawet w lesie. W każdej jest bieżąca woda, choć nie zawsze bywa prąd. Wtedy dach takiego przybytku zrobiony jest z przepuszczającej światło płyty i dzięki temu przynajmniej w dzień jest widno. Poza tym zawsze można było skorzystać z toalet wszelkich obiektów sportowych, czy szkół jeśli takowe były w pobliżu. Obiekty te były otwarte nawet w nocy.

W tamtych czasach w Szwecji zjawisko złodziejstwa, czy innego bandytyzmu czy wandalizmu było całkiem nieznanne. Nie było więc potrzeby zamykania szkoły, aby ją chronić przed grabieżą czy wandalizmem. Tam ludzie po prostu nie kradli, nie łamali prawa i z natury byli spokojni i przyjaźni nastawieni do innych. Nawet jeśli ktoś cokolwiek zgubił, to był pewien, iż następnego dnia wróci w to miejsce, a ta rzecz będzie leżała tam gdzie mu wypadła z kieszeni. Podobnie zadziwiającym zjawiskiem były masowo pozostawiane rowery przy przystankach autobusowych. Stały tam sobie spokojnie przez cały dzień i zabierane były dopiero przez ich właścicieli pod koniec dnia. Z racji sporych odległości młodzież, ale nie tylko, dojeżdżała rowerami do pobliskiego przystanku skąd autobus zabierał ich do szkoły, czy pracy w mieście. Pod koniec dnia właściciel roweru wracał autobusem na ten sam przystanek, gdzie czekał na niego rower. Nie było przy tym potrzeby przypinania go do drzewa, ani do żadnego słupka. Kierownik nieraz widział podczas przerzutu grupki kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu rowerów stojących niemal w szczerym polu. Czy w Polsce byłoby to możliwe? Ta wyjątkowa i niespotykana nigdzie indziej uczciwość i brak przestępczości nie brały się jednak znikąd. A wynikała właśnie z tradycji, czyli poniekąd z historii. Bo wiem to tu w Szwecji dłużej niż gdziekolwiek indziej w Europie, stosowano bardzo surowe kary znane jeszcze ze średniowiecza. Stąd też powszechna opinia jakoby jeszcze niewiele ponad 100 lat temu obcinano tu dłonie za kradzież. Różne są na ten temat opinie i trudno znaleźć miarodajne źródło, jednak faktem jest, że wyjątkowo surowe karanie przestępców, w tym także złodziei miało swój niewątpliwie wpływ na postrzeganie tej kwestii przez społeczeństwo. Podczas gdy w pozostałej części Europy za kradzież groziło jedynie więzienie, w Szwecji nadal można było dostać nawet karę śmierci. A nierzadko obcinano właśnie dłonie lub częściej uszy. Przekazywana sobie przez kolejne pokolenia wiedza na ten temat spowodowała właśnie to, że w społeczeństwie tego kraju głęboko zakorzeniona została uczciwość, przez wieki stymulowana surowym prawem. Co ciekawe, to w Szwecji mimo tego znacznie wcześniej niż w Polsce, oficjalnie zakazano powszechnie stosowania kar cielesnych. Było

to już w roku 1979, podczas gdy w naszym kraju dopiero w 2010. Ale nawet obecnie prawo karne tego kraju, szczególnie to praktyczne, jest różne od naszego. Co w efekcie wciąż powoduje, iż w Szwecji żyje się znacznie bezpieczniej, a przestępczość jest na wyjątkowo niskim poziomie. W porównaniu z naszym krajem czy pozostałą częścią Europy, w Szwecji prawo jazdy traci się nie tylko za jazdę po pijanemu, ale też za znaczne przekroczenie prędkości również, i to z definicji. U nas póki co można dostać najwyżej 500 zł mandatu i 10 pkt karnych. Podobnie surowo karani są przestępcy. W Szwecji jeśli ktoś dostanie 5 lat więzienia to nie ma mowy żeby wyszedł po trzech za dobre sprawowanie. Dlatego mimo, iż wydawać by się mogło, że kara w Szwecji za to samo przestępstwo, co w Polsce jest niższa to jest jednak bardziej dotkliwa. Tam 8 lat to jest 8 lat. Natomiast w Polsce zapisane jest 15, przestępca dostaje 10 a wychodzi po sześciu. I to właśnie wpływa na taką a nie inną sytuację w Szwecji. Jest tam po prostu bezpieczniej pod każdym względem.

Wracając do problemu toalet, czasem za potrzebą należało ruszyć gdzieś dalej np. do pobliskiego lasu. Niekiedy wydawał się on całkiem blisko jednak podczas drogi okazywało się, że jest znacznie dalej i mogło się do tej pory już dawno odechcieć tam iść. Albo mogło już nie być po co. Jednak nikt wtedy nie rezygnował, gdyż następna okazja mogła się trafić dopiero następnego dnia. Najczęściej chodziło się parami. Podczas gdy jeden załatwiał temat - jak zwykle się mówić, o tej czynności, to drugi stał na czatach. Bo takie zachowanie w tym kraju było bardzo źle widziane przez społeczeństwo. Po prostu Szwedom nie mieściło się to w głowie, żeby ktoś się wypróżniał np. w parku. Doświadczył tego już na pierwszym placu Adam, który rano po dość ostrej interwencji okolicznych mieszkańców musiał zakończyć to co zrobił poprzedniego wieczoru. Innym razem Adam postanowił załatwić temat w parku, który wydawał się być dość rzadko uczęszczany. W tym celu wszedł w bardziej zarośnięte jego rejony. Jednak na całe szczęście elementarne zasady kultury nie pozwoliły mu, aby zrobić to wprost na ścieżce. Chociaż być może ktoś inny tak by właśnie postąpił. Tym bardziej, że było ona wąska i dość gęsto zarośnięta po obydwu stronach. Przykucał więc przy niej, tak że głowa nieomal wystawał mu na ścieżkę. Był już w trakcie, kiedy nagle niewidomo skąd usłyszał przeraźliwy ryk silnika, a tuż przed twarzą przemknął mu rozpędzony krosowy motocykl. Nie trzeba chyba dodawać jak się wtedy wystraszył. Przy tym odruchowo odchylił się do tyłu co spowodowało, że się po prostu przewrócił w to co właśnie przed chwilą zdążył zrobić. Może wydawać się to śmieszne jednak wtedy dla niego takie z pewnością nie było.

Ciekawa historia wydarzyła się też pewnego razu w Nicei na południowym wybrzeżu Francji. Podobnie jak w całym kraju w miastach funkcjonowały publiczne toalety w formie obiektów z wyglądu trochę podobnych do kiosków. Nie były to bowiem znane nam toalety typu Toi-Toi, mimo że pełniły podobną funkcję. Były to znacznie większe stacjonarne przybytki w rodzaju kontenerów, ale o w miarę obłych kształtach. A korzystanie z nich było płatne. Jak na środek Europy przystało warunki

w środku były dość komfortowe. Oczywiście, światło i bieżąca woda, a przy tym wszystko czyste i higieniczne. Większość elementów wykonana z nierdzewnej stalowej blachy. Działanie takiej toalety polegało na tym, iż po wyjściu osoby, która z niej korzystała automatyczne drzwi zamykały się na ok. 3 minuty. Zapalała się wtedy czerwona lampka na zewnątrz. Podobnie jak wtedy kiedy z niej ktoś korzystał. O ponownej dostępności informowała zaś lampka zielona. Czas ten był potrzebny, aby automatyczny system czyszczenia zdążył umyć całe wnętrze i je wysuszyć. A myciu podlegał nie tylko sedes, ale też podłoga i ściany. Pewnego dnia po obiedzie kierownik wraz z kolegą wybrali się na miasto, aby trochę pozwiedzać. Przed popołudniowym spektaklem mieli trochę wolnego czasu, gdyż zaczynał się on dopiero o 17:00. W końcu, zachciało im się do toalety, oczywiście bez trudu znaleźli wspomniany kiosk. Kierownik potrzebował tylko się wysikać, jednak Wiesiek miał bardziej poważny problem. Drzwi działały jak wszystko inne automatycznie i były poruszane za pomocą pneumatycznych siłowników. Podobnie jak w pociągach. Żeby nie płacić podwójnie mieli pewien sposób. Warunkiem było to, aby zanim wyjedzie jedna osoba weszła do środka druga. Mimo wąskich drzwi można było to bez trudu zrobić. Chodziło o to, aby czujniki w podłodze nie odnotowały braku nacisku czyli obecności człowieka. Wtedy bowiem po zamknięciu drzwi system blokował je na wspomniane 3 minuty i następował proces mycia, a kolejne wejście wiązało się z kolejną opłatą. Drzwi można było zamknąć i otworzyć ręcznie jedynie od środka. Od zewnątrz nawet nie było klamki gdyż otwierały się one automatycznie po wrzuceniu monety. Z takiego właśnie sprytnego sposobu skorzystali. Zanim kierownik zdążył wyjść wszedł do środka Wiesiek, zamykając za sobą drzwi. Tego typu toalety były zazwyczaj ustawiane w centrum miasta wprost na chodnikach, a wokół nich przechodzili ludzie. To konkretne miejsce było wyjątkowo ruchliwe. Generalnie wychodząc ze środka trafiało się wprost na ruchliwą ulicę. I trochę dziwne było to uczucie kiedy zasiadając wewnątrz na sedesie słychać było rozmowy ludzi, którzy stali np. po drugiej stronie przy ścianie. Minęła dosłownie chwila i drzwi zaczęły się otwierać z charakterystycznym sykaniem siłowników. Kierownik, który czekał w pobliżu na kolegę zdziwił się nawet, że tamten tak szybko wychodzi. Odwrócił się w stronę drzwi i zamarł z wrażenia. Zobaczył bowiem Wieska, który z opuszczonymi spodniami z całych sił walczył z drzwiami usiłując je zamknąć. Miał przy tym dość wymowny wyraz twarzy spowodowany wysiłkiem, a jego wytrzeszczone teraz oczy rozpaczliwie prosiły o pomoc. Okazało się, że kiedy był już gotowy sobie ulżyć, postanowił chwycić się klamki dla wygody. Jednak zapomniał, że działa ona automatycznie. Już lekkie dotknięcie powodowało uruchomienie mechanizmu otwierającego. Było więc jasne, że drzwi otwierały się w sposób niezamierzony. Wiesiek w panice chwilę się z nimi siłował, a kierownik stał zdumiony i zaskoczony sytuacją. Nie wiedział nawet jak mógłby mu pomóc. Na szczęście jego kolega dał radę i z niemalym wysiłkiem pod wpływem stresu pokonał siłę mechanizmu. Gdyby nie to, liczni przechodnie mieliby niezły ubaw widząc



### Typowa francuska uliczna toaleta.

faceta ze spodniami opuszczonymi do kostek w drzwiach toalety.

Ciekawostką dotyczącą tych właśnie toalet jest to, że szczególnie w Paryżu w okolicach powszechnie uważanych za miejsca pracy prostytutek, czyli parki i większe skwery, toalety te były wykorzystywane do usług seksualnych. Klient wrzucał monetę i wchodził do środka razem z panienką. Mieli gwarancje, że nikt im nie przeszkodzi, a dość higieniczne warunki zapewniały minimum komfortu. Do tego celu wybierano te większe toalety, bo ich rozmiary, jak i modele były różne. Po kilku minutach para wychodziła jakby nigdy nic.

W ogóle zjawisko prostytucji we Francji było dość powszechnie. I o tym wie chyba każdy. Jednak nie każdy miał możliwość przyjrzeć się bliżej temu zjawisku. W okolicy stacjonowania cyrku działało kilkanaście panienek w specjalnie przystosowanych do tego samochodach typu bus. Otóż takie auto było zaparkowane przy mniej ruchliwej ulicy, a wewnątrz siedziała ubrana jedynie w seksowną bieliznę dziewczyna. Wewnątrz paliła się też świeczka dzięki, której już z daleka można było rozpoznać, w którym aucie można skorzystać z seksualnych usług. Czasem była to mała lampka. prostytutka siedziała zazwyczaj na miejscu pasażera z przodu. Pałac papierosa i słuchając muzyki czekała na klienta, który mógł podejść do auta i ją sobie dokładnie obejrzeć zanim zdecydował się wejść do środka. W tylnej części auta za kotarą urządzone były mały pokój z łóżkiem i nastrojowym światłem. Całość tapicerowana i estetycznie wykonana. Kierownik nie raz obserwował jak Francuzi wracający z pracy często korzystali z tych specyficznych busów. Najczęściej taki gość chwilę kręcił się obok auta jakby nie był zdecydowany lub jakby obawiał się, że go ktoś zobaczy. Potem podchodził do uchylonego okna, gdzie siedziała prostytutka i po chwili wchodził do środka. Taka wizyta nie trwała dłużej niż 2 minuty. W tym czasie wyspecjalizowana dziewczyna zdążyła zrobić mu dobrze ustami, a kosztowało to zazwyczaj ok. 200 franków, obecnie ok. 20 euro. Za podobną usługę w WC można było zapłacić o połowę mniej, a podobno czasem nawet jedynie 50 franków. Ci co mieli większe wymagania wchodziłi rzecz jasna na dłużej i kosztowało to oczywiście drożej. Jednak i jedni i drudzy nie mniej sprawnie zaraz po tym wyskakowali na zewnątrz. I jakby nigdy nic odchodzili niespiesznie w swoją stronę.

Poza tymi dwoma rodzajami prostytutek były też takie, które czekały na rogach ulic na klien-

tów zmotoryzowanych. Do takiej dziewczyny podjeżdżał samochód i już po chwili, gdy tylko wsiadła odjeżdżał. Jednak już po kilku minutach wracał w to samo miejsce, aby wysadzić dziewczynę tam skąd ją zabrał. Oczywiście funkcjonowały też typowe domy publiczne i inne przybytki jak kluby czy dyskoteki, które poza normalną działalnością często świadczyły też takie właśnie usługi. Ale to rozrywka dla tych najbardziej zamożnych. W tamtym czasie zjawisko jawnej prostytucji na taką skalę nie było znane w Polsce, gdzie dopiero po latach zaroilo się od tak zwanych tirówek. Tym bardziej w Rosji nic podobnego nie miało miejsca.

Ale nie tylko tym szokowała Francja, a w szczególności Paryż. Jeśli ktoś miał okazję być w miejscach, o których nie pisze się w przewodnikach i w, których zazwyczaj turyści nie oglądają był nie mniej zaskoczony innym zjawiskiem. Otóż Francuzi lubują się w czworonogach. W tamtym czasie w Polsce coś takiego, jak fryzjer dla psów, nie było jeszcze znane. We Francji było powszechne. Strzyżenie psa kosztowało ok. 150 fr. a dla porównania strzyżenie męskie jedynie 70. Ale nie to szokowało najbardziej. Ulice, a dokładniej chodniki Paryża, były całe usłane psimi odchodami. Były dzielnice, w których naprawdę trzeba było bardzo uważać, żeby w coś nie wdepnąć. Przy stosunkowo dużej ilości psów nie było zbyt wiele miejsc, gdzie pieski mogłyby się załatwiać. Poza tym ludzie mieszkający przy głównych ulicach w pewnej odległości od parków czy skwerów wyprowadzali swoje pupile wprost na chodnik przy budynku. Tam też pieski się załatwiały i było to zjawisko tak powszechne, że pod koniec dnia nie trzeba było się specjalnie rozglądać żeby dostrzec psie odchody na środku ciągów komunikacyjnych. Władze miasta starały się rzecz jasna coś temu zaradzić dlatego nie mniej niż same odchody zdziwienie wzbudzać mogły specjalistyczne maszyny do ich usuwania. Czyszczenie chodników i ulic odbywało się codziennie, a nie jak w Polsce tylko na święta czyli 2-3 razy do roku. Do usuwania odchodów stosowano różnego rodzaju specjalistyczne odkurzacze. Jedne jeździły po chodnikach i wyglądały podobnie do maszyn myjących posadzkę w marketach. Dodatkowo miały coś w rodzaju dyszy, którą operator kierował bezpośrednio na psią kupę, a maszyna ją wciągała. Były też specjalne samochody, które jechały powoli wzdłuż ulicy podczas gdy operator za pomocą specjalnego węża na wysięgniku usuwał nieczystości z chodników. Wysięgnik był tak skonstruowany, że pozwalał omijać zaparkowane samochody. Następnie inny operator za pomocą innego węża zmywał chodnik wodą pod ciśnieniem.

Poza tym w większych miastach Francji chodniki i ulice powszechnie zmywało się każdego ranka. Wiadomo, że nie wszystkie, jednak wiele z nich codziennie było w ten sposób odświeżanych. Do tego celu służyły specjalne krany umieszczone przy krawężnikach. Puszczano z nich wodę, która zmywała wszystkie śmieci nagromadzone poprzedniego dnia wzdłuż krawężnika. Jednak wszystkie te zabiegi nie dawały zbyt wiele, gdyż taki chodnik umyty ok. 5 nad ranem już za kilka godzin był znowu jednym wielkim wysypiskiem.

Podobnie było np. w urzędach pocztowych. Co prawda już wtedy były tam powszechne automaty, w których można było na ulicy kupić znaczek i wysłać list, jednak w obiektach pocztowych też załatwiano mnóstwo spraw. Pod koniec dnia w hali takiego urzędu na podłodze zalegały sterty papierów i innych śmieci. Podobnie było w licznych małych kamiennych, gdzie na podłodze leżały między innymi niedopałki. Francuzi po prostu rzucali je na podłogę tam gdzie stali nie szukając kosza, który rzecz jasna tam był. W ogóle Francja jawiła się jako wylęgarnia syfu i wszelkiego brudu. Tu ludzie przychodzący do cyrku w niedzielę z dziećmi potrafili mieć nie tylko brudne buty, ale też brudne ręce. I to tak jakby przed chwilą wyszli z kanału samochodowego lub od pracy w polu. Ten dość specyficzny obraz dawał możliwość konfrontacji prawdy z mitami, które od lat funkcjonowały w Polsce jakoby zachód był znacznie bardziej cywilizowany od nas, że Polaka na zachodzie można poznać właśnie po brudnych butach itd. Otóż mając możliwość poznania np. Paryża od tej codziennej szarej strony można było wyzbyć się wszelkich kompleksów. Oczywiście jeśli turysta przyjechał tu na tydzień lub dwa i obracał się tylko w rejonach komercyjnie turystycznych mógł odnieść wrażenie, że Polska, w której żył na co dzień, jest jeszcze daleko za Francją, ale Luwr, Pola Elizejskie, Eiffła, Łuk Tryumfalny, czy inne takie miejsca, to nie Paryż. Samo miasto jest bowiem prawie 2 razy większe od Warszawy i poza turystycznymi wycinkami posiada tak samo jak każda inna stolica, dzielnice które mogą zdziwić czy nawet przerazić nie jednego turystę. Dodajmy do tego powszechne zjawisko jakim jest koczowanie bezdomnych wprost na ulicach. Nie na dworcach, czy w kanałach, jak obecnie w Polsce. Tam z uwagi na klimat przez większość roku tacy ludzie mogli spać dosłownie na kartonie rozłożonym wprost na ulicy. Był to niewątpliwie element folkloru ówczesnej zachodniej Europy, a szczególnie Francji.

Inną ciekawostką dotyczącą już stricte francuskiego cyrku, była cyrkowa kuchnia. Już pierwszego dnia po przyjeździe dobry znajomy kierownika, który rozpoczął tam pracę znacznie wcześniej, poinstruował go co do kuchni i samego kucharza. A znali się jeszcze z Polski i właśnie planowali razem przepracować ten sezon wspierając się i pomagając sobie wzajemnie.

- Jak pójdziesz po kolację to specjalnie się nie rozglądaj po kuchni i nie patrz na ręce kucharza – poradził Andrzej.

Ta rada mimo, iż płynęła wprost z serca przyniosła dokładnie odwrotny skutek. Kierownik zaraz po wejściu bacznie przyjrzał się wszystkiemu w czasie kiedy francuski kucharz nakładał dla niego porcję. W kuchni był niewyobrażalny syf, a ręce kucharza były tak brudne jakby przez cały dzień grzebał nimi w ziemi. Taki widok był prawdziwym szokiem. Na podłodze resztki jedzenia i rozlanej zupy wymieszane były z trocinami na ścianach zacieki tłuszczu i brudu zalegającego od lat. Podobnie naczynia poprzepalane i brudne, a fartuch kucharza przypominał szmatę od podłogi, która kiedyś dawno temu była zapewne biała. Do tego wszystkiego w jego ustach zawsze tkwił tłący się papieros. W takich warunkach nie rzadko zdarzało się, że na tacy poza

kaszą można było znaleźć prusaka czy inne rozbactwo. Dania podawane były na stalowych tacach z przegródkami, które każdy dostawał na cały sezon i mył samodzielnie. I można powiedzieć, że był to jedyny plus zbiorowego żywienia w Cyrku Pinder. Podobnie do stanu kuchni było z jakością potraw. Dość często np. podawano cielęcy ożór, który był po prostu ucięty i ugotowany, a po przejechaniu nożem czuć było wyraźnie, że jest pokryty charakterystyczną chropowatą skórą. Kierownik wtedy wymieniał to danie na jogurt z kimś z załogi, bo takie danie, podobnie jak często podawany królik nie przechodziło mu przez gardło. Z posiłków najbardziej lubił śniadanie, bo dawano spory kawałek bagietki posmarowanej masłem, jogurt i półtoralitrową butelkę niegazowanej wody. Jednak i to z czasem okazało się nie do zjedzenia gdyż nader często bułka śmierdziała papierosowym dymem. Kierownik nie raz zastanawiał się jak to możliwe i w końcu pewnego dnia odkrył tajemnicę. Kucharz w czasie wydawania śniadania odkładał swojego tłącego się peta na półkę gdzie układał pokrojone bagietki. Wtedy dym snuł się dokładnie wprost na pieczywo, które na wskroś przesiąkało papierosowym dymem. Od tej pory jako jeden z nielicznych, a może nawet jedyny, sam kroił sobie bułkę i sam smarował masłem. Co rzecz jasna budziło nie małe zdziwienie u francuskiego kucharza. Na śniadanie było jeszcze mleko, ale ono też nie przechodziło przez gardło kierownika. Za bagietką wiąże się jeszcze całkiem inna historia. Otóż po kilku dniach kierownik zauważył u siebie dziwne objawy. Dostał czegoś w rodzaju podrażnienia i zaczerwienienia w okolicach ust, a głównie ich kącików. Już zaczął się poważnie martwić, że coś z jego zdrowiem jest nie tak, kiedy przez przypadek idąc ulicą zobaczył dziewczynę z podobnymi objawami. Dziewczyna ta właśnie jadła bagietkę. I wtedy go olśniło. Okazało się, że podrażnienia te były spowodowane chrupiącą i dość ostrą skórą bagietek, które od kilku dni codziennie spożywał. Należało więc opanować odpowiednią sztukę ich konsumpcji tak żeby nie kaleczyć ust. I już po dwóch dniach objawy ustąpiły.

Andrzej nie miał aż takich problemów i po prostu jadł wszystko. Nie był aż tak wybredny, a jego organizm bardziej odporny. Poza tym pracował już tam od kilku miesięcy, więc do wielu rzeczy się przyzwyczaił. Podobnie dobrze radził sobie z pracą, a był pielęgniarzem tresury między innymi wielbłądów. Nie była to ani lekka, ani przyjemna robota, jednak dawał sobie z nią świetnie radę i generalnie był chwalony przez przełożonych oraz powszechnie lubiany. Jednak jak to często bywa okazał się chyba dla kogoś zbyt dobry, bo nie przedłużono z nim umowy na następny sezon, co było dla kierownika niewątpliwie dotkliwym ciosem. I nie mniejszym dla samego Andrzeja. Po wyjeździe na urlop już do cyrku nie wrócił. Ale tak to właśnie jest, że w tym świecie nie było sentymentów i dotyczyło to jak widać wszystkich cyrków.

Można więc powiedzieć, że co kraj to obyczaj i w tym stwierdzeniu będzie sporo prawdy niezależnie od kraju i elementu będącego swobodną częścią jego folkloru.

\*\*\*

Do licznych elementów folkloru Rosji niewątpliwie zaliczały się obyczaje, które często były podyktowane i uwarunkowane poprzez religię. Należy pamiętać, że ZSRR był państwem nie tylko wielonarodowym, ale też wieloreligijnym. Dlatego czasami można było zaobserwować jak w trakcie przedstawienia niektórzy widzowie wychodzą, aby przy zachodzącym słońcu odbyć codzienne modły. Taki Muzułmanin oddawał się w bardziej ustronne miejsce i tam na specjalnym modlitewnym dywaniku zwanym Khumrah oddawał pokłony Allahowi.

Ale region, w którym w większości rozgrywa się akcja naszej opowieści wyróżniał się nie tylko tą różnorodnością folklorystyczną, czy religijną, ale też specyficznym klimatem. Gorące, a raczej upalne lato dawało się wszystkim we znaki. Polska załoga cyrku nie przyzwyczajona do takiego klimatu z trudem stawiała czoła niesprzyjającym warunkom. Temperatura pod namiotem dochodziła do 70 stopni i z tego też powodu podwijano do góry „rundy”, czyli boki cyrkowego namiotu. Burzyło to co prawda nastrój wpuszczając nadmiar światła do środka, ale pozwalało na delikatny przepływ powietrza. Z upałem zmagaly się też zwierzęta chociaż nie wszystkie. Te bardziej egzotyczne dawały sobie znacznie lepiej radę od innych, jednak opiekunowie musieli nieustannie dbać o ich kondycję i samopoczucie schładzając często wodą i zapewniając cień. Wszędzie dookoła sucho i od wielu dni ani kropli z nieba.

W takich warunkach żadna praca nie była łatwa i przyjemna. W tym również praca kierownika, który jak zwykle załatwiał różne sprawy i robił różnego rodzaju zakupy. Dlatego dla większego komfortu wraz z Marianem zakładała często krótkie spodnie co sprawiało, że nie było im aż tak gorąco. Samochody wtedy nie miały klimatyzacji jak teraz, a w kabinie Żuka czy Tarpana było jak w piekarniku. Przy takich jednak okazjach Stary zawsze upominał:

– Panie kierowniku niech się pan tak nie ubiera wyjeżdżając na miasto, tu są bardzo surowe obyczaje i miejscowa ludność nie toleruje takiego stroju.

Generalnie chodziło o to, że w krajach muzułmańskich odsłonięte nogi mężczyzny, szczególnie powyżej kolan były niemalże bluźnierstwem w stosunku do wiary i tradycji. Kobiety natomiast w większości przypadków zakrywały też twarze, mimo że religia zezwalała na ich odsłonięcie podobnie jak dłoni. Jednak cała reszta zgodnie z tradycją musiała być zakryta. Mężczyźni natomiast chodzili w długich jakby sukniach i zawsze z nakryciem głowy. Przy tym nie wolno było im nosić ubrań z jedwabiu tak jak kobietom. Dla kogoś z Europy, czy nawet z Polski, były to dość dziwne i egzotyczne zasady. Oczywiście goście z zagranicy mieli inne, bardziej liberalne prawa, lecz jawne łamanie zasad było zawsze źle widziane. Kierownik jednak z uwag Starego nic sobie nie robił. Tak samo - za jego przykładem Marian, który czasem przekornie i z uśmiechem na twarzy pytał przed wyjazdem:

– Jakie dziś kierownikowi? Krótkie? - Tak jakby był to pewien rodzaj zabawy.

Na co zazwyczaj odpowiedź była twierdząca. I był to też pewien rodzaj protestu przeciwko Staremu, z którym kierownik od pewnego już czasu był na wojennej ścieżce.

Trzeba jednak przyznać, że nie raz będąc wśród miejscowej ludności okazywano im z powodu stroju niechęć czy wręcz wrogość, a to poprzez wygłaszane na głos jakieś uwagi, a to przez wrogie spojrzenia. Niektórzy czasem nawet pluli w ich stronę zlorzczając pod nosem. No ale do takich zachowań byli przyzwyczajeni.

Podobnie było i tym razem, kiedy to kierownik wraz z kierowcą udali się na bazar. Było dość dużo ludzi, a w związku z tym dość ciasno. W takim tłumie częściej niż zwykle okazywano im niechęć. Tym razem dało się wyczuć wyjątkowo wrogą atmosferę. W pewnym momencie do kierownika podszedł wysoki brodaty mężczyzna. Mówił coś w swoim dialekcie, a jego mina wskazywała na to, że nie żartuje. W końcu pokazał kierownikowi wyciągnięty zza pazuchy nóż, a właściwie coś w rodzaju kindżału. Z dużą zdobioną rękojeścią i jeszcze większym ostrzem. Było to ostrzeżenie, które dotarło do świadomości kierownika bezbłędnie i natychmiastowo. W tej samej chwili kierownik krzyknął do Mariana:

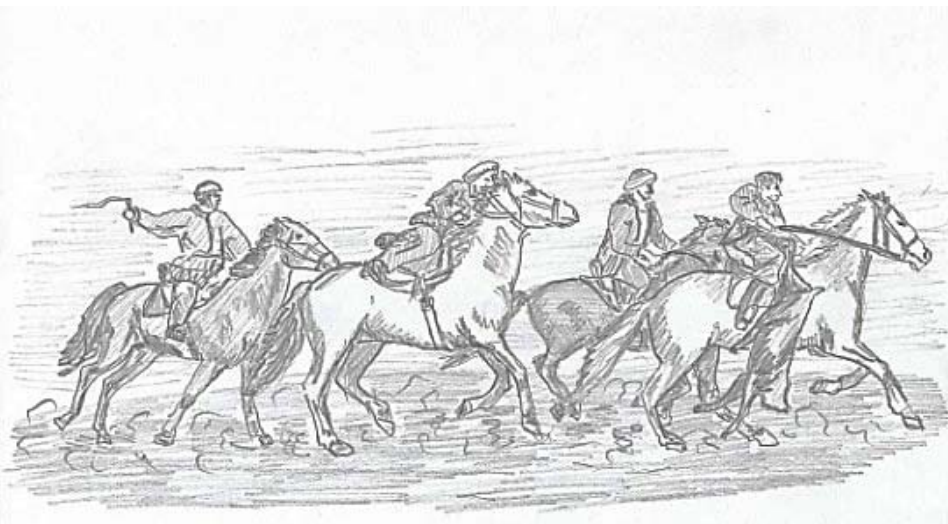
– Panie Marianie wracamy, szybko!

Marian co prawda tego nie widział, ale w nerwowym głosie szefa rozpoznał, że sytuacja jest poważna. Jak najszybciej mogli, znaleźli się więc przy samochodzie, a chwilę później odjechali.

Ta nauzka była wystarczająca do tego, aby następnym razem ubierać się odpowiednio, czyli przynajmniej w długie spodnie. Okazało się też, że słowa Starego, którymi przestrzegał ich wielokrotnie nie były jedynie złośliwymi uwagami.

Tym razem tam na bazarze mogło dość przecieć do tragedii. Złość miejscowych wywołana urażonymi uczuciami religijnymi obróciła się głównie przeciwko kierownikowi. Być może ze względu na jego młody wiek, a być może dlatego, że to on pełnił tam ważniejszą rolę co można było zaobserwować w ciągu kilku minut jakie tam spędzili. Już na samą myśl robi się gorąco, bo wystarczył moment i w tłumie, ktoś by go popchnął, ktoś inny zadał cios, a potem kiedy już by upadał tłum nagle rozszedłby się we wszystkich kierunkach zostawiając zakrwawioną ofiarę na środku bazarowego placu. Bo tak załatwiano się tam sporne sprawy, konflikty i porachunki.

W ogóle ta część Azji podobnie zresztą jak pozostałe rejony obfitowała w specyficzne i sobie tylko właściwe zjawiska nie tylko religijne, ale i społeczne czy kulturowe. Dlatego na każdym kroku można było spotkać się z czymś co mogło zadziwiać, zachwycać, szokować czy wręcz przerażać. Kazachstan, Uzbekistan, Tadżykistan, Afganistan czy Turkmenistan, to całe mnóstwo często niezrozumiałych dla Europejczyka zwyczajów, obrzędów i zachowań społecznych. Nawet uprawiane tam narodowe sporty były skrajnie egzotyczne. Jednym z nich było coś w rodzaju konnej pogoni za kozą. Jednak nie za żywą, a za jej zwłokami w dodatku pozbawionymi głowy. W dosłownym tłumaczeniu nazwa tego sportu to „zabieranie sobie kozy”, a w zależności od regionu miejscowa nazwa to „Oglak tartis”, „Bazkaszi” czy „Kokboru”. Polegało to na tym, że dwie rywalizujące ze sobą konne drużyny galopując po wyznaczonym placu starały się odebrać sobie nieżywe zwierzę i umieścić je w wyznaczonym miejscu na polu przeciwnika.



### Pogoń za kozą.

W dużym przybliżeniu to coś w rodzaju naszego futbolu tyle, że tu rolę piłki pełniły zwłoki zwierzęcia, a gracze nie biegali lecz pędzili na koniach. I to w zasadzie były jedyne zasady gry. Nie było ważne ilu zawodników jest w danej drużynie, a rozgrywka rozpoczynała się od galopu do środka boiska, gdzie leżała koza. Kto pierwszy ją porwał z ziemi musiał okrążyć całe boisko, aby dać szansę odebrania sobie kozy przeciwnikowi, by następnie umieścić ją w miejscu wyznaczonym okregiem po stronie drużyny przeciwnej. Rozgrywkom tym oczywiście towarzyszyły tłumy kibiców i niejednokrotnie tumany kurzu unoszonego końskimi kopytami. Właśnie dzięki temu będąc w miejscowości Amlałyk, położonej w Uzbekistanie w pobliżu granicy z Turkmenistanem kierownik miał okazję zobaczyć na własne oczy jak to wygląda.

– Pan podjedzie tam – Powiedział do kierowcy, wskazując jakieś zgromadzenie w tumanach kurzu. Ciekawe co tam się dzieje?

W tym właśnie czasie nieopodal miasta na otwartych przestrzeniach stepu odbywały się takie rozgrywki, które wiązały się z jakimś miejscowym świętem. Kierownik wtedy jeszcze niewiele z tego rozumiał. Gdy podeszli bliżej ujrzeli tłum ludzi, a pośrodku dość duża grupa jeźdźców galopującą jakby bezładnie po całym placu. Dopiero w mieście dowiedzieli się co tam się odbywa i o co w tym chodzi. Taki sport był dla Polaka tak samo odległy jak gra komputerowa dla Buszmena, czy innego Aborygena. Pikanterii dodaje fakt, że jak się okazało w dawnych czasach żyjące tam ludy czyli potomkowie Czyngis-chana grali w tę grę zwłokami niewolników. Również pozbawionymi głowy. Już sam fakt uganiania się za wcześniej zarżniętą kozą był dość odrażający.

Obecnie nadal gra się w tą grę, jednak używa się specjalnie wypchanego worka z koziej skóry. Samo miasto też było wyjątkowe i miało ciekawą historię. Pochodziło z początków XIII wieku i jak głosiła legenda zostało założone przez ówczesnego rozbójnika jako miastopanstwo. Wkrótce jednak przyjął on zwierzchnictwo potężnego Czyngis-chana, i miasto niemal przez 300 lat było pod panowaniem Mongołów. Ostatecznie w wyniku licznych wojen zostało niemalże doszczętnie zniszczone. Jednak w czasach kiedy był tam kierownik liczyło 100 tys. mieszkańców i stanowiło dość ważny ośrodek przemysłowy ówczesnego

ZSRR. Było to głównie wydobywanie i przetwórstwo miedzi i molibdenu.

W tamtym rejonie funkcjonowały również inne mniej szokujące reguły podyktowane religią czy miejscowymi zwyczajami. Jedną z nich chociażby był zakaz rozwieszania publicznie prania. Dlatego pracownicy cyrku mieli przykazane żeby ewentualne pranie rozwieszać zawsze od wewnętrznej strony cyrku, tak żeby nie było ono widoczne z zewnątrz. Kierownik nie miał raczej z tym problemu, bo zazwyczaj prał swoje rzeczy na bieżąco i rozwieszał w działce na sznurku pod sufitem. Robił tak dlatego, że całe dnie był poza działką i dzięki takiemu rozwiązaniu nie musiał martwić się w przypadku niespodziewanego deszczu.

\*\*\*

Deszcze w tamtej części świata zdarzały się dość rzadko. Jednak często nie były w żaden sposób sygnalizowane. Po prostu w środku słonecznego dnia dochodziło nagle do potężnej ulewy. Czasem również z gradem wielkości winogron czy nawet włoskich orzechów. Taka ulewa przydarzyła się kiedyś w Czeceńskiej miejscowości Gudermes położonej zaledwie 40 km od miasta Groznyj, które później niechlubnie zasłynęło z serii zamachów terrorystycznych i mafijnych porachunków. W latach 90-tych również nie było tam bezpiecznie. W ogóle cały tamtejszy region był jednym wielkim zarzewiem konfliktów i wojny. W tym, tak zwanej wojny czeceńskiej. Jednak w czasach, o których opowiada ta historia było jeszcze względnie spokojnie. Przynajmniej takie odczucie mogli mieć nieświadomi wszystkiego pracownicy polskiego cyrku.

W Grozynie - o czym zapewne mało kto wie, urodził się Mamed Chalidow, obecnie Polski zawodnik MMA. Który w tamtym czasie miał zaledwie 10 lat i być może był nawet na przedstawieniu w polskim cyrku. Jednak opowieść ta dotyczy wspomnianej ulewy. Otóż około południa jeszcze przed obiadem nagle zerwał się wiatr, a po chwili błyskawicznie się zachmurzyło. Zaraz potem lunął deszcz. Kierownik był wtedy w działce i podobnie jak reszta załogi czekał, aż w kuchni zaczną wydawać posiłki. Deszcz jednak przerodził się dość szybko w ulewę, a po chwili spadł również grad. Był środek lata i taka pogoda raczej nie była normalna. Kierownik więc z zaciekawieniem przyglądał się już od dłuższej chwili jak plac cyrkowy powoli zamienia się w jezioro, do-

datkowo pokryte kozuchem białych kulek lodu o średnicy dochodzącej do 2 cm. Dudniły one tak mocno o dach działki, iż momentami można było pomyśleć, że przebija się do środka. W taką pogodę to nawet po obiad nie chcieli się wychodzić. Czas mijał i po kilkunastu minutach ulewę kiedy padał już sam deszcz można było zaobserwować krzątających się po placu ludzi. Kierownik nie bardzo rozumiał to poruszenie i od czasu do czasu wyglądał przez okno żeby sprawdzić jak się sytuacja rozwija. Miał też nadzieję, że w każdej chwili może przestać padać. Zaczął nawet w szafie szukać kaloszy. Po pewnym czasie wśród krzątających się wokół namiotu ludzi dostrzegł też, Starego. To już było bardzo ciekawe. Ale nadal nic z tego nie rozumiał. Kiedy przyjrzał się baczniej okazało się, że biegają oni wokół namiotu i naciągają liny, a z niektórych miejsc na szapicie usuwają wodę, która się tam zbierała. Ludzie ci mimo wiatru i lejącej się strugami wody ofiarnie walczyli z żywiołem. Wśród nich był dyrektor, który z podobnym poświęceniem starał się im pomagać, choć to akurat mimo całej grozy sytuacji wyglądało dość śmiesznie. Inni dobijali floki, a jeszcze inni łopatami starali się odprowadzać zbierającą się wodę od namiotu. Trwało to chwilę, kiedy kierownik wreszcie zaczął rozumieć o co tu chodzi. A kiedy w końcu zobaczył też artystów, którzy działali co prawda mniej udolnie jednak nie mniej ofiarnie od technicznych, zrozumiał, że jest to jakby pospolite ruszenie. W takich bowiem przypadkach przy tak obfitych opadach mogło dojść do zawalenia się całego tego ogromnego namiotu. Nasiąknięte liny, nie trzymały bowiem tak mocno jak suche. Podobnie wbite w ziemię floki, mogły się z łatwością obluźwać w rozmozonej glebie. Dodatkowo woda mogła dostać się do środka i zalać arenę a zgromadzona na namiotowym płótnie mogła doprowadzić do jego zniszczenia. Do tego dochodził wiatr i katastrofa gotowa.

Ale wtedy kierownik jeszcze tego wszystkiego nie wiedział, a raczej nie zdawał sobie z tego sprawy. Kiedy już zorientował się, że tylko on jest w działce, a cała załoga walczy o cyrk, poczuł się tak głupio, że teraz to już ze wstydu postanowił nie wychodzić. Jakby bowiem to wyglądało gdyby teraz po ponad 20 minutach zmagani całej załogi wyszedłby nagle do nich jak gdyby nigdy nic. Każdy widziałby przecież, że właśnie dopiero teraz wychodzi z działki. I jeśli nie od razu to prędzej czy później ktoś mógłby zapytać go co robił do tej pory.

Wiedział dobrze, że w tej chwili żadne rozwiązanie nie będzie dobre i postanowił w ogóle się nie ujawniać. Padł po prostu ofiarą własnej niewiedzy i braku doświadczenia. A nikomu nie przyszło do głowy w takiej chwili, aby go zwołać. Zapewne wszyscy myśleli, że o tak podstawowych zasadach zastępca dyrektora wie sam z siebie. Niestety tak nie było. Zawsze bowiem jest tak, że nawet jeśli wie się już bardzo dużo, to nigdy nie wie się wszystkiego. Kierownik w takiej sytuacji znalazł się po raz pierwszy i to go może choć trochę tłumaczy. Po kolejnych kilkunastu minutach deszcz nagle przestał padać. A po jeszcze kolejnych wyszło słońce, które grzało teraz równie mocno jak przed godziną.

Z poczucia wstydu kierownik jeszcze długo się nie ujawniał. Nikt zresztą go nie szukał. Ludzie w końcu rozeszli się, a po zmianie

odzieży na suchą i czystą ustawiali się w kolejce po obiad. Jedyńą osobą, która zauważyła, że nie ma go tam gdzie być powinien w tym czasie był oczywiście Stary. Dlatego następnego dnia nie omieszkiał zapytać:

- A czemu to pan kierownik nie ratował cyrku jak wszyscy pozostali?

Młody człowiek nie miał żadnego sensownego wytłumaczenia, a Stary mógł jak nigdy dać upust nagromadzonemu od miesięcy emocjom. Dobrze tylko, że cała ta nieprzyjemna rozmowa odbyła się w biurze i bez świadków. Jeszcze długo po tym kierownik czuł się nieswojo, a w duchu czuł, że jednak nie nadaje się na to stanowisko skoro w tak oczywistej sprawie nie potrafił trafnie i na czas zareagować. A jeszcze kilka dni wcześniej był prawie pewien, że po tych kilku miesiącach nic nie jest w stanie go zaskoczyć, bo przecież tak dobrze sobie radzi. Czy to aby nie była pycha?

Następnego dnia rano okazało się, że od strony garderoby namiot jednak nie wytrzymał naporu wody i doszło do uszkodzenia. Trzeba było opuścić całe szapito i załatać dziurę.

Rolą kierownika było załatwienie specjalnej zgrzewarki gdyż jedyna, która była na wyposażeniu właśnie się przepaliła. Na szczęście przynajmniej w tym był dobry, czyli w załatwianiu spraw z pozorami nie do załatwienia. I w ciągu 2 godzin wrócił do cyrku z prawie nową maszyną. W ten sposób chociaż trochę się zrehabilitował. Bo według starego taki sprzęt był raczej nie do dostania w tamtym rejonie. Kierownik jednak użył całej swej wiedzy i doświadczenia żeby udowodnić, że jednak jest coś wart. Miał też przy tym sporo szczęścia gdyż zgrzewarkę udało mu się odkupić od obsługi pobliskiego lotniska. Oni używali tam takiego sprzętu do naprawiania plandek na samoloty. Czas mijał, a po dwóch kolejnych miastach nikt już o temacie nie pamiętał. Może poza kierownikiem, który jeszcze odczuwał niesmak po tym jak dał wtedy plamę.

\*\*\*

Pewnego razu podczas załatwiania codziennych spraw na mieście wstąpili do sklepu RTV. Nie liczyli na jakieś zakupy, ale dla zasady nie należało takich sklepów omijać. Ku ich zdziwieniu w ofercie sklepu były kolorowe telewizory Raduga, Wiesna i Czajka, co po rosyjsku oznaczało tęcza, wiosna i mewa. Kierownik standardowo zrobił więc rozeznanie co do możliwości zakupu. W odpowiedzi jednak usłyszał, że owszem można kupić ale potrzebna będzie bymara<sup>7</sup>.

- No tak, - pomyślał – skąd ja ci teraz talony dostanę?

Jednak szybko się okazało, że nie chodziło wcale o jakiś dokument, a o jedyne 10 rubli, które potocznie zwane było właśnie bumagą. Była to kwota łapówki od sztuki. Co ciekawsze, to w tak atrakcyjnej cenie mogli kupić telewizorów ile chcieli. Kierownik był w szoku. Szybko wspólnie z kierowcą ocenili swoje ówczesne możliwości finansowe i ponieważ byli tym razem Żukiem a nie Tarpanem, to za jedynym zamachem kupili, aż 11 telewizorów. I to się nazywał interes. Już po powrocie do cyrku znaleźli się chętni, którzy niemal na pniu odkupili od nich sprzęt płacąc prawie dwa razy

<sup>7</sup> Z ros. - Czytaj – bumaga – papier, czasem dokument.

wyższą cenę. W czasie całego sezonu trafiały się różne okazje jednak z takim zjawiskiem kierownik spotkał się tylko raz, właśnie wtedy.

Inną ciekawostką o której wspomnieliśmy już wcześniej z zakresu handlu było to, że w ZSRR to w poniedziałki wszystkie sklepy były pozamykane a nie w niedzielę, tak jak to było i jest w Polsce. Kierownik często o tym zapominał i niejednokrotnie po raz kolejny bywał zaskoczony tym faktem, kiedy to planował jakieś zakupy właśnie w tym dniu. Władze uznawały bowiem, że ludzie pracujący cały tydzień w zakładach i fabrykach muszą mieć czas na zrobienie zakupów. W tym celu umożliwiano je właśnie w niedzielę, kiedy to wszyscy mieli wolne, a pracował jedynie handel. Handlowcy zaś mieli wolne w poniedziałek. Ta troska o klasę robotniczą przekładała się rzecz jasna wprost na stan gospodarki, czyli na stabilizację gospodarczą. Wiadomo, że robotnik któremu zapewni się dostęp do dóbr w wolny dzień czyli w niedzielę, cały tydzień może poświęcić się wykonywanej pracy. Oczywiście znajdują się zaraz tacy, którzy stwierdzają, że takie rozwiązanie wcale nie było poddyktowane troską o robotników a walką z kościołem. Jednak to błędna teoria. Kult robotnika był w ZSRR wyjątkowo silny, a kościół wbrew temu co mogłoby się wydawać nie był w tamtych czasach aż tak prześladowany. Poza tym władza nie musiała wcale walczyć z kościołem, gdyż nie odgrywał on tam aż tak ważnej roli politycznej i społecznej jak w Polsce. Głównie dlatego, że zarówno przed, jak i po II wojnie światowej w wyniku represji liczba cerkwi zmalała z kilkudziesięciu tysięcy zaledwie do kilkuset. Sytuacja diametralnie się zmieniła dopiero w roku 1988 w czasie pieriestrojki oraz z okazji obchodów tysiąclecia chrztu Rusi. Więc wspomniana wcześniej pozycja kościoła i wiary nie brała się znikąd. Jeśli kościół prawosławny by nie miał odpowiednich warunków, to musiałby uciekać się do komercyjnych zabiegów modyfikacji kanonów wiary czy obrzędów podobnie jak w Europie kościół katolicki. A tym czasem nic takiego nie miało miejsca. Dopiero w roku 2009 zainicjowano proces przystosowania kościoła do współczesności, ale taki proces wymaga dziesięcioleci.

Tym, którzy mimo wszystko uważają inaczej, można przytoczyć przykład - pominiemy tu fakt finansowania działalności kościoła katolickiego przez nasze państwo i to z budżetu 5 różnych ministerstw, choć obrazuje to jego rolę w naszym kraju. Otóż od lat forsuje się wprowadzenie zakazu handlu w niedzielę pod hasłem troski o pracowników hipermarketów. Podstawowe pytanie jakie się nasuwa, to jaki procent społeczeństwa stanowi ta grupa zawodowa? Okaże się, że niewielki. Poza tym nikt chyba nie bierze tu pod uwagę faktu, iż w takim przypadku pracownicy ci mogą stracić pracę w ogóle, bo nie będą potrzebni, zasilając grono bezrobotnych. Czy o to chodzi? Przy czym nie mówi się tu wcale o ludziach prowadzących własne małe sklepiki, bo oni będą mogli pracować w niedzielę dalej, im pozostawia się więc wybór. A tymczasem być może i wśród pracowników marketów są tacy, którzy chętnie pójdą do pracy w niedzielę, w końcu nie pracują za darmo, a za świąteczny dzień albo dostaną więcej pieniędzy, albo wolne w inny dzień. Czyżby o tym nikt nie pomyślał? Oczywiście, że tak, ale najwyraźniej ważniejs-



sze są jakieś inne względy. Skoro tak to o co może w tym wszystkim chodzić? Czy nie jest to więc hipokryzja? W ZSRR nikt przynajmniej niczego nie udawał, bo czy można doszukać się w tamtym układzie jakiegoś drugiego dna? Po prostu religia odgrywała drugorzędna rolę w państwie i nie była w żaden sposób faworyzowana, a tym samym brana pod uwagę.

\*\*\*

Bardzo ciekawym zjawiskiem jeśli można tak powiedzieć w tym konkretnym cyrku była osoba Waciarza. Nie był on ani pracownikiem cyrku, ani w ogóle ZPR-ów. Był to po prostu dobry znajomy Starego, z którym wspólnie kręcili jakieś interesy. Jednym z nich było sprzedawanie cukrowej waty. Wydawać by się mogło co to za interes? Jednak jeśli przyjrzymy się temu uważniej okaże się, że była to żyła złota. Miał on bowiem coś w rodzaju koncesji na produkcję i sprzedaż waty cukrowej na terenie cyrku. Czyli oficjalne pozwolenie. Była to więc poniekąd sprawa polskiej, ale też rosyjskiej administracji. Na podobnej zasadzie funkcjonował kiosk, który sprzedawał cyrkowe pamiątki, napoje, słodycze i gumę do żucia. W tamtych czasach zarówno guma do żucia jak i cukrowa wata była w tym rejonie synonimem luksusu. Owszem ludzie znali tam rodzimą cukrową watę jednak była ona bardziej podobna do gąbki. A ze względu na szarawożółtawy kolor barwiono ją chemicznie różnymi farbami. Wata w cyrku była całkiem inna. Olbrzymia, śnieżnobiała puchowa chmura na długim patyku. Czegoś takiego miejscowi dystrybutorzy i producenci nie umieli wyprodukować. Był to więc obiekt pożądania zarówno dzieci jak i dorosłych. Z tego też powodu chętnych do zakupu nigdy nie brakowało i kupowano zazwyczaj kilka jeśli nie kilkanaście sztuk mimo dość wysokiej ceny. Bo 1,5 rubla to nie było mało za trochę cukru na drewnianym kijku. Waciarz więc kręcił tę swoją watę podczas każdego przedstawienia i przez ten cały czas przed jego stoiskiem wiała się długa kolejka. Zdarzało się nawet tak, że chętnych było nadal wielu już po zamknięciu cyrku. Wtedy przenosił on swoją maszynę bliżej ogrodzenia i sprzedawał watę przez płot do późnych godzin nocnych. Może było to dziwne, ale jeśli weźmie się pod uwagę wyjątkowość tego produktu oraz fakt, że taka okazja trafiała się być może raz w życiu mieszkańców, to kto odmówi dziecku takiej atrakcji. Kolejki były tak ogromne, że ludzie często stali w nich przez całe przedstawienie. Żeby jednak w ogóle wejść na teren cyrku musieli najpierw kupić bilet na spektakl. Następnie wysyłali dzieci pod namiot, a sami stali w kolejce. I już po dwóch godzinach zadowolony rodzic z zadowolonym dzieckiem wracali do domu. Wydajność takiej maszyny była ograniczona, więc Waciarz wciąż ją udoskonalał. Doszedł w tym do takiej wprawy, że zaczął takie maszyny produkować na zamówienie. W Rosji nie było to trudne, bo w niemal każdym zakładzie można było bez problemu wykonać potrzebne części, a był to stojak, okrągła wanna, a do tego silnik i odpowiednia podgrzewana głowica.

Waciarz potrafił kręcić watę na kilku patykach jednocześnie, ale i to często nie zaspokajało w wystarczający sposób popytu. Dlatego często zniecierpliwione tłumy ludzi w kolejkach próbowały siłą wygzekkować sprzedaż. Dochodziło nawet do rękoczynów i dlatego po pewnym czasie brygada technicznych musiała

zbudować coś w rodzaju klatki bezpieczeństwa, w której Waciarz ustawiał maszynę i mógł się czuć w miarę bezpiecznie. Do tak masowej produkcji potrzeba było wciąż sporych ilości cukru, z którym bywało różnie. I tu z pomocą przychodziła rosyjska administracja, czyli Aleksiejew, który załatwiał osobne przydziały. Proceder ten trwał już od poprzedniego sezonu i kierownik nie był w nim do końca uświadomiony. Zresztą specjalnie nie obchodziło go to, gdyż uważał, że to prywatna sprawa Starego. Przynajmniej do czasu kiedy nie zaczęła ona kolidować z interesem cyrku i samego kierownika oczywiście.



### Waciarz.

Waciarz był nie mniej ciekawym człowiekiem niż to, czym się zajmował. Facet przed 40-stką o nienagannych manierach. Sprawiał wrażenie światowca, a jego niezależność dała się wyczuć już przy pierwszym kontakcie. Podobnie jak Stary zawsze schludnie i czysto ubrany, chociaż miał bardziej sportowy styl. Ale nic dziwnego, bo Dyrektor tam w Rosji w końcu reprezentował nie tylko kierownictwo cyrku, ale też niejako nasz kraj. O odmiennych preferencjach seksualnych Waciarza krążyły plotki podobnie jak o innych członkach cyrkowej społeczności. Każdy coś o kimś wiedział. O jednych mówiło się więcej - o innych mniej. Jednak jedno dało się zaobserwować bez brania pod uwagę obiegowej opinii. Otóż nader często otaczał się on młodymi chłopcami. I były to zazwyczaj po prostu kilku lub kilkunastoletnie dzieci, a przyciągał ich słodki smak produkowanej przez niego waty, ale nie tylko. Miły pan częstował prawdziwymi zachodnimi gumami do żucia. Pozwalał myć swoje auto, które w tamtych czasach było jednym z lepszych w ZSRR i zabierał na przejażdżki. A poza tym puszczał filmy i bajki na wideo, którego dzieciaki w tym regionie w ogóle nie znały. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że chłopcy ci przebywali w cyrku przez cały czas praktycznie razem z nim mieszkając. Waciarz woził ich ze sobą przez tydzień, a czasem nawet dwa, po czym wymieniał na innych miłośników cukrowej waty. Nikt nie reagował na ten proceder, choć w obecnych czasach chyba nie obyłyby się bez interwencji ze strony pozostałych członków załogi. Wtedy wydawało się to prawie normalne, a nikt nie miał czasu się nad tym zastanawiać, zajęty swoimi sprawami. Poza tym w tym specyficznym środowisku nie tylko takie sytuacje były zaskakujące, więc każdy się jakby przyzwyczaił do tego, że cyrk to cyrk. Czyli, że rządzi się własnymi często niezrozumiałymi prawami. Przy tym szanowano prawo do wolności każdego członka

załogi. Poza tym kto miałby reagować skoro nie robił tego sam dyrektor czy kierownik.

Czasem do cyrku przyjeżdżali rodzice w poszukiwaniu takiego zaginionego chłopaka. Wtedy dzieciak wracał do domu jednak nikt nie robił z tego jakiejś afery. Ale może tylko tak to wyglądało, bo przecież gdyby nawet ktokolwiek miał pretensje to zawsze można je było zażegnać odpowiednią sumą pieniędzy, których Waciarzowi z pewnością nie brakowało. Lekko bowiem licząc z jednego przedstawienia zakładając, że tylko połowa ludzi kupiła po jednej wacie miał on grubo ponad 1000 rubli, i są to raczej ostrożne szacunki. Dwa przedstawienia dziennie przez 7 dni i już miesięcznie wychodziło ponad 50 tys. rubli.

Jeśli chodzi o pewnego rodzaju zaginięcia to podobny proceder rozwijał się też wśród tak zwanej normalnej części załogi. Oczywiście generalizowanie byłoby bardzo krzywdzące, gdyż jednak większość nie miała na sumieniu takich grzechów. Jednak zdarzali się tacy, którzy prawie w każdym mieście znaleźli sobie młode adoratorki. Dziewczynki mające po kilkanaście lat, mieszały więc z nimi razem przez cały okres postojów w danym mieście. Bywało też tak jak w przypadku chłopców Waciarza, że taka dziewczyna jechała z cyrkiem do następnego miasta nawet oddalonego o dziesiątki kilometrów. Tu też zdarzały się przypadki, kiedy to późną nocą już po przedstawieniu przychodzili rodzice w poszukiwaniu córki. O takich przypadkach prędzej czy później wiedział też kierownik więc jeśli tylko mógł, to służył pomocą, aby ją odnaleźć. Z biegiem czasu pewien rodzaj rozpasania i rozluźnienia obyczajowości dawał się odczuć coraz bardziej. Także w drugiej połowie sezonu to, że młode często nieletnie dziewczyny nocowały w działkach technicznych, czy kierowców było normalnym faktem. Każdy bowiem sam odpowiadał za swoje czyny. I jeśli tylko nie kolidowało to z wykonywaniem obowiązków, nie było podstawy do ingerencji, bo kto komu zabroni spotykać się w czasie wolnym z kim chce?

Jeden z takich przypadków szczególnie zapadł w pamięci kierownika, kiedy to podczas wieczornej biesiady przyszły trzy młode dziewczyny. Grupa kierowców wraz z kierownikiem miło je przyjęła i ugościła tym czym mogła. Alkohol, muzyka i zabawa do późnej nocy. Były to jednak jeszcze dzieci. Jedną z nich była wyjątkowo ładna, żeby nie powiedzieć śliczna. Zresztą w ogóle uroda kobiet w tamtych stronach była wyjątkowa. Na imię miała Oksana i jak się potem okazało miała raptem 13 lat. Mimo to była nad wyraz rozwinięta podobnie jak jej koleżanki i wyglądała na co najmniej 16.

Towarzystwo dorosłych wyposzczonych facetów nie było więc dla nich zbyt bezpieczne - ale cóż. Kierownik jak zwykle ok. 1:00 pożegnał rozbawione towarzystwo przypominając, że jutro czeka ich nowy dzień pracy i poszedł do swojego wozu. Z racji stanowiska - co oczywiste, musiał też dawać dobry przykład. Jakież było jego zdziwienie kiedy po chwili właśnie ta piękna dziewczyna zapukała do drzwi jego działki. Podczas rozmowy okazało się, że chciała przenocować, gdyż z racji późnej pory nie bardzo mogła wracać do domu. Jej koleżanki też musiały się jakoś urządzić na tę noc. Nie był to jednak dobry pomysł, aby prze-

nocowała właśnie u niego. Choć jej wybór mógł mu w pewien sposób nawet schlebiać. Choć być może wybrała właśnie jego, bo miała nadzieję, że zapewni jej bezpieczeństwo z racji stanowiska. Jednak nie był on przecież zwykłym pracownikiem i pewne zachowania mu po prostu nie wypadały, a poza tym miał niewiele młodszą córkę więc takie rozwiązanie nie wchodziło w ogóle w grę dla człowieka, który ma jakieś zasady moralne. Jednak podobne ograniczenia nie przeszkadzały innym członkom załogi. Z bólem serca odesłał dziewczynę do biesiadującej jeszcze grupy. Uznał bowiem, że ani to jego sprawa, ani problem. W końcu podobne sytuacje zdarzały się w każdym niemal mieście, a on sam i tak nie zbawi tego cyrkowego świata. Mimo wszystko tej nocy właśnie z tego powodu nie mógł długo zasnąć. I chociaż zazwyczaj padał jak nieżywy, zmęczony całym dniem i odurzony alkoholem. To tym razem odczuwał jakiś niepokój, że chyba jednak źle postąpił. To uczucie przerodziło się w ogromnego moralnego kaca, kiedy to nad ranem zobaczył, że Oksana wychodzi z działki jednego z największych podrywaczy w cyrku. Było to jeden z technicznych powszechnie zwany Cyganem. Podobał się kobietom ze względu na swoją charakterystyczną urodę i ciemną karnację. Kierownik niemal zdreptał kiedy zobaczył go jak żegna się z dziewczyną po wspólnie spędzonej nocy. Cygan to zauważył i tylko zapytał z uśmiechem:

- No o co chodzi panie kierowniku?

Kierownik jedynie pogroził mu palcem i powiedział:

- Będziesz pan miał grzech i to ciężki.

Nic więcej nie zrobił, bo i nie miałoby to żadnego sensu. Po prostu stało się, ale to on był temu winien.

Wracając jednak do Waciarza, który był całkiem niezależny od cyrku, taki wolny elektron współpracujący jedynie ze Starym, który jeździł sobie gdzie i kiedy chciał. Podobnie było z jego działalnością. Nie musiał bowiem sprzedawać waty w ogóle. Również podczas przerzutu nie podlegał żadnym ustaleniom czy regulom. Za którymś jednak razem kiedy zdarzyło się, że cyrk przerzucany był nocą, a tak działo się kiedy odległość do następnego miasta była dość niewielka, miało miejsce niecodzienne zdarzenie. Wydarzył się bowiem pewien nieprzewidywany i dla Waciarza brzemienny w skutki wypadek. Kierownik jak zawsze jechał do nowego miejsca postoju ostatnim kursem. Ni stąd, ni z owąd zjawił się Waciarz jadący swoją Wołgą, do której podczepiony był



### Oksana.

Jechał za Jelczem i trąbiąc klaksonem chciał spowodować, aby ten ustąpił mu miejsca na dość wąskiej drodze. W pewnym momencie droga zrobiła się szersza i Waciarz z impetem wyprzedził ciężarówkę ciągnącą za sobą dwie przyczepy. Przy dość dużej prędkości zbyt szybko zjechał na pas przed Jelczem i jego przyczepa się wyróciła. Upřednio tańcząc przez chwilę po drodze wprawiona w taki ruch szybką i gwałtowną reakcją kierownicy. Waciarz zapewne chciał wystraszyć kierowcę jelcza i w widowiskowy sposób zjechać mu drogę, po czym przyspieszyć i odjechać. Jednak stało się całkiem inaczej. Teraz i przyczepa i Wołga leżały na boku, a zza samochodu po chwili wyłonił się Waciarz. Na szczęście nic mu się nie stało. Również na szczęście, tym razem jechał sam. Jednak i kemping i samochód wymagały poważnego remontu. Tak skończył się brawurowy pokaz Waciarza, który przez następne tygodnie był skazany na transport cyrkowy i mieszkał w wozie ze Starym.

\*\*\*

Czasami u Starego pomieszkiwali też inni członkowie cyrkowej trupy. Jednym z takich przykładów był Igor, który na co dzień występował jako akrobata. W numerze, który w cyrkowej nomenklaturze nazywa się akrobacje na perszach, to właśnie on je trzymał na swych nogach. Leżąc plecami na specjalnym stole z nogami skierowanymi ku górze. Na stopach miał opartą drabinę lub inny przyrząd i bez używania rąk balansował nim, podczas gdy inny artysta wykonywał na gurze akrobacje. Igor był młodym człowiekiem i zdaje się przypadł do gustu Staremu. Można było sądzić, że nie bez wzajemności, bo przez jakiś czas często ze sobą przebywali. Stary w tym czasie jak nigdy słysząc muzykę charakterystyczną dla rozpoczynającego się numeru Igora, dyskretnie obserwował poczynania swojego pupila stojąc na schodach bocznego wejścia. Pozostała część programu już go nie interesowała, bo jak wszyscy inni znał ją na pamięć i widział już wystarczająco dużo razy. Jednak Igora podziwiał za każdym razem. Oczywiście natychmiast zaczęło się mówić o nowej, „dziewczynie” Starego, a czasami nawet można było się pośmiać kiedy to Igorowi po wcześniejszej wizycie w działce dyrektora trzęsły się nogi podczas występu.

Ale cóż każdy tam był wolny i nikt nikomu tej wolności nie ograniczał. Jednak z czasem Igor zaczął przejawiać również zainteresowanie płcią przeciwną. Szczególnie kiedy po występie do jego działki ustawały się kolejki zachwyconych małolatek i wielbicielok. Wtedy przyjaźń ze Starym mocno się zachwiała i w końcu się rozeszli. Potocznie o takich jak Igor mówiono w cyrku żyłeta. Co oznaczało, że dla niego zarówno obcowanie z mężczyznami jak i z kobietami jest tak samo atrakcyjne, czyli ostry na obie strony podobnie jak tradycyjna żyłetka. Zanim się jednak rozstali, według cyrkowych plotek Stary sporo w niego zainwestował, obdarowując podarunkami i wydając niemało gotówki na wspólne wypadki w miasto.

\*\*\*

Największą atrakcją cyrkowego programu była oczywiście tresura prowadzona przez Niemca. Pokazy tresury tygrysów i niedźwiedzi były naprawdę zachwycające. Nie mniej były również niebezpieczne o czym rzadko kto wiedział. Bowiem mimo, iż niemiecki treser dobrze znał swoje zwierzęta, to miał z nimi pewien rodzaj patowej sytuacji. Tak jest zawsze w kontaktach z dzikimi zwierzętami. Otóż on je karmił, ale też od nich wymagał. A one musiały być mu uległe, jednak nie zawsze miały na to ochotę podobnie jak na występy. Dlatego treser w szczególności dzikiej tresury musiał być czujny jak ważka nad strumieniem. I zazwyczaj tak było. To człowiek kontrolował sytuację niezależnie od tego co działo się na arenie. Dodajmy, że mowa o arenie otoczonej specjalnymi kratami i przykrytej siatką. Na arenę wprost ze swych klatek zwierzęta były doprowadzane specjalnym tunelem składającym się ze stalowych ażurowych segmentów, które po połączeniu tworzyły tunel, a jego podstawa mocowana była do ziemi. Ponieważ zwierzęta nie zawsze dobrowolnie chciały opuszczać spokojne zacisze klatki zazwyczaj były przymuszane poprzez poszturchywanie ich metalowym prętem. Zdarzało się, że przebiegając w popłochu przeciskały się w wąskim tunelu, a ponieważ były niezwykle silne, to czasem dochodziło do rozszczelnienia tunelu. Najczęściej poprzez uniesienie go do góry wyrwywając wbite w ziemię szpilki. Puszczano wtedy mocowanie, a one mogły się w niekontrolowany sposób wydostać. Na szczęście podczas sezonu w Rosji nigdy do tego nie doszło. Jednak doszło do innego niebezpiecznego zdarzenia z udziałem właśnie tygrysów, ale ... o tym za chwilę.

Ucieczki zwierząt były za to normą w cyrku francuskim. Tam niemalże co tydzień dochodziło do ucieczki lwa czy tygrysa. Bo do ucieczek koni czy wielbłądów dochodziło niemalże codziennie. Najczęściej wtedy kiedy po przedstawieniu rozbrykane i rozpędzone zwierzę wpadało do garderoby, czyli tej części cyrku, która znajduje się po drugiej stronie kurtyny i gdzie widzowie nigdy nie mają wstępu. Tam właśnie stoją rekwizyty i przygotowują się artyści tuż przed wyjściem na arenę. Zasadą w cyrku jest jednak to, że mimo iż są tam ogólnie dostępne dla całej załogi, to nikt nie ma prawa dotykać cudzych rekwizytów. Byłoby to jedno z bardziej poważnych wykroczeń wśród niepisanych cyrkowych praw.



**Samochód Wołga GAZ 24 – skrót pochodził od nazwy fabryki, w której był produkowany: Gorkowski Awtomobilny Zavod w Niżnym Nowogrodzie.** sporych rozmiarów kemping.

Wyobraźmy sobie, że po występie kilkanaście koni wybiega z areny. Każdego z nich musiał ktoś złapać, aby odprowadzić do stajni lub też przygotować do następnego numeru. Zajmowali się tym pielęgniarze i wyznaczeni technicy. Jednak nie każdy miał ochotę ofiarne rzucić się do uprząży rozpedzonego rumaka w obawie, aby ten go nie stratał. W takich przypadkach choć go nie prostu biegł dalej i nagle znajdował się na otwartym terenie. Gdyby nie ogrodzenie mógłby swobodnie uciec znacznie dalej, ale zazwyczaj udawało się go schwytać jeszcze na terenie cyrku. Chociaż ogrodzenie było raczej prowizoryczne i nieszczerne. A cyrkowe konie czy wielbłądy były w całkiem niezłej formie i kondycji, gdyż praktycznie codziennie miały spory zastrzyk ruchu.

Jednak w przypadku tresury niedźwiedzi sprawa wyglądała inaczej. Otóż okazuje się, że kiedy ucieknie koń to poza koniecznością jego złapania nie wiąże się to raczej z żadnym zagrożeniem, ale kiedy ucieknie niedźwiedź wtedy najbardziej zagrożony jest on sam. Tego właśnie dowiedział się kierownik podczas pewnej rozmowy z niemieckim treserem. Cyrkowe niedźwiedzie nie miały kondycji takiej jaką mają takie zwierzęta na wolości. Cyrkowe sztuczki nie wymagają od nich aż tyle ruchu, a i stałe obfite posiłki robiniały swoje. Serce więc takiego misia jest obrosnięte tłuszczem i ma słabą wydolność. Generalnie cyrkowy miś nie ma kondycji. I kiedy takie zwierzę ucieka z niewoli jest bardziej przerażone niż ludzie, których ewentualnie spotyka. Biegnie więc co sił w nogach nie wiadomo dokąd, byle uniknąć jak najszybciej tej stresującej sytuacji. Jednak to w żaden sposób mu nie pomaga. Boi się coraz bardziej i coraz szybciej ucieka. W pewnym momencie może dojść do tego, że serce takiego misia nie wytrzyma takich wysokich obrotów i najwzyczajniej pęknie mówiąc najogólniej. Dlatego jednym z najważniejszych zadań dla tresera było zadbanie o bezpieczeństwo swoich podopiecznych, a dopiero w następnej kolejności o inne sprawy. Niemiecki treser dbał o nie wyjątkowo i były one jego oczkiem w głowie. Przez cały sezon kierownik nigdy nie widział żadnej przemocy w stosunku do tych zwierząt. Widać też było, że niedźwiedzie również lubią swojego opiekuna. Stałym elementem tej swoistej obustronnej miłości było pewne ciekawe zachowanie. Treser podchodził do klatki i pluł na wystawione języki niedźwiedzi. Żadnego przy tym nie mógł pominąć. Może wydawać się to dość dziwne, albo może nawet niesmaczne, ale misie to bardzo lubiły. Ludzka ślina jest bowiem słodka więc zwierzęta traktowały to jako swoistą nagrodę i oznakę uczucia ze strony człowieka.

Trochę inaczej było z lwami, których tresura była jednym z numerów we Francuskim Cyrku Pinder. Tam uciekały one właśnie z winy i niedbalstwa ludzi, a często samego tresera. Nie raz zdarzyło się, że nie zamknął on klatki jak należy. Tresurą lwów i tygrysów zajmował się tam Fryderyk syn właściciela cyrku, więc takie błędy nie kończyły się dla niego żadnymi konsekwencjami. A on jako rozpieszczony synalek bogatego tatusia nic sobie z tego nie robił. Jednak zdarzało się, że któryś lew uciekał podczas występu. A kiedyś nawet podczas gdy cyrk grał przedstawienie dla szkół. Wiadomość o tym błyskawicznie ogłaszana była wśród per-



### Niemiecki treser podczas występu.

sonelu, ale tak aby nie powodować paniki wśród widzów. Sznurowało się wtedy szczerzenie namiot aby zwierzę nie dostało się na widownię. No i zaczynały się łowy. Polegało to na tym, że co bardziej odważni i wprawieni pracownicy starali się dogonić takiego uciekiniera, który na szczęście nie puszczał się od razu w „długą”, bo sam był przestraszony tą niecodzienną dla siebie sytuacją i dezorientowany. Następnie chwytały go za ogon i siłą zaciągali do klatki. Taki lew opierał się i starał wyrwać z potrzasku jednak, jeśli śmiałków było trzech nie miał szans i prędzej czy później dociągnięty został do klatki. Zapewne wydaje się to dziwne, ale w pewnych sytuacjach zwierzęta reagują całkiem inaczej niż byśmy się tego spodziewali. Trzeba pamiętać, że świat na zewnątrz klatki był dla takiego lwa całkiem nieznanym. Zwierzę było przerażone bardziej niż ludzie, których spotykał na swej drodze, dlatego jedynym jego celem była ucieczka. A stres i dezorientacja powodowały, iż w ocenie ludzi zwierzę zachowywało się irracjonalnie. Każdy bowiem zapyta dlaczego lew nie zaatakował ludzi którzy go schwytały? Są dwa podstawowe powody. Każda istota w tym również człowiek pod wpływem silnego strachu zawsze ucieka a nie walczy - to jest naturalny odruch. Poza tym skąd cyrkowe zwierzę może wiedzieć, że pokona człowieka w siłowej konfrontacji? Przecież od małego wychowywane jest tak, aby było człowiekowi podporządkowane w każdej sytuacji. W przypadkach ucieczki pojawiał się też Fryderyk z atrybutami swej treserskiej władzy, czyli batem i specjalnym kijem, który w swych zakończeniach miał umieszczone ostre kolce zamaskowane przed widzami ozdobnymi frędzelkami. Czasem taki przyrząd posiadał też ukryty przycisk, a wewnątrz baterie i stanowił specyficzny paralizator. Wystarczyło zwierzę dźgnąć taką laską i w tym samym momencie nacisnąć przycisk. Efekt był błyskawiczny. Podobną metodę stosuje się do tresowania psów zakładając im elektroniczną obrozę sterowaną zdalnie falami radiowymi. Zwierzęta są znacznie bardziej czułe od ludzi jeśli chodzi o porażenie prądem elektrycznym, dlatego prąd uważany dla człowieka za bezpieczny czyli o napięciu 24 V jest dla zwierzęcia już zabójczy. Nawet niewielkie napięcie to dla lwa wystarczający bodziec do posłuszeństwa.

Na szczęście podczas sezonu w cyrku Pinder ucieczki dzikich zwierząt choć dość częste nie kończyły się w jakiś tragiczny sposób poza oczywiście strachem, jaki niewątpliwie lew czy tygrys poza klatką powszechnie wzbudzał.

Sezon w Rosji nie był aż tak pechowy pod tym względem. Tam nie dochodziło do ucieczek tygrysów. Doszło jednak do całkiem in-

nego zdarzenia, w którym o realne niebezpieczeństwo otarł się niemiecki treser.

W tamtych czasach powszechnie podczas tego typu występów zamawiano miejscową straż pożarną, której wóz przyjeżdżał na umówioną godzinę. Rozwijano linię gaśniczą i strażacy z wężem gotowym do użycia stali w pogotowiu podczas numeru z tygrysami. Takie zabezpieczenie dawało jakąś możliwość kontroli na wypadek gdyby zwierzęta się zbuntowały czy właśnie uciekły. Silny strumień wody zazwyczaj skutecznie zniechęcał lwa czy tygrysa do ataku. Ciekawe jest to, że wozy radzieckiej straży pożarnej w tamtych czasach miały szyby osłonięte ochronną siatką podobnie jak wozy milicji w Polsce, służące do rozpędzania demonstrantów. Tam służyły one do tłumienia strajków, kiedy polewano strajkujących wodą pod ciśnieniem z działka umieszczonego na dachu.

Jednak w tym konkretnym mieście, czyli Kizyljurt, cyrk występował zaledwie trzy dni i nie zadbane o specjalną ochronę straży. Była to stosunkowo niewielka miejscowość licząca niewiele ponad 30 tys. mieszkańców i położona kilkadziesiąt km od Machaczkały. Tam właśnie podczas występu jeden z tygrysów od początku stwarzał problemy treserowi. Ten zaś zgodnie ze sztuką tresury konsekwentnie wymagał od niego wykonania kolejnych poleceń i elementów pokazu. Sytuacja stała się na tyle poważna, że można było zaobserwować u tresera pewien rodzaj irytacji, czy nawet zdenerwowania, co było ewidentnym błędem. Zwierzęta od razu to wyczuwają i to właśnie je pobudza do agresywnych zachowań. Trzeba przy tym dodać, że cyrkowe dzikie koty czują się znacznie pewniej na cyrkowej arenie niż poza nią. Głównie z tego powodu, że znają to miejsce doskonale, a to zwiększa ich pewność siebie.

Tak też było i tym razem. W pewnym momencie przedstawienia treser chciał poprawić rekwizyt, aby przygotować go do następnego numeru i w tym czasie stanął bokiem do zwierzęcia, z którym od początku występu miał problem. Tygrys błyskawicznie zaatakował swą potężną łapą. A że treser stał stosunkowo blisko zwierzę zahaczyło go pazurem w ramię. Treser jakby się na ułamek sekundy zachował jednak błyskawicznie odwrócił się i uderzył tygrysa jednym z batów między oczy. I mimo, że rana była dość poważna, a po ręce zaczęła ściekać krew kontynuował występ. Publiczność zamarła podobnie jak żona tresera, która bezpośrednio towarzyszyła mu na arenie jedynie przy występach niedźwiedzi. Do klatki z tygrysami wchodził zawsze sam. Niemiecki treser tłumiąc do maksimum ból spowodowany raną doprowadził pokaz do końca i zebrał wyjątkowo gromkie brawa i owacje na stojąco. Oczywiście zaraz udał się do wozu gdzie rana została opatrzona, a jeden z kierowców zawiózł go na pogotowie.

Może to wydawać się dość dziwne, bo każdy z nas po takim ataku nie dość, że zwinąłby się z bóli to od razu stamtąd uciekł. Jednak ani jedno, ani drugie zachowanie nie byłoby profesjonalne i bezpieczne. Gdyby bowiem treser okazał słabość, czyli zmienił kolejność wyćwiczonych do perfekcji kroków, czy gestów lub gdyby złapał się nawet za krwawiącą rękę inne zwierzęta by to natychmiast wychwyciły, co mogłoby je sprowokować do ataku. A kiedy

zaatakują wszystkie, to wtedy nawet straż porażna nie pomogłaby gdyby była. Takie błędy ludzi czasami w światowej historii cyrku miały miejsce. Natomiast gdyby przerwał pokaz straciłby to co osiągnął przez długie miesiące, czy nawet lata pracy. Od tej pory zwierzęta zapamiętałyby, że jest możliwe, aby stały rytuał zachowania na scenie był zmieniony i podświadomie dążyłyby do takiego stanu, w którym mogą nie wykonywać poleceń, a wtedy cała tresura traci sens i trzeba zaczynać wszystko od nowa.

Ta historia dowodzi niezbicie, że domniemanie zagrożenie podczas tresury dzikich zwierząt jest realne, choć czasem oglądając występ widzowie o tym zapominają. Przekonani, że wszystko od początku do końca jest wyreżyserowane. Ale dzieje się tak dlatego, że podczas występu, czyli jakby z zewnątrz wszystko wydaje się inne niż jest w rzeczywistości, a o prawdziwym życiu w cyrku wiedzą tylko ci, którzy tam żyją i występują.

Wśród tresowanych zwierząt cyrkowych są także te bardziej zwyczajne, jak psy, koty czy kury. W tym cyrku co może wydać się dziwne była tresura świń. Wcześniej kierownik nigdy by nie pomyślał, że świnię da się w ogóle wytresować. Jednak okazało się, że to całkiem pojętne zwierzęta, a ich występ był dość atrakcyjny i zawsze burzliwie oklaskiwany. Uroku tym zwierzętom dodawały specjalne uprząże zdobione w pióra. Numer ze świnią był jedynym, w którym występowała też w roli asystentki inspektorka areny, która z racji wieku i stażu w zasadzie już nie występowała we własnym numerze.

Zapewne ciekawym okaże się również fakt, iż w wielu przypadkach nawet postronna osoba może poprowadzić tresurę. Oczywiście wcześniej musi zostać poinstruowana przez tresera co do kolejności elementów pokazu, sposobu poruszania się i wydawania komend. Nie dotyczy to rzecz jasna każdej tresury i dlatego nikt nie zaryzykowałby takiej próby z lwami czy niedźwiedziami. Jednak konie czy wielbłądy świetnie się do tego nadają. Tak właśnie bywało w cyrku Pinder, gdzie nader często w trakcie sezonu realizowano rozrywkowe programy telewizyjne podczas, których poza promocją sztuki cyrkowej występowali też inni artyści jak np. znane zespoły czy piosenkarze. Wcześniej przed oficjalnym występem treserka wielbłądów dokładnie przećwiczyła z danym artystą poszczególne elementy prowadząc go niemal za rękę. Ważne było bowiem gdzie i kiedy stanąć, którą ręką unieść bat, czy w jakim momencie wydać słowną komendę. Nie było tego aż tak dużo jakby się wydawało. Poza tym w większości przypadków zwierzęta znają swój występ na pamięć i czasem wydawać by się mogło, że nawet bez tresera wykonałyby go bezbłędnie. Dlatego ktoś kto tresera zastępował spokojnie mógł sobie poradzić. Oczywiście nikt tego oficjalnie nie rozgłasza, bo wtedy znacznie umniejszałaby się rola tresera i doceniana przez widza trudność w oparowaniu 10 wielbłądów czy też koni. Jednak tak to w większości przypadków wygląda. Szczególnie kiedy mamy do czynienia z doświadczonym treserem i numerem granym już kolejny sezon. Te kilka czy kilkanaście minut występu to jedyne czego wymaga się od cyrkowych zwierząt i jeśli tylko nie wiąże się to z jakimś nadmiernym dla nich wysiłkiem, czy

bólem to bez problemu wykonują one ćwiczone dzień w dzień ewolucje. Niezależnie od tego każdy treser ma ambicje nauczyć swoich podopiecznych nowych sztuczek jednak możliwości są ograniczone i najczęściej sprowadza się to tylko do pewnych modyfikacji wyćwiczonych wcześniej numerów, które potem grane są przez lata.

Na zakończenie tego wątku dodać należy, że zwierzęta zawsze były jedną z większych atrakcji każdego cyrku. A ich rodzaj zależny był od wielu czynników. Widomo, że duże zwierzęta jak wielbłądy czy słonie wymagały znacznie większego zaangażowania, a także większych środków na ich utrzymanie. Podobnie było z dzikimi tresurami wielkich kotów, czy niedźwiedzi. Również foki stanowiły dość duży problem. Dlatego w cyrkach stacjonarnych, które dominowały w ZSRR można było spotkać w zasadzie jedynie te mniejsze i bardziej powszechne zwierzęta. Podobnie jest teraz w całej Europie. Do tego przyczyniają się też powszechne kampanie obrońców zwierząt. I mimo, że cyrk rosyjski słynie właśnie z tresur zwierząt takich jak niedźwiedzie, to polski cyrk poza innymi atutami miał właśnie tę przewagę, iż posiadał bardzo bogaty program pod względem występów właśnie zwierząt. Jednymi z najchętniej oklaskiwanych zwierząt w cyrku były zawsze małpy, które już, ze względu na swą naturę są zabawne i wyjątkowo lubiane szczególnie przez młodszą część widowni.

\*\*\*

Gdzieś tak w środku sezonu kiedy było już dość gorąco wydarzyła się historia dotycząca właśnie małp. Tego dnia czas płynął leniwie, a do spektaklu zostało dobre parę godzin. Było już po obiedzie podczas gdy nieliczni artyści próbowali jeszcze swoje numery na arenie przed wieczornym występem. Większość jednak odpoczywała korzystając z cienia, upajając się błogim spokojem. Kierownik też pozostawał w tym dniu bieżące sprawy i nigdzie nie musiał się wybierać. Jednak wiedziony poczuciem obowiązku postanowił zrobić rundę wokół cyrku co czynił zazwyczaj co jakiś czas. Jako dobry gospodarz uważał, że najlepiej samemu nad wszystkim czuwać i reagować wczasy, niż potem borykać się z piętzącymi problemami. Raczej nic takiego zazwyczaj się nie działo, co wymagałoby jego interwencji, ale nigdy nie zaszkodziło sprawdzić co tam po drugiej stronie ogromnego namiotu piszczycy. Czasem porozrzucał siano dla zwierząt czy słoma, a czasem zwykły bałagan wokół wozów i to wszystko. W końcu jednak był to cyrk państwowy, a on był za niego poniekąd odpowiedzialny. Poza tym siano czy słoma też przecież stanowiły jakąś wartość więc marnotrawstwo w tym temacie nie wchodziło w grę. Przynajmniej z jego punktu widzenia. Z czasem, w związku z tym swoistym zwyczajem zaczęto mówić o nim - nadzorca. Bo często miał jakieś drobne uwagi. A rezydenci tamtej strony cyrku bardzo nie lubili jak ktoś im patrzy na ręce i cenili sobie niezależność. Jak to artyści. Sam czasem usłyszał jak siebie wzajemnie ostrzegali.

– Uwaga! Nadzorca idzie!

I mimo, że wiedział, iż przydomek ten ma głównie złośliwy charakter, to nie przejmował się tym i robił swoje. To też, obchodził niespiesznie dookoła cyrkowy namiot zatrzymując

się od czasu do czasu. To z kimś zamienił słówko, to popodziwiał cyrkowe zwierzęta. Bo mimo, iż widział je już setki razy to widok małp, czy słonia jakoś go specjalnie nie nudził. Zresztą czym innym jest oglądanie zwierząt w Zoo, a czym innym możliwością podziwiania ich z bliska. Nie dotyczyło to oczywiście małp. Zwierzęta te bowiem były niebezpieczne. Chociaż często wyglądają tak niewinnie i zabawnie. Sam treser wchodząc do ich do klatki posługiwał się metalową rurką, której używał w wiadomy sposób w razie konieczności. Jedynym miejscem gdzie zachowywały się one poprawnie była arena. Wieloletnia tresura nauczyła je, że tam muszą zachowywać się w tak, jak wymagał od nich człowiek. I nieprawdą jest, że cyrkowe zwierzęta te wszystkie wyćwiczone ewolucje wykonują chętnie i z własnej woli. Zazwyczaj to strach powoduje, że robią to co im się każe, znacznie rzadziej nagroda jaką bywa jakiś przysmak. Regułą było, że przed pokazem specjalnie nie karmiono zwierząt. Wtedy chętniej wykonywały polecenia i prezentowały wyćwiczone pokazy. Karmienie miało miejsce dopiero po występie. Chyba, że któreś ze zwierząt ewidentnie nawaliło lub podpadło treserowi. Tak też było dość często w tresurze lwów w cyrku francuskim. Tam po występie treser najpierw wymierzał danemu osobnikowi dotkliwą karę i często też taki lew musiał obywać się smakiem kiedy inni członkowie stada mogli najeść się do syta. Treser izolował takiego lwa w oddzielnej klatce i krzycząc na niego po imieniu dźgał go w bok metalowym prętem do wsuwania i wysuwania tac z pokarmem. Było to bardzo przykre widowisko jednak na szczęście tylko nieliczni bywali tego świadkami. Działo się to bowiem po spektaklu w oddzielonej od publiczności części cyrku. Oczywiście takie praktyki nie były normą jednak były i są dość powszechne na całym świecie. Na pewno znajdują się przeciwnicy takiego stwierdzenia jednak kierownik nie raz miał okazję widzieć jak to działa i na czym polega.

Jeden z takich drastycznych przypadków miał miejsce w czasie jego pracy w Cyrku Pinder, największym we Francji i jednym z największych w Europie. Posiadał on między innymi również tresurę słoni. Ich treserka była córka właściciela, o której już wspominaliśmy. Towarzyszył jej pewien niemiecki treser. I poza wspólną tresurą tworzyli prywatnie parę. Z tym faktem wiązały się też problemy, ale o tym może innym razem. Otóż pewnego razu podczas szkolnego spektaklu, czyli granego dla szkół przed południem. Jeden ze słoni odmawiał wykonywania ćwiczeń. W takich przypadkach kiedy zwierzę nie wykona danej figury czy ewolucji, powtarza się cały cykl. W przeciwnym razie może dojść do sytuacji, że taki brak współpracy z treserem ponowi się podczas kolejnego występu. A na to żaden treser nie mógł sobie pozwolić. Dlatego konsekwentne działanie to podstawa przy tresurze każdego zwierzęcia. Michale, bo tak miał na imię niemiecki treser wyprowadził więc słonia za kulisy i po chwili wprowadził ponownie przechodząc z nim cały cykl ewolucji do momentu, w którym nastąpił błąd. Jednak i tym razem słoń, a właściciel słonica nie wykonała polecenia. Widownia zaczęła być niecierpliwa jednak treser podjął kolejną próbę. Tym razem zza kurtyny słychać było jego donośne krzyki

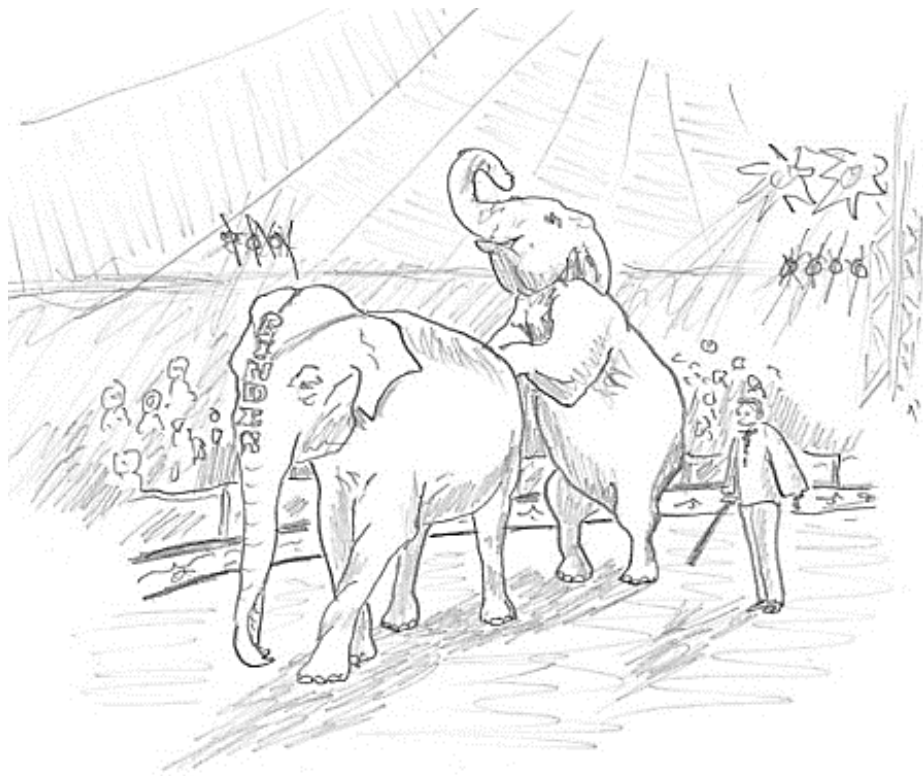
w ojczystym niemieckim języku oraz charakterystyczne „trąbienie” słonia. Nikt jeszcze nie podejrzewał co też tam może się dziać. Przy jednej z kolejnych prób, gdy słoń w ogóle odmówił współpracy i ze strachu nawet nie chciał wrócić za kulisy, treser nie wytrzymał. Za pomocą drewnianej białej pałki, którą pomagał sobie przy prowadzeniu słonia zaczął bić słonicę po tylnych nogach. Dobrze wiedział gdzie słonica ma delikatne miejsce i gdzie uderzyć, żeby dotkliwie to odczuła. Bił ją po dolnej części tylnych nóg. Kierownik, który wtedy pracował przy oświetleniu spektaklu i siedział w ostatnim rzędzie obsługując wielki reflektor, aż oniemiał z wrażenia.

– Jak to w ogóle możliwe? - myślał. - I to na szkolnym spektaklu? Przecież na to wszystko patrzy dzieci.

Dla tresera nie miało to widoczne żadnego znaczenia. Był już na tyle wściekły, że nie zważał na nic tylko zaczął katować biedne zwierzę. Słonica w charakterystyczny dla słoni sposób ryczała i miotła się po arenie. Aż przysiadła z bólu na tylnych nogach. Jednak jej oprawca nie przestawał, krzyczał i bił coraz mocniej. Obok bezradnie stała Soffi jego partnerka. W pewnym momencie zapewne z bólu i strachu zwierzę się aż posikało. Wyglądało to jak by ktoś nagle odwrócił beczkę wody do góry dnem. Kilkadziesiąt litrów moczu runęło nagle na arenę. Był to widok tak przerażający, że kierownikowi zrobiło się dziwnie miękko na sercu, a w oczach zakręciła łza. Doznał bowiem szoku widząc takie sceny. A jak musiały się czuć dzieci, które w ciszy i przerażeniu oglądały ten niewiarygodny i brutalny pokaz. Był to bowiem przykład metody tresury jaka nader często ma miejsce w cyrkach świata.

A przecież zwierzęta podobnie jak człowiek mogą mieć czasem gorszy dzień. Jednak spektakle są codziennie i nikt nie pyta słonia czy aby dobrze się czuje i czy dziś ma ochotę na występ. W tym konkretnym przypadku okazało się, że słonica od dawna cierpiała na reumatyzm właśnie tylnych kończyn. Treser o tym wiedział jednak zmuszał zwierzę do pracy, byle tylko zaliczyć swój występ, gdyż od tego zależało jego wynagrodzenie. Dlatego też często zmuszane do występów zwierzęta tylko czyhały, aby wziąć odwet na swych prześladowcach. Poza tym z natury są one dzikie i tych dzikich zakorzenionych genetycznie instynktów nie wyzbędą się w wyniku żadnej tresury. A słonie w dodatku są pamiętliwe. Podobnie jest np. z lwami czy tygrysami, kiedy to treser nawet na ułamek sekundy podczas występu nie może stracić nad nimi kontroli. Nie może spuszczać z nich wzroku mimo, że widzowi wydaje się, iż one w żadnym wypadku mu nie zagrażają. Są przecież takie posłuszne i uległe. Jednak nic bardziej mylnego. Wystarczy, że wyczują słabość lub niewagę tresera. Potrafią w gniewie oka zaatakować. Choćby tylko po to, żeby sprawdzić na ile mogą sobie w danej sytuacji pozwolić.

Również małpy, a konkretnie rezusy Cwietanowa, których było w tej tresurze kilkanaście zawsze trzymano w klatkach dodatkowo ogrodzonych niewielkim płotkiem. Miał on za zadanie wytyczenie pewnej granicy bezpieczeństwa. Przebywając bowiem w bezpośrednim sąsiedztwie klatki można było narazić się na niczym niezapowiadany atak. A zasięg ich niewiarygodnie chwytliwych kończyn wynosi



### Słonie w cyrku Pinder.

ponad metr. Choć zazwyczaj widząc małpę wydaje nam się, że zasięg ten jest znacznie krótszy. Dodatkowo mimo, że są one roślinożerne mają kilkucentymetrowe bardzo ostre zęby i takie same pazury.

Kierownik spacerując wokół cyrku doszedł właśnie do klatki z małpami. Już z daleka widział jak treser rozparty na leżaku w promieniach przygrzewającego słonica delektuje się owocami przeznaczonymi zapewne właśnie dla nich. Jednak to było święte jego prawo. Cyrk miał mu jedynie zapewnić odpowiednie pożywienie dla zwierząt, a to w jaki sposób je karmi to była już jego sprawa. Dlatego treserzy chętnie korzystali z dobrodziejstw zaopatrzenia dla swoich podopiecznych. Tak też było i tym razem. Cwietanow jadł brzoskwinie, a nie do końca ogryzione pestki wrzucał do klatki. Małpy zaś łakomie i dokładnie je ogryzały łapczywie rzucając się na każdą z nich. Świeże słodkie i soczyste południowe owoce, które tu rosły niemal tak jak u nas jabłka smakowały bowiem



### Rezus Cwietanowa.

wybornie. Znakomicie też gasiły pragnienie. Kierownik chwilę na nie patrzył, z treserem wymienił grzecznościowo kilka zdań i poszedł dalej. Wtedy jeszcze nie przypuszczał, że to co właśnie widział będzie miało jakiekolwiek znaczenie. Jednak już za dwa dni z samego rana przybiegł do niego roztrzęsiony Cwietanow. Był to starszy łysiejący mężczyzna pochodzący z Bułgarii.

– Panie kierowniku! Stała się tragedia! - Podniesionym głosem wołał już od środka placu.

– Co się stało panie Cwietanow? – Z zaciekawieniem zapytał kierownik.

– Jedna małpa nam zdechła, trzeba jechać do weterynarza.

Małpa zdechła w nocy i być może poprzedniego dnia chorowała, jednak kierownik o tym fakcie dowiedział się dopiero teraz. Była to poważna sprawa, bo zwierzęta w państwowym cyrku były własnością państwa i jako takie podlegały ścisłej ewidencji. W takich przypadkach należało więc sporządzić odpowiednią dokumentację w oparciu o opinię weterynaryjną. Rzecz jasna poprzedzoną sekcją zwłok.

– To niech pan weźmie samochód i niech pan jedzie – powiedział kierownik.

W tej chwili nie zastanawiał się nawet gdzie tu w okolicy szukać weterynarza. Nie utożsamiał się zbytnio z tym problemem, uznając, że dotyczy on głównie tresera. I tak też z resztą było, bo to treserzy odpowiadał bezpośrednio za stan i zdrowie zwierząt.

Późnym popołudniem było już wiadomo co się stało. To znaczy wiedział tylko o tym kierownik i treser. Otóż sekcja zwłok wykazała, że małpa zarażała się wewnętrzną częścią pestki od brzoskwinie. Dla kierownika było to nad wyraz jasne. Zapewne ogryzając resztki owocu rozgryzła pestkę i połknęła zawartość. Nawet ludzie czasem tak robią np. z pestkami jabłka. Jednak zawarte w środku substancje są często trujące, a małpy mimo wszystko to bardzo delikatne zwierzęta. Dlatego też jej to zaszkodzi-

ło. Być może nawet zjadła nie jedną. Kierownik był pewien, że gdyby treser dał małpom całe owoce, a nie same pestki to żadna z nich nie musiałaby ich rozgryzać w poszukiwaniu pokarmu. Po prostu najadłyby się samymi owocami. Zresztą małpy mają to w naturze, że nie przywiązują wagi do kultury jedzenia, jeśli tak to można nazwać. Człowiek jeśli je cokolwiek to uważa, aby żaden kawałek mu nie wypadł i się nie zmarnował. Po prostu myśli o tym co robi. Zjada cały owoc dokładnie, pozostawiając jedynie część niejadalną. Małpa natomiast często porzuca w połowie nadgryziony jeden owoc w nadziei, że ten następny, który weźmie będzie smaczniejszy. Można to zaobserwować w Zoo podczas karmienia. Odpadki jedzenia zalegają potem na terenie całego wybiegu. No chyba, że zwierzęta są wyjątkowo głodne. Jednak cyrkowe małpy, podobnie jak te w Zoo karmione były regularnie i to jest raczej wątpliwa teoria, że jadły pestki z głodu.

Tak czy inaczej faktem było, że jedna z małp nie żyje. Teraz kiedy już sporządzono odpowiedni protokół można było ją zakopać. Czyli wyprawić jej pochówek. Dlatego Cwietanow po raz kolejny zwrócił się do kierownika o samochód.

Owszem kierownik mógł wyjawić prawdę, ale co by to zmieniło poza tym, że skierowałby przeciw sobie wrogość tresera i jego żony. Nie sposób było przecież tego udowodnić, a sam treser rzecz jasna nigdy by się nie przyznał. Dlatego dla ogólnego dobra, kierownik nie wspominał o tym co widział dwa dni wcześniej i podobnie jak Cwietanow przeszedł nad tym do porządku dziennego. Jednak nie raz myślał o tej sprawie, która mimo wszystko długo nie dawała mu spokoju.

\*\*\*

Samo życie w cyrku było dla kierownika chyba największą przygodą. Ciągła nie lekka praca przeplatana się z trudami codziennego funkcjonowania doprawiona egzotyką tamtego świata i okraszona swoistą wolnością wraz z niewybredną rozrywką. I tu mowa o litrach wypitej wódki, którą kierownik pił nie tylko dla przyjemności. Wchodziło to bowiem w zakres jego nieoficjalnych obowiązków, gdyż bez tego nie mógłby załatwić większości spraw, za które był odpowiedzialny. Gdzie indziej jak nie tam wypiliłyby tyle wódki ile w normalnych warunkach nie jeden nie wypije przez całe życie? Na szczęście młody i zdrowy organizm nadwyróż niezawodnie znosił trudy takiego funkcjonowania. Po całym często morderczym dniu nie pozostawało już nic innego, jak się wyluzować, odstresować i odpocząć. Gęsto zakrapiane kolacje kończyły się zazwyczaj w okolicach 1. w nocy. Rano bowiem trzeba było wstać i jak zawsze rzucić się w wir zadań. Jednak o tej porze kierownik był zazwyczaj już tak zmęczony, że nie zawsze był w stanie się umyć i normalnie położyć. Dlatego zwykle kończyło się to tak, że w trakcie mycia zasypiał. Wtedy często pozostawiona na kuchence elektrycznej woda wygotowała się, a sam czajnik rozgrzał prawie do czerwoności. Kierownik zaś budził się w środku nocy z zimna. Toaleta wieczorna podobnie jak poranna była czymś w rodzaju rytuału. Kierownik mył się w zagranej uprzednio wodzie zaczynając od zębów i kończąc na nogach. Do dyspozycji miał zaś jedynie miskę. Tak więc często podczas ostatniego etapu mycia siedząc na rozłożonej już wersalce z noga-

mi w gorącej wodzie po prostu zasypiał. Budził się dopiero kiedy w środku nocy lub już nad ranem zmarzły mu nogi w zimnej wodzie. Wtedy jakby w półśnie wstawał zamykał często na oścież otwarte drzwi, wyłączał kuchenkę z rozgrzanym czajnikiem, gasił światło i ponownie padał bezwiednie na łóżko. Aż dziwne, że nigdy nie doszło z tego powodu do pożaru. Widocznie ktoś tam w górze czuwał nad bezpieczeństwem tego młodego człowieka. Mimo, że często zasypiał przy otwartych drzwiach, to nigdy nie czuł się z tego powodu jakoś zagrożony. Chociaż oczywistym jest, że wtedy każdy mógł wejść do jego działki. Ale podobna sytuacja miała miejsce w większości działek szczególnie w gorące azjatyckie noce. Nad bezpieczeństwem czuwał nocny z psem i w razie czego w każdej chwili mógł podnieść alarm. Powyższy scenariusz był dość częstą sytuacją, dlatego nocny najczęściej przechadzał się właśnie koło działki kierownika. Widząc otwarte drzwi wołał mieć jego działkę na oku. Nad ranem budził kierownika nastawiony wcześniej budzik. Zazwyczaj była to 7:00, ale czasem wcześniej w zależności od zaplanowanych na następny dzień zadań. Kierownik często jeszcze przed snem próbował ustalić w głowie plan działania na jutro. Jak bowiem pogodzić kilka problemów na raz, zazwyczaj nie wiedział. A prawie zawsze miał kilka ważnych tematów, których rozwiązanie było prawie niemożliwe. Jednak najczęściej był tak zmęczony, że w końcu machał na to wszystko ręką w nadziei, że rano jakieś rozwiązanie się znajdzie. I co niewiarygodne, zazwyczaj tak właśnie było. Bo to nagle okazało się, że dany treser może jechać z magazynierem. A ktoś inny zrezygnował z zamówionego wczoraj samochodu. Okazywało się, że jeden wyjazd można jakoś pogodzić z drugim, a sprawy pilne stawały się mniej pilne niż wczoraj.

\*\*\*

Jedną z takich pilnych spraw, które Stary zlecił kierownikowi prawie na początku sezonu było znalezienie kuśnierza i zamówienie u niego kompletu pokrowców na muzyczne sprzęty. Czyli głośniki, wzmacniacze itp. Na początku problem był ze znalezieniem takiego fachowca, który podjąłby się wykonania takiego zamówienia i w dodatku wyrobił się w określonym czasie, tak żeby nie trzeba było wracać po odbiór z następnego miasta. Potem jednak kierownik specjalnie stwarzał problemy, aby tego zadania nie wykonać. Kapelmistrz, szefem cyrkowej kilkuosobowej orkiestry był wyjątkowo mało sympatycznym człowiekiem. I to określenie jest raczej łagodne w stosunku do jego osoby. Pociągły na twarzy i dziwnie blisko osadzonymi oczyma, którymi niemal świdrował przy wzrokowym kontakcie. Nie był on też zbyt grzeczny, a na takie cechy kierownik był wyczulony wyjątkowo. Sam bowiem starał się być w porządku w stosunku, do innych i okazywał im należyty szacunek nawet jeśli miał do czynienia z kimś kto znajdował się na dole cyrkowej hierarchii. No chyba, że miał powody, aby było inaczej. Kapelmistrz nie miał żadnego powodu, aby nie szanować kierownika, może poza takim, że sam uważał się za starego cyrkowca, a młodego człowieka uważał za żółtodzioba, który o cyrku nie ma pojęcia. Nawet jeśli miał rację, to nie upoważniało go to do traktowania kogokolwiek z góry. Dlatego kierownik uprzedził się do tego typu

już na początku sezonu. Kiedy to szef muzyków roszczeniowo zażądał, aby kierownik w trybie pilnym załatwił rzeczoną sprawę. Tymczasem pilnych spraw, szczególnie na początku kierownik miał całe mnóstwo i to jedna ważniejsza od drugiej.

Poza tym nigdy nie działał ot tak, bo ktoś coś chce, albo się coś komuś wydaje. Chciał i tym razem wiedzieć dokładnie o co chodzi. Przede wszystkim zaś dlaczego obecne pokrowce wymagają niby tak pilnej wymiany. Kapelmistrz starał się udowodnić, że są już poprzecierane i nie stanowią dostatecznej ochrony dla drogiego skądinąd muzycznego sprzętu. Jednak w rzeczywistości chodziło o to, aby tanim kosztem za cyrkowe pieniądze zapewnić sobie super nowe i szyte na miarę według indywidualnych zamówień pokrowce ze skóry. Nie było dla kierownika tajemnicą, że tacy artyści w czasie zimowej przerwy dorabiają sobie na boku podczas najróżniejszych imprez, ale fakt ten z definicji mu się nie podobał. Był on bowiem przeciwny jakiegokolwiek prywacie w ramach państwowego przedsiębiorstwa. Jednak artyści jako wolni ludzie i przedstawiciele wolnego zawodu byli innego zdania i hołdowali z góła odmiennym zasadom. Tak też uważał kapelmistrz, który mimo wszystko upierał się przy swoim. W końcu zaczął chodzić na skargę do dyrektora, a ponieważ obaj byli starymi cyrkowymi wygami rozumieli się doskonale, doskonale się też znali. Dlatego nie mogli pozwolić, żeby jakiś młody smarkacz, który z przypadku został nagle kimś ważnym w cyrku zaprowadzał swoje porządki. Kierownik zaś postanowił dzielnie stawić im czoła i niezłomnie starał się nie realizować poleceń Starego dotyczących tych pokrowców. Zawsze bowiem były sprawy ważniejsze, a poza tym nie wszędzie można było znaleźć odpowiedni zakład, który taką usługę wykona.

Doszło do tego, że taki właśnie zakład znalazł Waciarz i powiadomił o tym starego. Wtedy kierownik nie mogąc się już wymigać, nawet był tam i rozmawiał w wiadomej sprawie jednak mimo, że zamówił część usługi, to po odbiór już nie pojechał. Im dalej było od tego miasta, szansa że kiedykolwiek tam wróci drastycznie malała - nie będzie przecież po jakiejś pokrowce jechał 200 km w jedną stronę. Tak więc do końca muzycy musieli obyc się smakiem i zadowolić standardowymi pokrowcami na swój sprzęt.

\*\*\*

Ale były i takie sprawy które kierownik załatwiał chętnie, choć czasem sam nawet nie wiedział jak tego dokonał. Jedną z takich spraw był remont wozu z prysznicami. Nie funkcjonował on bowiem od poprzedniego sezonu, a do jego uruchomienia potrzebny był fachowiec, czyli hydraulik. Kierownik bez problemu obywał się bez prysznic do perfekcji opanowując sztukę kąpieli w misce. Jednak inni, a szczególnie artyści mocno nalegali, aby ten temat został w końcu załatwiony. I tak też miało się stać. W tym celu zgodnie z ustaleniami z rosyjską dyrekcją cyrku należało wezwać hydraulika podlegającego miejskim władzom. Dlatego któregoś dnia kierownik udał się do Gorispałkomu, co było odpowiednikiem naszego miejskiego ratusza, czyli władz miasta. Sprawa została dzień wcześniej zgłoszona do sekretariatu i dziś kierownik miał stawić się na wyznaczoną godzinę w celu jej załatwienia.

W poczekalni siedziało już kilku interesantów, więc kierownik przedstawił się sekretarce i również usiadł na zabytkowym krześle. Pomieszczenie to bowiem podobnie jak cały budynek było raczej zabytkowe i wyposażone w takie meble. Minęło kilkanaście minut i sekretarka po odebraniu telefonu. Wezwała kierownika oznajmiając mu że:

- Wasza sprawa będzie jutro załatwiona. Po czym podziękowała za stawiennictwo.

Kierownik początkowo zdębiał, bo był pewien, że będzie z kimś rozmawiał na ten temat, przedstawi w czym problem itd. Jednak podobnie załatwiane były sprawy innych oczekujących, którzy po takiej informacji dziękowali i wychodzili. Tak też zrobił i kierownik, chociaż do końca nie był pewien co, i czy w ogóle cokolwiek załatwił. Przekazał sprawę Staremu, który też był zdziwiony. W końcu nie wiadomo było co z tego będzie i nie pozostawało nic innego jak poczekać na rozwój sytuacji.

Następnego jednak dnia ku ich zdziwieniu ok. godz. 9:00 zjawił się w cyrku fachowiec w roboczym uniformie z torbą pełną narzędzi. Kierownik zaprowadził go więc do wozu sanitarnego, a ten w ciągu jednego dnia uruchomił prysznic. Przy tym niezbędne części sam sobie załatwił o nic nikogo nie pytając. Tak samo jak nagle się pojawił, tak też zniknął. Okazało się więc, że można było załatwić pozytywnie sprawę nie rozmawiając o niej z nikim, kto podejmował decyzje o jej załatwieniu. Ciekawe. Od tej pory każdy z załogi mógł brać prysznic do woli i o każdej porze.

\*\*\*

Skoro mowa o prysznicu to wiąże się z tym jeszcze inna historia. Któregoś popołudnia Marian chciał się właśnie odświeżyć po całym dniu pracy. Poszedł więc z ręcznikiem do sanitarnego wozu. Składał on się z jednego pomieszczenia z drzwiami zamykanymi na zwykły haczyk i trzech wydzielonych kabin prysznicowych. Ktoś kto wszedł do środka widział tych, którzy są aktualnie pod prysznicem, bo kabiny nie były zamykane. Regułą było jedynie, że drzwi zamykały tylko kobiety, a mężczyźni mogli swobodnie korzystać nawet jeśli ktoś już się kąpał, warunkiem było jedynie wolna kabina. Marian nie spodziewał się raczej nikogo o tej porze spotkać. Artyści przygotowywali się do występów, które zaczynały się o 17:00, a cała reszta kąpała się zazwyczaj wieczorem. Dlatego godzina 16:00 wydawała się idealna na niekrepującą kąpiel przed spektaklem. Jak się okazało nie tylko on tak właśnie pomyślał. Po wejściu do środka zastał bowiem Wciarza, który nie był tam sam. Razem z nim brał kąpiel jeden z nastoletnich chłopców, którzy często się wokół niego kręcili. Marian doznał szoku kiedy uświadomił sobie, że oni przecież biorą prysznic razem w tej samej kabynie. Po chwili jego zdumienie sięgnęło zenitu kiedy w kłębach pary i w strugach wody dostrzegł, że młody chłopak jest dzwinnie pochylony, a mężczyzna stoi za nim i go obejmuje.

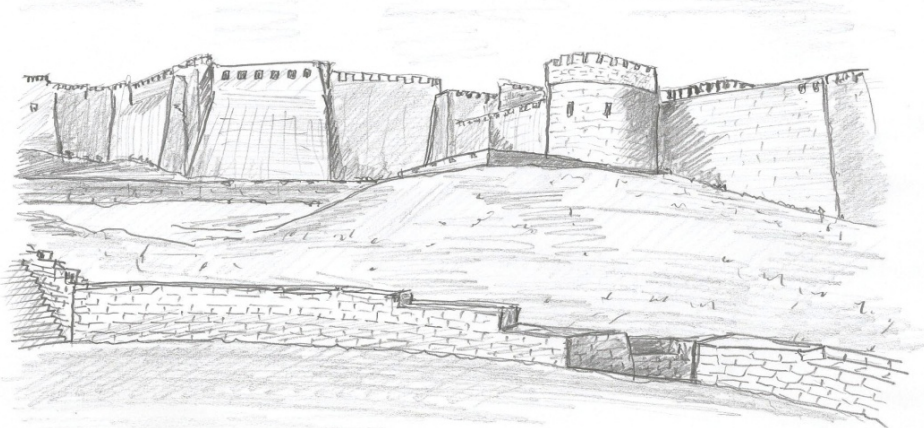
Taki widok był wystarczającym sygnałem do odwrotu. Roztrzęsiony i zszokowany tym co widział, pobiegł od razu do kierownika, aby podzielić się tym niesamowitym odkryciem. Jako jeden z nielicznych trzymał z kierownikiem coś w rodzaju sztamy. Mimo że oficjalnie mówili do siebie per pan, zachowując odpowiednie formy właściwe do stosunków podwładny - przełożony, i chociaż nie zmieniali

się to nawet przy picu wódki, to jeden do drugiego mógł mieć większe zaufanie niż do reszty załogi.

Kierownik jednak nie był aż tak zaskoczony jak on. Miał świadomość, że specyfika tego cyrku właśnie jest taka a nie inna. Dlatego uspokoił Mariana, że nie takiego się w końcu nie dzieje, mimo, że rzeczywiście taki widok mógł szokować szczególnie kogoś kto widzi podobny obrazek po raz pierwszy. Poza tym co można było zrobić. W końcu był tylko przełożonym - nie ojcem pracowników, a Wciarz nie był nawet pracownikiem cyrku i w żaden sposób kierownikowi nie podlegał. Owszem można by mówić tu o pewnym moralnym obowiązku, jednak kierownik nie był przecież cyrkowym kapelanem, ani innym duchowym czy etycznym opiekunem. W cyrku każdy był wolny i postępował tak jak chciał. Moralność i obyczaje były na drugim miejscu za tą wolnością. Oczywiście wszyscy miało swoje ramy i jakieś granice, bo przecież nikt tam nikogo nie mordował, ani nie gwałcił. Dlatego, póki nie naruszano jawnie prawa, nikt nie wtrącał się w życie innych.

\*\*\*

Pewnego gorącego letniego popołudnia w trakcie sezonu kierownik wraz z kierowcą wracali Tarpanem do cyrku. Po drodze mijali jakieś nieliczne niewielkie miejscowości. Wśród nich Дагестанские Огни<sup>8</sup>, a w niej restaurację. Była raczej to po prostu miejscowa przydrożna knajpka w Dagestanie w okolicach miasta Derbent, o którym już wspominałem. Było to miasto wyjątkowe. Jego nazwa oznacza z perskiego „zamknięte wrota” lub „żelazną bramę”. Na przełomie V i VI wieku miasto pełniło rolę obronną dla północnych granic Persji. Strategiczną rolę poza warowną twierdzą odgrywało jego położenie, pomiędzy brzegiem Morza Kaspijskiego a Kaukazem. Zbudowana w tamtych czasach twierdza znajduje się obecnie na liście zabytków UNESCO.



### Monumentalne mury starego miasta i twierdzy Derbent.

Według niektórych znawców tematu, dorównuje, a w wielu aspektach przewyższa słynny mur chiński.

W latach 90-tych pod murami tej twierdzy odbywały się targi, na których sprzedawano dywany, które w tamtych rejonach rzemieślnicy wykonywali zgodnie ze starą perską sztuką

<sup>8</sup> Z ros. – czytaj – Dagestansikije Agni – Dagestańskie Światła lub Ognie

tkacką. I na jednym z takich targów miał okazję być również kierownik. Wypada jeszcze w tym miejscu wspomnieć, że dawna Persja to obecny Iran, który do dziś słynie z wyrobu najwspanialszych dywanów na świecie. Okolice te słynęły też z niebywalej gościnności.

Kierownik zaproponował, aby wstąpić i może zjeść jakąś kolację. Należała im się chwila wytchnienia po całym dniu załatwiania służbowych spraw. W środku było dość przytulnie i jednocześnie dość tradycyjnie. To znaczy chodzi o wystrój. Za barem wąsаты uśmiechnięty barman, a na barze między innymi orzeszki ziemne, które tu podawano bezpłatnie. Ciemnozielone jakby aksaminne obrusy były częściowo zasypane łuskwinami z tych orzeszków. Okresowo pojawiał się kelner i specjalną miotłką podobną do pędzla zamiatał je na niewielką medalową szufelkę. Usiedli przy stole i rozglądali się z ciekawością. Nie było zbyt wiele osób więc swobodnie rozmawiali. Po polsku oczywiście. I zanim zdążyli cokolwiek zamówić poszedł do nich jakiś człowiek w marynarce i kapeluszu.

Przekazał on zaproszenie do stołu jakie w stosunku do *inostrañców* skierował ktoś ważny. Nie wiadomo kto to był, gdyż jego stolik znajdował się we wnęcie za kotarą, co stanowiło jakby taki mały pokójek zapewniający izolację od reszty sali. Nie było powodu nie przyjąć zaproszenia. Chociaż taka sytuacja zdarzyła im się po raz pierwszy. Kierownik postanowił, że zobaczą kto i dlaczego ich zaprasza, chyba bardziej niż Marian był tym faktem zaintrygowany. Przy stole bogato zastawionym siedziało kilku mężczyzn, a jeden z nich wstał i zaprosił przybyszów by usiedli. Okazało się, że był to miejscowy oligarcha, który poza wielkimi wpływami miał też spory majątek. Nie wiadomo czym się zajmował i lepiej było o to nie dopytywać. Jednak na pewno był kimś kto w tej okolicy ma wiele do powiedzenia.

Mimo to z przyjaźni i trochę też z ciekawości zaprosił ludzi, których nie znał, ale chciał po-

regionie nie bardzo kojarzyli co to za kraj, a nawet nie bardzo mieli pojęcie gdzie leży na mapie. Wiedzieli tylko, że gdzieś daleko na zachód. Nie raz na widok nazwy cyrku „Warszawa” wołali Czechosłowacja. Bo rok wcześniej był u nich właśnie czeski cyrk, czyli z kraju podobnego do Polski.

Atmosfera przy stole była isticie rodzinna i przyjacielska. Zamówiono szaszłyki z wątróbki i oczywiście dużo wódki. Czas mijał, a cyrkowcy prawie zapomnieli, że mieli wrócić do cyrku - tak dobrze się bawili. Kiedy zaczęło robić się już szarawo na dworze, co w tamtym rejonie następowało ok. godz. 21, gospodarz zaprosił ich do domu. Zapewniał, że uczynniemu tym wielki zaszczyt, a i jego rodzina będzie temu bardzo rada. Takiego zaproszenia trudno było nie przyjąć.

Marian mimo, że był już po kilku kieliszkach bez problemu podjechał te kilka kilometrów za dwiema Wołgami, którymi pojechali gospodarze.

Mężczyźni siedzący razem przy stole okazali się być braćmi i prawie każdy z nich miał na imię Ahmed, albo jakoś podobnie. Okazało się, że fakt, iż wszyscy noszą takie imię jest zgodne z ich religią i jak najbardziej pożądane, czyli im więcej Ahmedów w rodzinie tym lepiej dla Allaha. Byli to muzułmanie, a raczej jakiś ich odłam - zresztą trudno to określić.

Dom gospodarza okazał się być wielką trzy piętrową willą, gdzie mieszkała cała rodzina. Kierownik już dawno postanowił, że w takim razie do cyrku wrócą dopiero jutro, bo wszystko wskazywało na to, że będą tam nocować. Czasem tak się zdarzało kiedy wypuścili się zbyt daleko i żeby nie wracać po nocy nocowali najczęściej korzystając z czyjejś gościny.

Na ich cześć w domu urządzono wystawną kolację. A biesiada trwała do późna. Wśród miejscowych potraw podano specjalne pierożki z górską trawą. Było to tradycyjne Dagestańskie danie, które składała się głównie z gotowanego pierogowego ciasta w kształcie kulek z nadzieniem z trawy, którą kobiety specjalnie zbierały gdzieś na zboczach tamtejszych gór. Do tradycji należało też to, że kobiety nie zasiadały przy stole wraz z mężczyznami. W progu podawały potrawy i nie wchodziły nawet do pokoju. Przy stole siedziało w sumie 11 osób: gospodarz, jego ojciec, bracia i dwóch szwagrow.

Podczas kolacji w ramach przełamania obowiązujących kanonów postanowiono, że goście spotkają się z matką gospodarza. Uczyniono tym samym wielki wyjątek, a jednocześnie zaszczyt dla gości, gdyż takie sytuacje normalnie nigdy nie mają miejsca. Starsza pani została wprowadzona przez dwóch młodszych synów i posiedziała wśród biesiadników dosłownie kilka minut. Rozmawiała przy tym głównie z gośćmi, ale poprzez syna, który tłumaczył, gdyż posługiwała się miejscowym dialektem, który różnił się znacznie od języka rosyjskiego.

Po kolacji, kiedy minęła już północ zaproponowano gościom nocleg i wskazano pokój, w którym będą spali. Był to duży pokój na piętrze, w którym na ścianach i na podłodze były grube charakterystyczne dla regionu dywany, a na środku stały dwa stylowe łóżka. Zapewne specjalnie tak przygotowane dla gości. Na łóżkach i na podłogach było mnóstwo pościeli, kołdry i poduszki. Znaczenie więcej niż było potrzeba. To wszystko robiło wrażenie, jak gdyby

przyszło im spać w perskich salonach jakiegoś szacha. I tak też się spało, komfortowo, luksusowo i wygodnie.

Kierownik obudził się przed 8:00, nikt oczywiście nie śmiałyby obudzić gości wcześniej zanim sami nie wstaną. Po krótkiej toalecie udali się na poszukiwanie gospodarza, aby podziękować za gościnę i pożegnać, bo czas było wracać do pracy. Niestety nie przygotowani wcześniej na taki obrót sprawy nie mieli nic co mogliby ofiarować gospodarzom chociażby na pamiątkę. Inna sprawa, że tamci wcale niczego nie oczekiwali. Od początku zapewniali, że to zaszczyt dla nich gości takich miłych gości. To, że nie robią tego dla jakiegokolwiek zysku było oczywiste chociażby z tego powodu, że praktycznie było ich stać na wszystko. Na wszystko co można było kupić wtedy w ZSRR. Jeszcze przed wyjazdem gospodarz domu pochwalił się, że właśnie na trzecim piętrze kończy kłaść podłogę z drewnianej mozaiki. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie była to mozaika z siedmiu różnych gatunków drewna i że jej metr kwadratowy kosztował 150 rubli. Czyli znacznie więcej niż przeciętna pensja w tamtych czasach.

Czy w naszym kraju można byłoby doświadczyć podobnej bezinteresownej gościny? Raczej nie, i dlatego kierownik był tak zachwycony gościnnością ludzi w tamtych rejonach. Oczywiście zapewne im bardziej na zachód taka swoista otwartość i gościnność była coraz słabsza, ale i tak mieszkańcy ZSRR, z którymi dane było kierownikowi się zetknąć w czasie jego wojaży cyrkowych zasłużenie uchodzili za ludzi wyjątkowo gościnnych.

\*\*\*

Ale skoro mówimy o mieszkających tam ludziach trzeba wspomnieć o czymś jeszcze. Otóż Kaukaz, dzielony geograficznie na północny i południowy, to rejon wieloetniczny, wieloreligijny i wielonarodowy. Oczywiście w ślad za tym idzie różnorodność kulturowa i obyczajowa. Dla zobrazowania można by podać tylko jeden przykład, a mianowicie język. Mimo, iż w tamtym czasie językiem urzędowym był oczywiście rosyjski, to przyjmuje się że w tym rejonie świata funkcjonowało i nadal funkcjonuje kilkadziesiąt, tak zwanych języków kaukaskich. Są nawet tacy, którzy w swych szacunkach skłaniają się do liczby 50. Trzeba przy tym uzmysłowić sobie, iż na obszarze zaledwie bez mała dwukrotnie większym niż Polska koegzystowało kilkanaście grup etnicznych. Nasz kraj dla porównania ma powierzchnię ok. 312 tys. km<sup>2</sup>, natomiast łączna powierzchnia Przesł i Zakaukazia to ok. 530 tys. km<sup>2</sup>. Na pewno administrowanie w tym rejonie nie było łatwe, a dodatkowo w związku z tą różnorodnością funkcjonowało tam kilkanaście obszarów autonomicznych i tyleż samo autonomicznych okręgów. Pomijam już fakt, że w latach 20-tych utworzono w tym rejonie nowe Socjalistyczne Republiki Radzieckie. No ale konkretnie o jakiej różnorodności mowa? Pomiedzy Morzem Kaspijskim a Morzem Czarnym żyły ludy kaukaskie, indoeuropejskie i tureckie. Czyli byli to: Abchazowie, Czerkiesi, Kabardyjczycy, Gruzini, Awarowie, Lakowie, Dargijczycy, Lezgini, Czeczeni, Ingusze, Kurdowie, Ormianie, Osetyjczycy i Rosjanie, ponadto jeszcze Turcy, Kumycy, Turkmeni i Azerowie, a i pewnie jeszcze wiele innych społeczności przekonanych o swojej

głębokiej odrębnej tożsamości. Obecnie większość z tych ludów i społeczności zamieszkuje obszar administrowany przez Rosję.

To wszystko obrazuje z jakimi zjawiskami mógł zetknąć się ktoś, kto nagle się tam znalazł i funkcjonował. Ale mimo odwiecznych konfliktów i różnic, mieszkańcy tego regionu mieli jedną wspólną cechę, a mianowicie bezinteresowną gościnność oraz swoistą otwartość i życzliwość dla zewnętrznego świata, którego elementem byli niewątpliwie nieliczni przybysze. Tacy jak chociażby pracownicy polskiego cyrku. I chyba to było właśnie najbardziej fascynujące, bo wbrew wzajemnej wrogości i różnic widocznych na co dzień, ludzie ci potrafili w stosunku do obcych w jednakowy sposób być przyjaźni.

Dlatego nie tylko w Dagestanie można było spotkać uprzejmich i przyjacielskich ludzi. Dwa tygodnie później kiedy cyrk stacjonował w Machaczkałe, która była stolicą republiki, kierownik przypadkowo, spotkał się z pewnym człowiekiem - a był to Rosjanin przed 50-tką. Od taka znajomość podczas załatwiania jakiejś sprawy, a może zakupów. Okazało się, że człowiek ten przez kilka lat pracował przy wyrębie lasów gdzieś na kole podbiegunowym. Być może tylko tak mówił, bo równie dobrze mógł pracować w tamtejszej kopalni jakiegoś szlachetnego kruszcza. Ale znając rosyjską karność przed obliczem władzy trudno było oczekiwać, że będzie się tym chwalił. W każdym razie zarobił tam mnóstwo pieniędzy, których na miejscu nie sposób było wydać, bo wiadomo dookoła poza lasami i śniegiem nie było nic w promieniu setek kilometrów. Na miejscu zaś robotnicy mieli wszystko zapewnione, czyli posiłki i dach nad głową. Drobne zakupy można było zrobić w osiedlowym sklepiku. Między innymi wódkę, bo poza radiem była to jedyna rozrywka. Trochę dziwił fakt, że mieszka właśnie w Machaczkałe, ale w końcu w tym rejonie mieszkało wielu Rosjan, mimo że nigdy nie żenili się oni z kobietami wywodzącymi się z tych terenów - to akurat było kulturowo niedopuszczalne. Teraz nie musiał już pracować, a po powrocie kupił mieszkanie i samochód. I tym właśnie samochodem, czyli nową błękitną Ładą 2103 - która była ekskluzywną wersją Łady, produkowaną głównie na eksport, bezinteresownie obwoził kierownika przez cały dzień po mieście w ramach wycieczki. Opowiadał o sobie i o mieście. Zaprosił go potem nawet do domu na obiad. I też w zamian nic nie chciał. Był zadowolony, że mógł ugościć przybysza i był to jedyny powód, dla którego tak się starał.

Trzeba przyznać, że takie traktowanie przez miejscową ludność może zmienić każde nawet najbardziej negatywne nastawienie. A kierownik jak wiadomo nastawienie do tych ludzi i ich kraju miał jak najbardziej pozytywne.

W obydwu opisanych przypadkach podobnie jak z resztą z każdym innym razem kierownik odwziewał się rozdając zaproszenia na cyrkowy spektakl, gdzie na jego gości, których witał zazwyczaj na frontonie czekała specjalna honorowa łoża.

Mile jest wspominać tamte czasy między innymi właśnie dzięki ludziom i kontaktom z nimi. I teraz po latach gdyby nawet bardzo chciał to trudno byłoby mu przypomnieć sobie jakąś konfliktową sytuację z obywatelami ówczesnego ZSRR.



\*\*\*

Ten region ówczesnego Związku Radzieckiego był wyjątkowy nie tylko pod względem niezwykłej gościnności jego mieszkańców, niezwykła była też przyroda oraz samo położenie geograficzne. Obszar pomiędzy Morzem Czarnym a Morzem Kaspijskim, przecięty pasmem górskim Kaukazu, charakteryzował się wyjątkowym podzwrotnikowym klimatem, który sprzyjał rozwojowi wyjątkowej przyrody. Podobnie było jeśli chodzi o kwestie geopolityczne. Obecnie na tym terenie Rosja graniczy z Gruzją i Azerbejdżanem, jednak wtedy była to część ZSRR, czyli Gruzińska i Azerbejdżańska Socjalistyczna Republika Radziecka. Jednak w nieodległej przeszłości przez ten właśnie rejon świata przeszło kilka zbrojnych konfliktów, które miały wpływ nie tylko na ostateczny podział terytorialny, ale też na mieszkańców. Zazwyczaj dotyczyły one podziału terytorialnego i różnic etnicznych, gdyż ten rejon w większości zamieszkują muzułmanie. Najbardziej zapalnym rejonem była Osetia Południowa, czy Abchazja podobnie jak Górski Karabach.

W wyniku przemian politycznych w ZSRR, czyli pieriestrojki, zapoczątkowanej w latach 80-tych, narastały tam napięcia powodowane dążeniem do niepodległości. Przeplatało się to z narastającymi napięciami na tle etnicznym. W tym też czasie Południowa Osetia została najechnana przez Gruzję, a rok później doszło do wojny pomiędzy Azerbejdżanem i Armenią o rejon Górskiego Karabachu. Już w czasie kiedy Polski cyrk odbywał tournée po tym rejonie toczyły się tam dość ostre starcia z udziałem artylerii i regularnych wojsk. Dlatego choć to niewiarygodne, mimo dość znacznej odległości niekiedy dało się słyszeć odgłosy wojny. W rejonach przygranicznych można było też spotkać spalone czołgi radzieckie, które nawet nie zdążyły wejść do działań. Mimo takiej ogólnej atmosfery w miastach, w których stacjonował cyrk nie odczuwało się żadnych napięć. W tamtym czasie podobnie jak i dziś kwitła tam korupcja i czarny rynek, z czym można było spotkać się na co dzień. Tak też było w Machaczkałe kiedy kierownik natknął się na coś w rodzaju nielegalnej hurtowni RTV i AGD. Tam też dokonał pewnych zakupów. Okazało się, że w jednym z typowych bloków w obszernych piwnicach tego budynku, funkcjonowało coś w rodzaju tajnego magazynu towarów. Mimo, iż normalnie nie było ich w sklepach tu można było kupić wszystko w dowolnych ilościach.

Osobliwością tego rejonu poza bogatą i różnorodną kulturą, czy architekturą było oczywiście Morze Kaspijskie, które jak wiadomo tak naprawdę jest słonym jeziorem. Kierownik miał okazję nawet kąpać się w wodach tego wyjątkowego morza. Bardzo charakterystyczne i raczej nie spotykane nigdzie indziej jest to, że plaże tam składały się w całości nie z piasku jak ma to miejsce np. nad naszym Bałtykiem, ale z drobno pokruszonych muszelek. Które przez wieki wnoszone były na brzeg i rozbijane przez fale. Poza tym na brzegach można było spotkać coś w rodzaju olbrzymich głazów czy skał, które również były zbudowane z muszelek w przedziwny sposób połączonych ze sobą w jednolitą bryłę. Taki obraz to oznaka wyjątkowo bujnej fauny i flory w tych wodach. W oddali od brzegu można było bez trudu za-

obserwować kaspijskie foki, które przez miejscowych nazywane są morskimi psami. Jednak populacja tych zwierząt stopniowo maleje i z ponad 1,5 mln osobników, odnotowanych przed 100 laty, obecnie jest ich zaledwie ok 300 tys.

Nie mniej fascynującym zjawiskiem było oczywiście Morze Czarne, ale o nim w dalszej



### Odnaka drogówki w ZSRR.

części opowieści.

W tamtym rejonie polski cyrk stacjonował w większości dużych miast. I w jednym z nich zdarzyła się dość niecodzienna przygoda. Otóż któregoś dnia kierownik z dwoma kierowcami wybrał się na zakupy. Pojechali Jelczem, gdyż mniejsze samochody były udostępnione artystom. Po dojeździe pod ówczesne centrum handlowe jakim w Rosji był najczęściej CUM lub GUM, co oznaczało Centralny lub Główny Uniwersalny Sklep pojawiła się zaraz obok milicja. Początkowo kierowca myślał, że chodzi o to, że nieprawidłowo zaparkował kiedy milicjant poprosił o dokumenty - ale nie. Chodziło o to jak tu dojechali, a dokładniej którą? Okazało się, że przyjechali Prospektem Lenina, czyli czymś w rodzaju naszej alei.

Owszem jechali piękną szeroką i otoczoną zielenią ulicą, ale że to Prospekt Lenina nie wiedzieli. A gdyby nawet, to jakie to mogłoby mieć znaczenie? Szybko jednak dowiedzieli się że miało, bo po tej ulicy nie wolono jeździć samochodem ciężarowym. Kierowca jednak nie widział żadnego znaku, który by tego zabraniał. Do akcji musiał włączyć się więc kierownik.

Milicjant zdziwiony i dość mocno podirytowany zapytał:

- To wy nie wiecie, że po Prospekcie Lenina ciężarówkom zabrania się poruszać?

- A gdzie to jest niby napisane? - Dopytywał kierownik.

Jednak milicjant nie miał ochoty ani na żarty ani żadne ustępstwa. Zagroził mandatem i poważnymi sankcjami. W wyniku wymiany zdań i poglądów, co do przedmiotowej kwestii wszyscy razem udali się do cyrku. Milicjant żądał bowiem rozmowy z kimś kto zarządzał cyrkiem i był przełożonym kierowcy. Ten zaś nie miał wymaganego przy sobie paszportu. Cała sytuacja bawiła kierownika na tyle, że nie przyznał się od razu do pełnionej funkcji. Bagatelizował to co mówi milicjant, co graniczyło prawie z bezczelnością. Pozwolił nawet aby

funkcjonariusz ГАИ<sup>9</sup> pofantazjował sobie w swoich groźbach i powymądrzał się na ile mógł. Był on bowiem pewien, że po kontakcie z przełożonymi tych niezdyscyplinowanych młodych ludzi spotka zasłużona i surowa kara. Niestety sam, jako obywatelom innego kraju niewiele tak naprawdę mógł zrobić. Po przyjeździe do cyrku milicjant zarządził, aby zaprowadzono go do kierownika cyrku. Kierownik więc otworzył biuro i zaprosił zainteresowanych do środka. Milicjant poczuł się lekko niepewnie, bo jakoś nie widział nikogo z kim mógłby rozmawiać. W tej samej chwili kierownik usiadł za biurkiem i zapytał:

- A o co w ogóle chodzi? Bo tak się składa, że ja tu jestem kierownikiem.

Milicjant zdębiał i zapewne zrobiło mu się głupio, gdyż wcześniej jego zachowanie nie było całkiem w porządku. Jednak musiał kontynuować swoją interwencję, ale teraz jakby z mniejszym impetem i przekonaniem. Nadal jednak groził, że kierowca dostanie mandat. I tak też się stało. Kierowca pokazał więc paszport, który do tej pory był jakby pod specjalną ochroną kierownika, a milicjant wypisał nic nieznaczący papierek, bowiem zgodnie z procedurą mandat miał być zapłacony na granicy podczas powrotu do Polski, a nie na miejscu. Rosjanie nie mieli przecież żadnego systemu monitoringu wykroczeń, aby mogli na granicy wyłowić taki przypadek. Poza tym kierowca będzie wracał za kilka miesięcy i nawet nie wiadomo jakim przejściem, więc ten mandat to były takie strachy na lachy. Wiedział o tym kierownik i dlatego starał się uspokoić kierowcę, który przejął się tym wszystkim dość poważnie. Z tej przygody wynikało jedno, nie jedź ciężarówką po Prospekcie Lenina, bo będziesz miał kłopoty.

...

Przeżytych przygód i doświadczeń wystarczy jeszcze na następne opowieści – zapraszam ...

*Epsi Peterson*

<sup>9</sup> Z ros. Skrót od *Госавтоинспекция* – czytaj: ГАИ czyli Gosawtoinspekcja – policja drogowa, drogówka.



## Wspomnienia Miriam Krajczyk, wnuczki rabina z Krasnosielca

Katarzyna OLZACKA

Miriam Krajczyk urodziła się w 1937 r. w Krasnosielcu. Mieszkała tu tylko przez dwa lata. W 1939 r. wybuch II wojny światowej wyrwał ją z korzeniami z rodzinnej miejscowości. Wojnę razem z rodziną przetrwała na Syberii. Kiedy po wyzwoleniu wrócili do Polski okazało się, że ich krasnosielcki świat już nie istnieje i nie ma do czego wrócić. Do roku 1957 mieszkali w Wałbrzychu, potem wyemigrowali do Izraela, gdzie Miriam założyła rodzinę. Od 50 lat mieszka w Kanadzie.

W kwietniu tego roku Miriam Krajczyk odwiedziła Maków i Krasnosielc. Miała nadzieję, że odnajdzie jakieś ślady po swoich rodzicach, dziadkach i mieszkających tu niegdyś Żydach. Niczego nie znalazła i po dawnym życiu pozostały jej tylko wspomnienia. Historię swojego życia Miriam opowiedziała podczas spotkania z młodzieżą, które odbyło się w Liceum Ogólnokształcącym w Makowie.

- Ojciec mój, Abram Berliński, był mako-wianinem. Mama Ruda Blumstein pochodziła z Krasnosielca. Jej ojciec, a mój dziadek nazywał się Icchak Blumstein i był rabinem w Krasnosielcu. Dziadka pamiętam jak przez mgłę. Wyglądał tak jak prawdziwy Żyd, miał brodę i pejsy. Rodzice ślub wzięli w Makowie, ale potem zamieszkali w Krasnosielcu. Ojciec pochodził z niezbyt zamożnej rodziny. Miał dużo rodzeństwa, sześciu braci i sześć sióstr, a mieszkanie było niezbyt duże i wszystkim było ciasno. Rodzinie mamy powodziło się znacznie lepiej, dziadkowie mieli duży dom, dlatego po ślubie rodzice zamieszkali u nich.

Dobrze im się mieszkalo w Krasnosielcu. Miriam była najmłodsza z rodziny. Oprócz niej była jeszcze starsza siostra Ida i brat Jacob. Ojciec pracował, mama zajmowała się domem i pomagała babci w prowadzeniu gospodarstwa. Wszystko zmieniło się we wrześniu 1939 roku, gdy do Krasnosielca wkroczyli Niemcy. Zaczęły się pierwsze mordy Żydów i przeganianie ich z miasta. Polscy sąsiedzi ostrzegali dziadka przed hitlerowcami i namawiali go do wyjazdu. „Jak pan nie wyjedzie teraz, to Niemcy was pozabijają” – mówili sąsiedzi. Ale dziadek nie chciał nie wierzyć. Nie mógł sobie wyobrazić tego, że miałby opuścić swój dom, całe swoje dotychczasowe życie, swoich wynawców. „Przecież ludzie nie będą mieli gdzie się modlić. Gdzie zjedzą w piątek, kto ich odprowadzi na cmentarz?” – biadolił. Jednak Abram Berliński uwierzył sąsiadom i postanowił przenieść się do Warszawy. Razem z nimi na wędrowną zdecydowali się dziadkowie i siostra mamy. W trakcie podróży złapali ich Niemcy.

- Byli takim dużym samochodem do przewożenia zwierząt – wspominała Miriam. – Jeden Niemiec złapał dziadka za brodę i wrzucił go



do śmierdzącego samochodu. Nas też tam zapakowali i przewieźli do Warszawy, gdzie było już getto. Tutaj nas rozdzielono i nigdy więcej już nie zobaczyłam swojego dziadka i babci.

Rodzinę Miriam wrzucono do jakiejś zatłoczonej piwnicy. Byli wystraszeni, głodni i nie bardzo wiedzieli, co dalej robić. Mała Miriam pilnie potrzebowała pieluch, więc mama podarła swoją bieliznę i zrobiła z nich pieluchy. Potem rodziców skierowano do pracy w kuchni i trochę im się polepszyło. Przynajmniej mieli co jeść. Kiedy ojciec dowiedział się o likwidacji getta, postanowił wyprowadzić z niego rodzinę. Było to bardzo niebezpieczne, ale szczęście im sprzyjało. Na jednej z uliczek był dom z małym okienkiem na aryjską stronę i przez to okienko uciekli. Miriam nie wie jakim cudem, ale udało im się dotrzeć za wschodnią granicę do Białegostoku. Szybko się jednak okazała, że z jednej niewoli trafili w drugą.

W Rosji Berlińscy razem z innymi Żydami zapakowani zostali do pociągu i wywiezieni na Syberię. Po krótkiej tułaczce znaleźli się w osławionym Magadanie w Górach Kołymskich. Tutejsze warunki życia były bardzo ciężkie, często głodowali. Ale potem ojciec dostał pracę w piekarni i wreszcie mieli co jeść. Ida poszła do szkoły, a Miriam i Jacob siedzieli z mamą w domu. Silne przeżycia i ciężkie warunki bytowania sprawiły, że Miriam i Jacob zachorowali na dyfteryt. Dzieci trafiły do szpitala, ale tylko na jeden dzień. I tak wszędzie brakowało lekarstw, więc nie było po co trzymać ich dłużej. Miriam trochę się polepszyło, jednak brat nadal gorączkował i było z nim coraz gorzej. Mama poszła więc szukać lekarza, przed wyjściem przykazała córce, by nie pozwoliła spać bratu.

- Ale ja przecież byłam jeszcze bardzo mała i sama nadal chorowałam – snuła swoją opowieść Miriam. – Dopóki mogłam, to robiłam wszystko, by Jacob nie spał. Śpiewałam, gadałam, kręciłam się po domu. Aż wreszcie sama

nie wiem kiedy zasnęłam. Kiedy wreszcie mama wróciła z lekarzem, Jacob już nie żył. Mama nie umiała mi tego wybaczyć, zawsze mówiła, że to moja wina.

Po zakończeniu wojny, w 1946 roku eszelonem wrócili do Polski. Podobnie jak inni Żydzi skierowani zostali na Dolny Śląsk.

- Rozpoczęliśmy poszukiwania swojej rodziny, która przed wojną liczyła blisko

150 osób. Jak się wkrótce okazało, nikt z nich nie przeżył wojny. Do Krasnosielca nie była po co wracać, więc osiedliliśmy się w Wałbrzychu. Ja skończyłam gimnazjum i rozpoczęłam studia we Wrocławiu. Nie było nam źle, rodzice pracowali, ja miałam koleżanki, Żydówki i Polki. Niestety również i to życie zostało nam przerwane.

W roku 1957 zaczęły się na Dolnym Śląsku przesładowania Żydów i rodzina Berlińskich wyjechała z pierwszą dużą falą emigracyjną do Izraela. Tutaj dorosła, wyszła za mąż i urodziła starszą córkę. W latach 60. razem z rodziną przeniosła się do Kanady, gdzie urodziła im się druga córka. Od prawie trzech lat jest wdową.

- Tak naprawdę, nigdy nie miałam dzieciństwa, bo to przypadło na wojnę. Nie miałam też młodości, bo ledwo zaczęliśmy układać sobie na nowo życie w Polsce znowu trzeba było uciekać – podsumowuje swoje życie Miriam. – Po 55 latach małżeństwa zostałam wdową. Bardzo przeżyłam śmierć męża, bo był on moją prawdziwą życiową podporą. Na szczęście trochę dobrego życia jeszcze mi pozostało. Mam dwie córki i trzy wnuczki. Mam przyjaciółkę, z którą mogę rozmawiać po polsku. Cieszę się, że mogę przyjechać swobodnie do Polski i przejść się ulicami, nie wzbudzając niczyjej agresji. Mam nadzieję, że młode pokolenia nie doświadczą wojny i tego całego okrucieństwa. I że wszyscy będziemy równymi sobie ludźmi.

Miriam Krajczyk odwiedziła Krasnosielc po raz pierwszy od czasu, gdy razem z rodziną opuściła go w początkach II wojny światowej. Żadnych śladów po dawnej społeczności żydowskiej tu nie znalazła. Nikt nie umiał jej też powiedzieć, gdzie mógł być dawny dom jej dziadka. Ten rozdział życia został dla niej definitywnie zamknięty.

Katarzyna Olzacka



## Pułkownik Henryk Modzelewski

Tadeusz KRUK

Po publikacji wspomnień na łamach *Wieści znad Orzycza* lub w *Krasnosielckich Zeszytach Historycznych* (KZH) często odzywają się osoby zainteresowane tematem. Są to albo sami bohaterowie opracowań, albo ich bliscy lub znajomi. Przesyłają uzupełnienia, wskazują kolejne źródła cennych informacji, dołączają zdjęcia, wyrażają słowa uznania dla piszących.

Tak było i w tym przypadku. KZH 13-14/2013 i KZH 17/2014, dzięki uprzejmości pana Jana Józwiaka z Drążdżewa, dotarły do rąk pułkownika Henryka Modzelewskiego w Poznaniu. Zeszyty zawierały wspomnienia Ludwika Brzezińskiego i Apolinarego Zapiska o ich edukacji w Szkole Rolniczej w Szczytnie, w pierwszych latach powojennych. Wspominali również swoich kolegów z ławy szkolnej pochodzących, tak samo jak oni, z gminy Krasnosielc.

Apolinary Zapisek, we wstępie do artykułu „Szkola Rolnicza w Szczytnie 1945-1949” (KZH 17), zaznaczył: „Czy zamieścowa szkoła w historii gminy [Krasnosielc] w ogóle istniała? W sensie formalnym oczywiście nie, ale czy również w sensie faktycznym? O to można się spierać. Bo czy za taką szkołę nie można by uznać istniejącego w latach 1946-49 Gimnazjum Rolniczego w Szczytnie? Pierwsi jej absolwenci opuszczający szkołę w 1948 r. to wyłącznie mieszkańcy krasnosielckiej gminy. Oto ich pełna lista:

1. Ludwik Brzeziński z Nowego Sielca
2. Waclaw Dudek z Drążdżewa
3. Stanisław Juniak z Krasnosielca Nowego
4. Franciszek Kurowski z Drążdżewa
5. Henryk Modzelewski z Grądów
6. Jerzy Olzacki z Drążdżewa
7. Stefan Olzacki z Raków
8. Zdzisław Ptaszyński z Grądów
9. Stanisław Surgał z Drążdżewa
10. Mirosław Szewczak z Drążdżewa
11. Stanisław Szewczak z Drążdżewa
12. Zenon Walendziak z Drążdżewa
13. Jan Żyra z Krasnosielca”.

Wśród absolwentów był Henryk Modzelewski z Grądów. W odpowiedzi na teksty swoich kolegów - Ludwika i Apolinarego - płk Modzelewski przesłał panu Janowi materiały, tytułem uzupełnienia i ewentualnej publikacji. Byłem ich kolejnym odbiorcą. Niezwłocznie zadzwoniłem pod podany nr telefonu. W słuchawce usłyszałem sympatyczny głos pani Danuty Modzelewskiej: - *Otrzymaliśmy od Janka te piękne zeszyty, które mąż ze wzruszeniem przeczytał. Jesteśmy wzruszeni, że po tylu latach jednak ktoś się tym zajął. Bardzo nam miło. Teraz mąż wysłał swoje zdjęcia z czasów, gdy był w wojsku i wzorową opinię o przebiegu służby. Może się Państwu przydadzą do publikacji.*



Gen. Tadeusz Krepski odznacza płka Henryka Modzelewskiego

Następnie do rozmowy włączył się pan Henryk Modzelewski: - *Potwierdzam treść wspomnień kolegów. Ukończenie szkoły w Szczytnie było dla mnie swoistym oknem na świat. Później z Zenkiem Walendziakiem z Drążdżewa pojechaliliśmy do Liceum Rolniczo-Hodowlanego w Bojanowie. To jest na trasie Poznań - Wrocław, między Leszmem a Rawi-*

*czem. Szkoła ta cieszyła się świetną opinią. Dużo nauki, wysoki poziom. Tam zdałem maturę. Po maturze otrzymałem skierowanie do Karolewa koło Kętrzyna na zgrupowanie przygotowawcze, a stamtąd skierowanie do pracy (niektórzy na wyższe uczelnie). Znalazłem się w miejscowości Lwówek w gminie Sanniki, w powiecie gostynińskim. Podjąłem pracę jako agronom w miejscowym Państwowym Ośrodku Maszynowym (POM). Był to trudny okres kolektywizacji wsi. Po pół roku przeniesiono mnie na Pomorze do miasta Łobez, także do POM-u. Stamtąd po sześciu miesiącach zostałem powołany przez WKR Gryfice do wojska. Nie skorzystałem z możliwości odroczenia zasadniczej służby wojskowej. Byłem jednym z dziewięciu rekrutów, których skierowano do Zamościa do Technicznej Szkoły Wojsk Lotniczych. Była to bardzo dobra szkoła, świetnie zorganizowana. Miałem pewne przeszkody, ponieważ mama miała w USA siostrę, a ojciec - brata.*

*Po złożeniu egzaminu zostałem przyjęty do kompanii oficerskiej. Szkołę ukończyłem w 1952 r.. Skierowano mnie do pułku lotniczego w Tomaszowie Maz., potem do Słupska. Po drodze był też Modlin. Moja kariera szła do przodu, awansowałem. Trafiłem do Dowództwa Lotnictwa Operacyjnego w Poznaniu, późniejszego Dowództwa Wojsk Lotniczych. Miłe wspominałem ciekawych, interesujących ludzi,*



Pierwsi absolwenci: od lewej stoją: 1. Nierozpoznany, 2. Waclaw Dudek, 3. Stanisław Surgał, 4. Stanisław Juniak; siedzą: 5. **Henryk Modzelewski**, 6. Ludwik Brzeziński, 7. Nauczyciel nierozpoznany, 8. Henryk Neymann – dyrektor, 9. Zenon Walendziak, 10. nierozpoznany. Zdjęcie ze zbiorów Ludwika Brzezińskiego.

OPINIA SPECJALNA

na okres od 24.04.1951 do 20.11.1990

na Płk MODZELEWSKI Henryk s. Polestawa p. 1930

1. Okoliczności sporządzenia opinii: zwolnienie z zawodowej służby wojskowej

2. Zajmowane stanowisko: Szef wydziału DWL

3. Treść opinii (postawa w służbie, wiedza i umiejętności specjalistyczne, ujawnione uzdolnienia i predyspozycje – wnioski końcowe):  
 Płk MODZELEWSKI w czasie 40-letniej służby wojskowej wykazał się wysokim zaangażowaniem w wykonywaniu obowiązków służbowych. Po przeszkoleniu w Technicznej Szkole Wojsk Lotniczych w 1952 roku, zajmował różne stanowiska w służbie inżyniersko-lotniczej jednostek i sztabach DLO i DWL. Stosownie do potrzeb i wymagań służby podwyższał kwalifikacje zawodowe i ogólne. Przez ostatnie 22 lata pracował w służbach techniki i zaopatrzenia Dowództwa Wojsk Lotniczych. Z obowiązków służbowych w tej instytucji wykonywał się dobrze i bardzo dobrze.  
 Oficer wysoce dyscyplinowany i odpowiedzialny za powierzony odcinek pracy. Przejawiał duże umiejętności organizatorskie i kierownicze. Za osiągnięcia w swej długoletniej służbie wojskowej był wielokrotnie odznaczany i wyróżniany. Między innymi uhonorowany został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.  
 Zwolniony z zawodowej służby wojskowej z uwagi na osiągnięcie wieku emerytalnego /art.50 ust.1 pkt.1/ ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych.  
 Opiniowanemu przysługuje prawo odwołania od opinii dowódcy Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej w ciągu 30 dni od jej otrzymania.

4. Ocena ogólna: *dobry*

Z OPINIĄ ZAPOZNAŁEM SIĘ  
 15.11.90  
 SŁAWOMIR RUTKOWSKI  
 SZEF ODZIAŁU PISAR WŁAOP  
 Płk Józef GOSIŃSKI

Płk Henryk Modzelewski - opinia specjalna na okoliczność zwolnienia z zawodowej służby wojskowej

w tym zwierzchników, jak np. gen. Tadeusz Krepskiego i gen. Jerzego Gotowale. Dumny jestem z końcowej opinii. Dumny jestem z Poznania - miasta, w którym przypadło mi pozostać i żyć. Mam piękny dorobek rodzinny. Z żoną Danutą świętowaliśmy jubileusz 60-lecia pożycia małżeńskiego. Dzieci i wnukowie wykształceni. Niektórzy poszli w moje ślady.  
 Do szkoły podstawowej uczęszczałem w rodzinnych Grądach, w gminie Krasnosielc.



Płk Henryk Modzelewski (pierwszy z lewej) przyjmuje gratulacje z rąk gen. Jerzego Gotowale, 1990

Uczyła mnie pani Sękowska. Na naukę religii chodziłem do Krasnosielca, gdzie do Pierwszej Komunii świętej przygotowywał mnie ks. Stefan Morko, wikariusz. Potem został proboszczem w Drążdżewie. Nadzwyczaj wartościowa postać. Tuż po wojnie byłem uczniem pana Kocota w szkole w Drążdżewie. Później w tej miejscowości mieszkała przez długie lata, po zamążpójściu, moja siostra Emilia Szewczak.

Dumny jestem, że w hierarchii wojskowej zawodowałem tak daleko, choć wcale nie było to łatwe. Jestem łagodnego usposobienia. Lubiłem się uczyć. Sprawdzałem się na wszystkich powierzonych mi stanowiskach - podsumowuje pan pułkownik Henryk Modzelewski.

Tadeusz Kruk

### Aneks do KZH Nr 17

W artykule autorstwa Edwarda Misiarczyka pt. „Z Podnierzki do Olsztyna - Moje wspomnienia”, zamieszczonym w Krasnosielckim Zeszycie Historycznym Nr 17, wkraśli się następujące błędy:

- na stronie 53. trzeci wiersz powinien brzmieć: „Omszałych wrót, rodzinny próg”
- strona 53. – zdjęcie wykonano w 1943 roku
- strona 54. – autorem obydwu obrazów jest Krzysztof Kozyra
- strona 57. – drugi wiersz wiersza powinien brzmieć: „pod murem, co pękł żarem bólu”

- strona 58. – pod zdjęciem powinien być rok 1977.

Za pomyłki przepraszam.

Sławomir Rutkowski

**Krasnosielcki Zeszyt Historyczny**



bezpłatny dodatek specjalny do społecznego miesięcznika „Wieści znad Orzycza”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 40a, tel. 29 71 75 205  
 Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu  
 Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com  
 Wszechstronna współpraca redakcyjna: Tadeusz Kruk  
 Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.  
 Nakład: 1 000 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1